

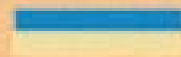


Karin ALVTEGEN

ZAGINIONA



ANONIMAS



Karin ALVTEGEN

# ZAGINIONA

Ze szwedzkiego przełożyła *Halina Thylwe*  
Tytuł oryginału SAKNAD



*Mamie i tacie.*

*I Elisabeth.*

*Że zawsze jesteście.*

*Tak niechaj każdy myśli o nas jako o sługach Chrystusowych i o szafarzach tajemnic Bożych. A od szafarzy tego się właśnie wymaga, żeby każdy okazał się wierny. Lecz co się mnie tyczy, nie ma najmniejszego znaczenia, czy wy mnie sądzić będziecie, czy jakiś inny sąd ludzki, bo nawet ja sam siebie nie sądzę. Albowiem do niczego się nie poczuwam, lecz to mnie jeszcze nie usprawiedliwia, bo tym, który mię sądzi, jest Pan.*

*Przeto nie sądzcie przed czasem, dopóki nie przyjdzie Pan, który ujawni to, co ukryte w ciemności, i objawi zamysły serc; a wtedy każdy otrzyma pochwałę od Boga.*

*Dziękuję, Panie, że dajesz mi odwagę. Że się nade mną pochylasz, wysłuchujesz moich modlitw i jesteś mi przewodnikiem.*

*Pozwól, bym stał się Twoim narzędziem. Pozwól mi usprawiedliwić ich winy i pozwól, by mój ukochany spotkał Cię w życiu wiecznym.*

*Dopiero wtedy odzyskam nadzieję.*

*Dopiero wtedy uzyskam spokój.*

MIĄŁA NA SOBIE zieloną markową garsonkę. Nikt, patrząc na nią, nie podejrzewał, że kupiła ją na ciuchach za osiemdziesiąt dziewięć pięćdziesiąt. Brakujący guzik przy spódnicy zastąpiła agrafką, ale nie było tego widać.

Przywołała kelnera i zamówiła drugą lampkę białego wina.

Jej wybranek siedział dwa stoliki dalej, między nimi nie było ludzi. Jeszcze nie przystąpiła do akcji, nie mogła więc ocenić, w jakim stopniu jest świadom jej obecności.

Był zajęty przystawką.

Ma dużo czasu.

Wypiła łyk wina. Było wytrawne i dobrze schłodzone. Na pewno drogie. Nie spytała o cenę, nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

Kącikiem oka zauważyła, że na nią patrzy. Niby przypadkiem napotkała jego spojrzenie; podniosła wzrok znad kieliszka i nie okazując mu cienia zainteresowania, obserwowała lokal.

Francuska sala „Grandu” robiła wrażenie. Była tutaj już trzy razy, ale ten wieczór będzie na jakiś czas ostatni. Szkoda, bo w pokojach zawsze są świeże owoce, a w łazienkach wspaniałe, grube ręczniki, w dodatku w takich ilościach, że bez najmniejszego ryzyka można parę sztuk wynieść w teczce.

Ale nie wolno kusić losu. Gdyby personel ją rozpoznał, skutki byłyby opłakane.

Czuła, że znowu na nią patrzy. Wyjęła z teczki kalendarz i otworzyła na aktualnym dniu. Z lekką irytacją, niecierpliwie uderzyła polakierowanymi na czerwono paznokciami w blat stolika. Jak mogła umówić się na dwa spotkania jednocześnie? Na domiar złego z dwoma najlepszymi klientami!

Kącikiem oka dostrzegła, że mężczyzna ciągle się jej przygląda.

Obok przechodził kelner.

– Czy mogłabym skorzystać z telefonu?

– Oczywiście.

Podszedł do bufetu. Śledziła go spojrzeniem. Po chwili wrócił z bezprzewodowym aparatem.

– Proszę. Przez zero.

– Dziękuję.

Wybrała zero i odszukała numer w kalendarzu.

– Dzień dobry, tu Caroline Fors ze Swedish Laval Separator. Omyłkowo umówiłam się na dwa spotkania jutro przed południem. Będę dwie godziny później.

– Dwudziesta dwadzieścia pięć. Pip.

– Znakomicie... Wobec tego do zobaczenia.

Z westchnieniem wpisała „salami 14.00” pod „mieszkanie w suterenie” i zamknęła kalendarz.

Kiedy podnosiła kieliszek do ust, ich spojrzenia się spotkały. Nie odrywał od niej wzroku.

– Jakież komplikacje? – zapytał z uśmiechem.

Uśmiechnęła się, lekko speszona, i wzruszyła ramionami.

– To się często zdarza – kontynuował, rozglądając się po sali.

Zarzucona przynęta zrobiła swoje.

– Czekają pani na kogoś?

– Nie, nie. Chciałam tylko wypić kieliszek wina przed snem, zanim pójdę do pokoju.

To był długi dzień.

Włożyła kalendarz do teczki. Za chwilę będzie go miała. Kiedy postawiła teczkę na podłodze, odsunął przystawkę i podniósł kieliszek w jej stronę.

– Może potrzebuje pani towarzystwa?

Ledwie zaczęła, i proszę. Z lekkim uśmiechem wyciągała zdobycz. Byle tylko nie za szybko. Odrobina dystansu nigdy nie zaszkodzi. Wahala się kilka sekund.

– Owszem. Ale niedługo będę musiała wyjść.

Wstał, wziął swój kieliszek i usiadł naprzeciwko niej.

– Jörgen Grundberg. Bardzo mi miło.

Wyciągnął rękę. Uścisnęła ją i przedstawiła się:

– Caroline Fors.

– Ładne imię. I ładna właścicielka. Na zdrowie.

Na palcu jego lewej dłoni zaśniła ślubna obrączka. Podniosła kieliszek.

– Na zdrowie.

Kelner szedł z gorącym daniem dla pana Grundberga. Widząc, że klienta nie ma przy

stoliku, przystanął. Jörgen Grundberg dał mu znak ręką.

– Jestem tutaj. Przyjemniejszy stąd widok.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem, ale na szczęście pan Grundberg nie poświęcał nadmiernej uwagi nastrojom bliźnich.

Na stoliku stanął biały talerz przykryty srebrnym kloszem. Jörgen Grundberg rozłożył elegancko zwiniętą serwetkę i umieścił na kolanach. Zatarł ręce. Cieszył się na ten posiłek.

– A pani nic nie zje?

Burczało jej w brzuchu.

– Nie miałam takich planów.

Kiedy podniósł klosz, załaskotał ją w nozdrza wyborny zapach czosnku i rozmarynu. W ustach zaczęła się zbierać ślina.

– Ależ musi pani coś zjeść. Koniecznie.

Nie patrzył na nią. Był zajęty krojeniem sznycla jagnięcego.

– Ten, kto nie je, ten nie żyje – kontynuował, podnosząc do ust porządnie obciążony widelec. – Czy mama pani o tym nie mówiła?

Mówiła. O tym i o wielu innych rzeczach. Choćby z tego powodu powinna odmówić. Ale chciało jej się jeść. Owoce w pokoju nie były już tak nęcące.

Przeżuwając pierwszy kęs, wezwał kelnera. Kelner podszedł natychmiast i taktownie odczekał, aż Grundberg przełknie.

– Poprosimy o to samo dla pani. Niech pan dopisze do mojego rachunku, pokój czterysta siedem.

Uśmiechnął się do niej, wyjął z kieszeni kodowany klucz i pokazał kelnerowi.

– Czterysta siedem.

Kelner odwrócił się i odszedł.

– Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu.

– Sama mogę za siebie zapłacić.

– Nie wątpię. Chcę się jednak zrewanżować za natarczywość.

Czemu nie. Niech płaci.

Wypiła łyk wina. Dobrze, aż za dobrze. Sam się napraszał. Wcinał sznycle, całkowicie tym pochłonięty. Jakby na chwilę zapomniał, że jest w towarzystwie.

Patrzyła na niego. Oceniała go na pięćdziesiąt lat. Miał na sobie drogi garnitur, a ponieważ bez zmrużenia oka zamówił dwa gorące dania w sali francuskiej „Grandu”, z pewnością nie narzeka na brak gotówki.

Doskonale.

Chyba lubił dobrze zjeść. Wylewający się z kołnierzyka tłusty podbródek sięgał węzła krawata.

Niewprawne oko może dałoby się zwieść jego wyglądem, ale jej nikt nie oszuka. Typowy nowobogacki. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby go nauczyć właściwych manier przy stole. Nikt nie zrzucał mu łokcia z blatu i nie karmił za wkładanie noża do ust.

Wypadało mu tylko pogratulować.

Poza tym jadł sztuczkami do przystawki.

Kiedy postawiono przed nią talerz, Jörgen Grundberg kończył posiłek. Kelner zdjął srebrny klosz. Musiała się hamować, żeby nie pójść w ślady współtowarzysza i nie rzucić się na jedzenie. Odkroiła kawałeczek sznycla i powoli go przeżuwała. On wyskrobał resztki sosu i bez żenady oblizał nóż.

– Rzeczywiście bardzo smaczne – powiedziała. – Dziękuję panu.

– *You're welcome.*

Uśmiechnął się i beknął, zasłaniając usta serwetką. Potem odsunął talerz, wyjął z kieszeni biały pojemnik, otworzył, wyłuskał podłużną kapsułkę i popił winem.

– Swedish Laval Separator. To jest coś.

Schował lekarstwa do kieszeni. Jadła dalej. Lekko wzruszyła ramionami. Moment był dosyć ryzykowny.

– A pan? Czym pan się zajmuje?

Ciekawe, że to zawsze odnosiło pożądaną skutek. Jakby wszyscy mężczyźni w drogich garniturach byli klonami tego samego praojca. Kiedy tylko mieli okazję pochwalić się swoimi osiągnięciami, zapominali o wszystkim innym.

– Branża importowa. Przeważnie elektronika. Wyszukuję nowości i zlecam produkcję na Łotwie i Litwie. Rozumie pani, koszty produkcji stanowią tylko jedną trzecią, jeśli...

Głędził o swoim genialnym biznesie, a ona rozkoszowała się jedzeniem. Czasami patrzyła na niego, kiwała głową z zainteresowaniem i chłonęła zapach czosnku i rozmarynu.

Kiedy talerz był pusty, zdała sobie sprawę, że Grundberg umilkł, i podniosła wzrok. Najwyższy czas na kolejny krok. Nie dopiła wina, ale cóż, trudno.

– Wyśmienita kolacja. Dziękuję.

– A jednak była pani głodna.

Odłożyła sztuczkę. Przynajmniej jedna osoba przy stole wiedziała, jak formalnie należy zakończyć posiłek.

Był idiotycznie zadowolony.

– Umiem odgadnąć, czego trzeba kobiecie – powiedział z uśmiechem.



Zastanawiała się, czy dotyczy to również jego żony.

– Dziękuję za smaczną kolację i miłe towarzystwo, ale teraz muszę się już pożegnać.

Złożyła serwetkę.

– Czy nie dałaby się pani namówić na coś mocniejszego w pokoju?

Ich spojrzenia spotkały się nad kieliszkami.

– Nie, dziękuję. Jutro czeka mnie kolejny długi dzień.

Zanim zdążył ją powstrzymać, przywołała kelnera. Zjawił się w ciągu sekundy.

– Proszę o rachunek – powiedziała.

Kelner uprzejmie skinął głową i zaczął zbierać ze stołu. Rzucił okiem na skrzyżowane sztucce Grundberga.

– Czy pan już skończył?

Słyszac lekka ironię w jego głosie, ukryła uśmiech za kieliszkiem wina. Grundberg przytaknął, nieświadomy uszczypliwości.

– Proszę mi pozwolić zapłacić – powiedział. – Przecież się umówiliśmy.

Chciał położyć rękę na jej dłoni, ale szybko ją cofnęła.

– Za wino sama zapłacę.

Zdjęła torebkę z oparcia krzesła.

On jednak nie ustępował.

– Nie. Nie ma o czym mówić.

– To ja o tym decyduję.

Kelner odszedł. Grundberg uśmiechał się do niej. Zaczynał ją irytować, odpowiedziała mu ostrzej, niż zamierzała. Jeszcze za wcześnie, by go do siebie zrażać. Uśmiechnęła się. Otworzyła torebkę, błyskawicznie ją przeszukała.

– Boże!

– Co się stało?

– Nie ma portfela.

Jeszcze raz gorączkowo przejrzała torebkę. Potem ukryła twarz w dłoni i głęboko westchnęła.

– Spokojnie. Czy jest pani pewna, że nie ma go w teczce?

Wstąpiła w nią nadzieja, chodziło jej przede wszystkim o to, by wstąpiła w niego, i szybko postawiła teczkę na kolanach. Nie widział zawartości, i całe szczęście, bo pewnie by się nieco zdziwił, gdyby w teczce Caroline Fors prócz kalendarza zobaczył kawałek mortadeli i scyzoryk.

– Nie, nie ma. Boże, zostałam okradziona!

– No, no, no. Spokojnie. Jakoś to załatwimy.

Kelner wrócił z rachunkami na srebrnej tacce. Grundberg wyjął kartę American Express.

– Płacę za panią i za siebie.

Kelner spojrzał na nią. Pokiwała głową. Odwrócił się i odszedł.

– Wszystko panu zwrócę, gdy tylko...

– Nie ma o czym mówić. Jakoś to rozwiążemy.

Znów ukryła twarz w dłoni.

– No tak, w portfelu był voucher na hotel. Zostałam bez pokoju. Mój Boże – zakończyła z emfazą i zrezygnowana pokręciła głową.

– Zajmę się tym, jeśli pani pozwoli. Porozmawiam z recepcją.

– Nie mam prawa wymagać, żeby...

– Oczywiście, że pani ma. Rozliczymy się, kiedy wyjaśni się sprawa z portfelem. Nie ma pośpiechu. Proszę tu na mnie poczekać.

Wstał i ruszył do recepcji.

Wypiła łyk wina.

Na zdrowie.

W windzie i na korytarzu okazywała mu ogromną wdzięczność. Trzymał dwie szklaneczki whisky i pod drzwiami jej pokoju po raz ostatni ponowił próbę.

– Nie zmieniła pani zdania o czymś mocniejszym przed snem?

Puścił do niej oko.

– Żałuję, ale muszę jeszcze zadzwonić w kilka miejsc i zablokować wszystkie konta.

Uznał ten powód za rozsądny, wręczył jej whisky i westchnął.

– Szkoda.

– Może innym razem.

Prychnął i dał jej klucz.

– Bardzo jestem panu wdzięczna za pomoc.

Myślała tylko o tym, żeby wejść do pokoju. Wsunęła klucz w otwór pod klamkę. Położył rękę na jej dłoni.

– Jestem w czterysta siódmym. Gdyby pani zmieniła zdanie... Mam lekki sen.

Nie rezygnował. Maksymalnie się kontrolując, wolno odsunęła rękę.

– Będę o tym pamiętać.

Klucz nie otwierał. Mechanizm nie wydał żadnego dźwięku. Spróbowała jeszcze raz.

– Oj! – powiedział z uśmiechem. – To chyba klucz do mojego pokoju. Może to znak?

Odwróciła się i spojrzała na niego. Trzymał jej klucz w dwóch palcach. Czowała, że za chwilę straci cierpliwość. Wyjęła plastikową kartę z jego dłoni, jego klucz wsunęła mu do kieszeni. Drzwi otworzyły się natychmiast.

– Dobranoc.

Weszła do pokoju. Przypominał zawiedzione dziecko, które nie dostało obiecanego cukierka. Musiała przyznać, że mimo wszystko był dosyć miły. Malutkim cukierkiem może go przecież poczęstować. Zniżyła głos.

– Odezwę się, kiedy tylko dokuczy mi samotność.

Zajaśniał jak wiosenne słońce i mając taki widok przed oczyma, zamknęła drzwi i przekręciła gałkę.

*Have a nice life.*

ODKREĆCIŁA KRANY i zdjęła perukę. Ani sekundy dłużej. Swędziała ją skóra, pochyliła się i zanurzyła paznokcie we włosach. Wyprostowała się i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Życie jej nie oszczędzało. Miała trzydzieści dwa lata, ale nawet ona dałaby sobie dziesięć lat więcej. Choć niepowodzenia i rozczarowania odcisnęły się siecią zmarszczek wokół oczu, nie prezentowała się najgorzej. W każdym razie na tyle dobrze, żeby robić wrażenie na mężczyznach pokroju Jörgena Grundberga. I o nic innego jej nie chodziło.

Wanna była pełna i kiedy do niej weszła, woda przelała się przez krawędź. Wychyliła się, żeby podnieść rzuconą na dywanik garsonkę, co przyniosło wiadomy skutek. Potem ją powiesi na suszarce do ręczników.

Ułożyła się wygodnie. To właśnie nadawało życiu sens. Gdyby tak było zawsze, nie miałyby chyba większych wymagań. Jej wieczne wędrówki z plecakiem sprawiły, że ceniła sobie takie drobiazgi. Drobiazgi, które dla innych były najnormalniejsze w świecie i na które w ogóle nie zwracali uwagi.

Ona też tak kiedyś żyła, wiedziała więc, co mówi. Mimo że było to dawno temu.

Dyrektorska córka, Sybilla Wilhelmina Beatrice Forsenström, kąpała się codziennie, jakby to było oczywiste prawo każdego człowieka. Może i było, ale jego wartość poznała dopiero wtedy, kiedy się go pozbawiła.

Sybilla Wilhelmina Beatrice Forsenström.

Czy to dziwne, że nigdy się nie przystosowała? Już na chrście przypieczętowano jej

życiowe kalectwo.

Sybilla.

Nawet średnio zdolne dzieci ze szkoły w Hultarydzie objawiały wybitny talent do wymyślania słów rymujących się z jej imieniem. Nie było ani trochę lepiej, kiedy w kiosku w centrum pojawiły się kielbaski o tej nazwie, o czym uprzejmie informował przechodniów podświetlony szyld. Przybył nowy rym: kielbasa we wszelkich możliwych odcieniach znaczeniowych. A kiedy jej pozostałe imiona stały się powszechnie znane, radosna twórczość rozkwitła na całego.

Nasze dziecko jest wyjątkowe! Pewnie. A czyje dziecko takie nie jest?

Chociaż nie ulegało wątpliwości, że nie można jej było pomylić z dziećmi robotników, z którymi dzieliła szkolną codzienność. Matka Sybilli bardzo dobitnie podkreślała szczególną pozycję córki, co usprawiedliwiała dystansowanie się wobec niej wszystkich uczniów. Beatrice Forsenström dbała o to, by Sybilla знаła swoje miejsce w społecznej hierarchii, a – co najważniejsze – by inni o tym wiedzieli. Nic nie miało dla niej wartości, dopóki nie stawało się przedmiotem pożądania innych. Wyłącznie podziw i zazdrość przydawały różnym rzeczom odpowiedniej rangi.

Większość rodziców jej koleżanek i kolegów pracowała w fabryce jej ojca. Poza tym dyrektor Forsenström zajmował eksponowane stanowisko w zarządzie gminy, gdzie jego głos dużo znaczył. Od niego zależało zatrudnienie mieszkańców Hultarydu, o czym wiedziały wszystkie dzieci. Ale one jeszcze nie szukały pracy, w tym wieku miały ambitniejsze plany niż przejmowanie po mamie czy tacie miejsca przy maszynie w „Metall & Smide” Forsenströma. Mogły sobie pozwolić na rymowanki, które wykrzykiwały na szkolnych korytarzach.

Jakby dyrektora Forsenströma to obchodziło.

Pochłaniało go prowadzenie swojego świetnie prosperującego rodzinnego przedsiębiorstwa. Na wychowywanie dzieci nie miał czasu, wcale go to zresztą nie interesowało, nikt nie mógł mu zarzucić, że zdeptuje prawdziwy perski dywan, po którym trzeba było przejść, by się dostać do pokoju Sybilli. Opuszczał posiadłość rano, wracał wieczorem i razem spożywali kolację. Siedział u szczytu stołu, najczęściej zatopiony w myślach albo w papierach i wykresach. Nie miała zielonego pojęcia, co się kryje pod nienaganną fasadą. Grzecznie wszystko zjadała i jak tylko uzyskała zgodę, odchodziła od stołu.

– No tak. A teraz idź do siebie i połóż się.

Sybilla wstawała i brała swój talerz.

– Zostaw, Zrobi to Gun-Britt.

W szkole sami musieli odnosić naczynia. Zawsze miała kłopot z zapamiętaniem, jakie reguły obowiązują w szkole, a jakie w domu. Zostawiała talerz, podchodziła do ojca i szybko całowała go w policzek.

– Dobranoc, ojcze.

– Dobranoc.

I ruszała do drzwi.

– O niczym nie zapomniałaś, Sybillo?

Odwracała się i patrzyła na matkę.

– Nie powiesz mi „dobranoc”? Przecież wiesz, że w środy chodzę do Klubu Kobiet. Czy kiedykolwiek to zapamiętasz?

– Przepraszam.

Podchodziła do matki i cmokała ją w policzek. Pachniał pudrem i zwietrzałymi perfumami.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, poproś Gun-Britt.

Gun-Britt sprzątała, gotowała i pomagała jej w odrabianiu lekcji. Pani Forsenström nie miała na to czasu. Musiała przecież myśleć o działalności charytatywnej. Co by się stało z biednymi dziećmi w Biafrze, gdyby nie Beatrice Forsenström?

Sybilla pamięta, jak zazdrościła tym dzieciom, które były tak daleko i tak się bały, że panie mieszkające po drugiej stronie kuli ziemskiej musiały znaleźć dla nich czas. Jako sześciolatka postanowiła coś w tej sprawie zrobić i jedną noc przespała na ciemnym okropnym strychu, mając nadzieję, że też będzie się bała. Kiedy wszyscy spali, zakradła się tam z poduszką i położyła na stercie szmaciaków. Naturalnie Gun-Britt znalazła ją następnego dnia rano i natychmiast wszystko wypaplała Beatrice. Bura trwała ponad godzinę, po czym mama dostała ataku migreny, który trwał kilka dni. Oczywiście z winy Sybilli.

Ale za jedno mogła matce podziękować. Po blisko osiemnastu latach spędzonych w posiadłości Forsenströmów wykształciła w sobie nieprawdopodobną wręcz zdolność odczytywania i rejestrowania nastroju otoczenia. Jak sejsmograf, powodowana instynktem samozachowawczym, potrafiła przewidzieć wszystkie kaprysy i wybuchy matki i nauczyła się ich unikać. Dzięki temu była niezwykle wyczulona na język ciała i reakcje ludzi. W późniejszym życiu miała z tego ogromny pożytek.

W wannie zrobiło się chłodniej. Wstała, otrząsając się z wody i wspomnień. Na grzejniku obok wisiał gruby miękki szlafrok. Owinęła się nim i weszła do pokoju. W telewizji pokazywali jakiś amerykański sitcom. Usiadła, popatrzyła przez chwilę i starannie zmyła

lakier z paznokci.

Czystość i zdrowie.

Reguła Numer Jeden.

Tym się właśnie różniła od innych bezdomnych z kręgu jej znajomych i dzięki temu była ciut wyżej w tej ogólnej nędzy.

Liczył się wygląd. Nic więcej.

Szacunek był pisany tylko tym, którzy żyli zgodnie z konwencjami i zanadto nie odstawali od reszty. A ci, którym się to nie powiodło, nie mogli oczekiwać na lepsze traktowanie. Słabość zawsze prowokuje. Ludzie pozbawieni dumy przerażają. Ludzie pozbawieni dumy zachowują się bez cienia wstydu. Jeśli tacy są, to chyba sobie na to zasłużyli? Człowiek ma przecież wybór. Niech więc sobie leży we własnych odchodach, skoro tego chce. Jeśli będziecie grzeczni, dostaniecie jałmużnę, ale tylko tyle, żebyście nie umarli z głodu. Nie jesteśmy przecież potworami, co miesiąc płacimy podatki, żeby tacy jak wy otrzymali pomoc. Więc nie podchodźcie do nas w metrze, nie wyciągajcie swoich odrażających łap, żądając jeszcze więcej. To bardzo nieprzyjemne. My robimy swoje i wy robicie swoje. Jeśli macie jakieś zastrzeżenia, to weźcie się, do cholery, do jakiejś pracy. Otrząśnijcie się. Co? Mieszkanie? Myślicie, że nam przysłali mieszkania pocztą, jak paczkę? Jeśli o to chodzi, powinno się wybudować jakiś dom dla takich jak wy. W naszej dzielnicy? Nigdy w życiu. Musimy myśleć o dzieciach. Nie chcemy tutaj żadnych mętów, złodziei i ćpunów, którzy wszędzie zostawiają strzykawki. Ale gdzie indziej, owszem.

Bo to naprawdę straszne, że ludzie nie mają gdzie mieszkać.

Posmarowała się niebiesko-białym kremem i spojrzała na kuszące łóżko. To fantastyczne uczucie. Siedzieć w ciepłe po kąpieli i wiedzieć, że czeka prawdziwe łóżko i niczym niezmacony sen.

Postanowiła jeszcze chwilę posiedzieć, żeby się nacieszyć tą wiedzą.

*Mama wiedziała, że jestem inny. Dlatego zawsze bardzo się bała, że będę rozczarowany. Za każdym razem, kiedy naprawdę czegoś pragnąłem, próbowała mnie przygotować na najgorsze; jak bym się czuł, gdyby mi się nie powiodło. Żeby mnie ochronić przed bólem, przyzwyczajała mnie do tego, bym nie oczekiwał zbyt wiele.*

*Ale jeśli wszystkim wysiłkom towarzyszy myśl o ewentualnej porażce, porażka staje się celem samym w sobie.*

*Nie mogę tak dłużej żyć. Już nie.*

*Rune był wszystkim, czego kiedykolwiek pragnąłem. Przez całe życie czekałem, żeby spotkać kogoś takiego jak on, i nagle to się ziściło. Stał się dla mnie ważniejszy niż życie.*

*Tyle razy Cię pytałem, czy to dlatego powinienem być ukarany.*

*Czy grzech cielesny był tak duży, że nie mogłeś, Panie, radować się naszą miłością? Odebrałeś mi go i nigdy nie przywitałeś w swoim królestwie.*

*Zapytałem Cię, Boże, czego trzeba, by zyskał przebaczenie.*

*Gdzie bowiem jest testament, tam musi być stwierdzona śmierć tego, który go sporządził. Bo testament jest prawomocny z chwilą śmierci, a nie ma nigdy ważności, dopóki żyje ten, kto go sporządził. Dlatego i pierwsze przymierze nie zostało zapoczątkowane bez rozlewu krwi. A według zakonu niemal wszystko bywa oczyszczane krwią, i bez rozlania krwi nie ma odpuszczenia.*

*Dziękuję Ci, Panie, że pozwoliłeś mi zrozumieć, co muszę zrobić.*

OBUDZIŁO JĄ głośnie pukanie do drzwi. Całkowicie przytomna, wstała i zaczęła się rozglądać za ubraniami. Jak to, u diabła, możliwe, że zasnęła? Zegarek w radiu wskazywał za kwadrans dziewiątą. Ciekawe, czy Grundberg już się zorientował, że został oszukany, czy się po prostu zbudził z niebywale nagłym wzrodem.

– Chwileczkę!

Wpadła do toalety i pozbierała ubrania.

– Halo! Proszę otworzyć! Chciałabym zadać kilka pytań.

Cholera. To nie Grundberg, tylko jakaś kobieta. Pewnie, mimo nowej peruki, rozpoznał ją ktoś z personelu.

Cholera. Cholera. Cholera.

– Jestem nieubrana.

Za drzwiami zaległa cisza. Podbiegła do okna. Nie, tędy się nie wydostanie.

– Policja! Proszę się pospieszyć.

Policja! Jasna cholera!

– Za chwilę będę gotowa. Jeszcze dwie minutki.

Przyłożyła ucho do drzwi i usłyszała oddalające się kroki. Przed sobą miała mapkę drogi ewakuacyjnej z wyjściami awaryjnymi. Studiowała ją, zapinając spódnicę na agrafkę. Sprawdziła numer pokoju i skonstatowała, że od schodów przeciwpożarowych dzieli ją dwoje drzwi. Chwyła kurtkę i torebkę i znów nasłuchiwała z uchem przy drzwiach. Ostrożnie je uchyliła i wyjrzała. Pusto. Bez wahania wyszła na korytarz i jak najciszej zamknęła drzwi. Chwilę później zbiegała po schodach, mając nadzieję, że zaprowadzają do wyjścia na ulicę. I wtedy sobie przypomniała. Teczka. Została w pokoju 312. Zatrzymała się, po kilku sekundach wahania uznała, że lepiej o niej zapomnieć. I o peruce w łazience. Siedemset czterdzieści koron diabli wzięli. Inwestycja, która miała jej przynieść znacznie więcej spokojnie przespanych nocy. Nawet nie zdążyła wziąć mydełek i małych buteleczek szamponu.



Schody się skończyły i stanęła przed metalowymi drzwiami, nad którymi świeciła się zielona lampka z napisem „wyjście awaryjne”. Przekręciła gałkę i uchyliła drzwi. Dwadzieścia metrów dalej zobaczyła radiowóz, ale pusty, i to ją ośmieliło. Rozejrzała się. Stała na tyłach „Grandu”. Na Stallgatan był korek, bez pośpiechu precyzyjnie się między samochodami i przecięła Blasieholmstorg. Przy Arsenalgatan skręciła w prawo, minęła „Bernsa” i dotarła do Hamngatan. Nikt jej nie śledził, ale na wszelki wypadek poszła dalej, przez Norrmalmstorg i Biblioteksgatan. Tutaj zwolniła i natknąwszy się na kafejkę, postanowiła wejść, żeby zebrać myśli.

Usiadła jak najdalej od okna.

Tym razem naprawdę niewiele brakowało, odkąd zaczęła sobie fundować noclegi w hotelu. O „Grandzie” może na razie zapomnieć. Nie była w stanie pojąć, jak Grundberg ją przejrzał. Czy rozpoznał ją ktoś z personelu i zadzwonił do niego? Jeśli tak, to dlaczego pozwolił jej zostać przez całą noc? Nigdy się nie dowie. I bardzo dobrze.

Rozejrzała się.

Wokół niej ludzie jedli śniadanie. Chciałaby mieć trochę pieniędzy. Dopiero teraz poczuła ból gardła. Zastanawiała się, czy nie ma gorączki. Dotknęła ręką czoła. Trudno powiedzieć.

Spojrzała na datę w zegarku. Znowu stanął. Miała go od siedemnastu lat, od konfirmacji. Prezent od rodziców. Żeby jej się dobrze wiodło.

Tak, tak.

Ale teraz była w miarę szczęśliwa. Teraz, kiedy postanowiła coś zrobić ze swoim marnym życiem, zaczynała wierzyć, że powinno jej się udać. W każdym razie jest dużo szczęśliwsza niż wtedy, kiedy uchodziła za dobrze wychowaną dyrektorską córkę. Najpierw przestała być dobrze wychowana, chociaż nie bardzo rozumiała, jak to się stało. Potem wyszły na jaw jej inne wady, skończyła się cierpliwość w wielkopańskiej posiadłości i już nie była dyrektorską córką.

Ale co miesiąc, rok po roku, w skrytce pocztowej na Drottningatan pojawiała się biała koperta bez nazwiska nadawcy. I co miesiąc było w niej tysiąc pięćset koron.

Nic więcej, nigdy ani jednego słowa, nie mówiąc o pytaniu, jak sobie radzi. Matka płaciła z obowiązku sumienia, tak jak dzieciom z Biafry. Ojciec najprawdopodobniej o niczym nie wiedział.

Opłata za skrytkę pocztową wynosiła sześćdziesiąt dwie korony.

Miesięcznie.

Podeszła do jej stolika młoda kelnerka z kółkiem w nosie i spytała, czy chce coś zamówić. Chętnie by zamówiła, gdyby miała pieniądze. Pokręciła głową, wyszła na Biblioteksgatan i ruszyła w kierunku Centralnego. Musi się przebrać.

Była pośrodku Norrmalmstorgu. Nagle zobaczyła jaskrawożółty nagłówek i duże czarne litery. Przeczytała trzy razy, zanim do niej dotarło, co czyta. Wyjęła gazetę ze stojaka.

Dodatek nadzwyczajny.

Bestialski mord w „Grand Hotelu”.

#### TT SZTOKHOLM

Wczoraj późnym wieczorem w „Grand Hotelu” w śródmieściu Sztokholmu został zamordowany mężczyzna. Przyjechał służbowo ze środkowej Szwecji, dwa dni temu zatrzymał się w hotelu. Według personelu miał opuścić Sztokholm w piątek. Policja zachowuje się bardzo powściągliwie, ujawniła jedynie, że personel znalazł ciało tuż po północy, kiedy jeden z gości powiadomił o plamach krwi przed drzwiami pokoju zamordowanego. Zdaniem policji zwłoki zostały zbezczeszczone.

Policja nie wpadła na razie na trop mordercy, ma jednak nadzieję, że przesłuchania personelu i gości „Grandu” pozwolą wyjaśnić przebieg wydarzeń. W chwili przekazywania tego materiału do druku trwa badanie miejsca zbrodni i „Grand Hotel” jest zagrodzony. Przed południem ciało będzie poddane oględzinom sądowo-lekarskim w Solnej. Przesłuchania personelu i gości potrwają przypuszczalnie cały dzień, po czym blokady zostaną zniesione.

To tyle.

Na całej stronie widniało zdjęcie „Grand Hotelu”. Część druga artykułu dotyczyła innych morderstw popełnionych w Szwecji w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Zamieszczono nazwiska, wiek i fotki ofiar.

To dlatego pukali do jej drzwi. Świetnie, że uciekła. Jak by wytłumaczyła swoją obecność w jednym z najdroższych hoteli w Sztokholmie? Nawet nie było jej stać na kawę w kafejce. Kto by to zrozumiał, że co jakiś czas funduje sobie noc w prawdziwym łóżku? Zawsze na koszt kogoś, kogo to ani ziębi, ani grzeje. Z całą pewnością nikt jej nie zrozumie. Nikt, kto sam tego nie doświadczył.

– To nie biblioteka. Kupuje pani gazetę, czy nie?

Kioskarz patrzył na nią z irytacją. Zamiast odpowiedzi karnie wsunęła gazetę na

miejsce.

Było chłodno, bolało ją gardło. Ruszyła na Centralny. Potrzebuje pieniędzy. Do najbliższej wypłaty zostały dwa dni. Podejmie ją ze skrytki nie wcześniej niż w poniedziałek.

Obok przechowalni bagażu na Centralnym stał automat rozmieniający banknoty. Podeszła i kilka razy nacisnęła podajnik.

– Co jest?!

Mówiła głośno i wyraźnie, żeby jej zdenerwowanie nie uszło niczyjej uwagi. Nacisnęła jeszcze kilka razy, westchnęła i rozejrzała się. Patrzył na nią mężczyzna stojący za ladą w przechowalni.

– Jakiś problem? – spytał.

– Nie działa. Zabrał mi sto koron, a za osiem minut mam pociąg...

Mężczyzna przycisnął jakiś klawisz w kasie, otworzyła się szufladka.

– Już wcześniej były z nim kłopoty.

Ale fart!

Odliczył dziesięć dziesięciokoronówek i położył na jej wyciągniętej dłoni.

– Proszę. Teraz pani zdąży.

Uśmiechnęła się i schowała monety do torebki.

– Bardzo dziękuję.

Kluczyk do skrytki bagażowej miała na szczęście w kurtce, nie w teczce, która została w „Grandzie”. Wyjęła plecak i poszła do damskiej toalety. Kilka minut później, już w dżinsach i pikowanej kurtce, podjęła decyzję. Spędzi noc u Johanssonów.

Zanim doszła do ogródków działkowych w Eriksdal, kupiła po drodze puszkę białej fasoli, chleb, dwa jabłka, colę i pomidora. Kiedy przecinała Eriksdalsgatan, spadły pierwsze krople deszczu. Ostatnio niebo było ołowianoszare i ten dzień nie stanowił wyjątku.

Domki wyglądały na opuszczone, cieszyła się, że ten pochmurny marcowy dzień nie zachęcał właścicieli działek do prac ogrodowych. Chociaż może jeszcze na to za wcześnie. Co prawda od dawna nie było śniegu, ale ziemia nie rozmarzła.

Po raz pierwszy przyszła tutaj w środku dnia, narażając się na duże ryzyko, była jednak zmęczona, w nie najlepszej formie i potrzebowała spokoju. Już nie wątpiła, że ma gorączkę.

Klucz leżał jak zwykle w wiszącej doniczce. Dorodnej pelargonii, która kwitła w niej latem, nie było, ale klucz pozostał na swoim miejscu. Kiedy zjawiała się tu pierwszy raz, natychmiast znalazła ten schowek. Było to blisko pięć lat temu.

Kurt i Birgit Johanssonowie, legalni właściciele działki, nie mieli pojęcia, że dzielą się nią z Sybillą. Opuszczała domek w takim stanie, w jakim go zastawała, dbała o to, by niczego nie zepsuć i nie zniszczyć. Wybrała. Johanssonów z powodu klucza, ale i dlatego, że ich meble miały solidne poduszki, bardzo wygodne do spania, i była tutaj kuchenka naftowa. Poznała ich zwyczaje. Najczęściej w gniazdku swoich marzeń spędzali lato. Jeśli dopisze jej szczęście, przez jakiś czas powinna mieć spokój.

W domku było rześko i wilgotno. Liczący około dziesięciu metrów kwadratowych pokój należał do większych na tym terenie. Pod krótszą ścianą były dwie kuchenne szafki i ocynowany zlew. Otworzyła szafkę pod zlewem, żeby sprawdzić, czy wiadro jest na swoim miejscu.

Pod oknem stał sfatygowany stolik i dwa różne krzesła. Kwieciste zasłonki znaczyły czarne kropki muszych odchodów. Zaciągnęła je, zdjęła z półki mosiężny świecznik i zapaliła świecę. Dygocąc z zimna, zasunęła zamek błyskawiczny kurtki i podeszła do kuchenki naftowej. Kanister był niemal pusty, po południu będzie musiała pójść na stację benzynową. Rozpaliła kuchenkę, wyjęła z szafki porcelanową miskę, włożyła do niej jabłko i pomidor i postawiła na stoliku. Życie nauczyło ją cenić drobiazgi, a jednym z nich było zapewnienie sobie jak najprzyjemniejszego otoczenia. Wyciągnęła z plecaka śpiwór i rozłożyła na poduszkach na podłodze. Były wilgotne, więc zanim wśliznęła się do środka, przykryła je matą.

Leżąc z rękami pod głową i przyglądając się boazerii na suficie, postanowiła zapomnieć o „Grand Hotelu”. Nikt nie wie, że tam była, a jeśli nawet, to nie dojdą, kim ona jest.

Z tym przeświadczeniem, bez cienia złych przeczuców powoli zapadała w coraz głębszy sen.

LEDWIE USŁYSZAŁA energiczne pukanie do drzwi, wiedziała, kto za nimi stoi.

Chodziła do szóstej klasy, mieli lekcję geografii i spojrzenia wszystkich powędrowały ku drzwiom.

– Proszę.

Nauczycielka z westchnieniem opuściła książkę. Do klasy weszła Beatrice Forsenström.

Sybilla zamknęła oczy. Wiedziała, że nauczycielka, tak jak ona, nie lubi niezapowiedzianych wizyt matki. Te krótkie spotkania rozpraszały uwagę i zawsze kończyły się żądaniem szczególnego traktowania Sybilli.

Tym razem chodziło o sprzedaż snopków zboża dla ptaków w czasie świąt Bożego Narodzenia. Sporo rodziców zebrało się w czwartkowy wieczór, żeby zrobić snopki i wieńce, które uczniowie mieli sprzedawać, chodząc od drzwi do drzwi, by w ten sposób zdobyć pieniądze na wiosenną wycieczkę.

Beatrice Forsenström nie wzięła w tym udziału.

Zbiorowe wysiłki rodziców to nie dla niej, ślęczenie przez cały czwartkowy wieczór nad idiotycznymi chłopskimi robótkami było poniżej jej godności. I, rzecz jasna, poniżej godności jej córki. To absolutnie wykluczone, żeby chodziła od drzwi do drzwi jak jakiś żebrak. Zawiadomienie, które Sybilla przyniosła ze szkoły, zmięta i wyrzuciła do kosza.

– Ile pieniędzy każdy uczeń powinien zebrać?

Irytacja w głosie Beatrice Forsenström nie uszła niczyjej uwagi.

Nauczycielka stanęła za katedrą.

– To zależy – powiedziała. – Nie bardzo wiem, ile uda nam się zebrać.

– Kiedy będzie pani wiedziała, byłabym wdzięczna za wiadomość. Moja córka nie weźmie w tym udziału.

Nauczycielka spojrzała na Sybillę. Sybilla spuściła wzrok i patrzyła na rozłożoną na ławce książkę. „Viskan, Ätran, Nissan, Lagan”.

– Myślę, że dla dzieci to coś niezwykle interesującego – zauważyła nauczycielka.

– Możliwe. Ale to nie dotyczy Sybilli. Jak tylko się dowiem, o jaką sumę chodzi, natychmiast przyniosę pani pieniądze.

– Podjęliśmy tę inicjatywę właśnie dlatego, żeby rodzice nie musieli wykładać pieniędzy na wycieczkę.

Beatrice Forsenström miała nagle zadowoloną minę. Sybilla odgadła, że matka sprowokowała nauczycielkę do powiedzenia tego, na co czekała, i że zaraz jej wygarnie. Zamknęła oczy.

– Muszę przyznać, że to dosyć szczególny wypadek, kiedy szkoła podejmuje taką decyzję bez wysłuchania racji wszystkich rodziców. Możliwe, że dla niektórych jest to jedyne wyjście, ja jednak wolę zapłacić za swoje dziecko, jeśli zachodzi taka potrzeba. W przyszłości

ja i mój mąż zyczylibyśmy sobie, by nas pytano o zdanie, kiedy będziecie podejmować tego typu zbiorowe decyzje.

Nauczycielka nic nie powiedziała.

Sybilla usłyszała, jak matka się odwraca i opuszcza klasę.

A miała być z Eriką. Nauczycielka podzieliła ich na pary, żeby nikt nie chodził sam. Cieszyła się na to od tygodnia.

Ledwie zamknęły się drzwi, dał się słyszeć pierwszy zarzut.

– Proszę pani, to niesprawiedliwe, że ona nie musi sprzedawać.

– Czy mogę się przyłączyć do Susanne i Evy? – z nadzieją w głosie spytała Erika.

Torbjörn, który siedział przed Sybillą, odwrócił się.

– Jak jesteś taka bogata, to możesz chyba zapłacić za wszystkich.

Zapiekł ją powieki. Niczego nie nienawidziła bardziej niż nagłego znalezienia się pod ostrzałem tylu spojrzeń.

– Zrobimy teraz przerwę – zdecydowała nauczycielka.

Hurgot odsuwanych krzesel. Kiedy Sybilla podniosła wzrok, była w klasie sama. Nie licząc nauczycielki za katedrą. Uśmiechnęła się lekko do Sybilli i westchnęła.

Sybilla poczuła, że cieknie jej z nosa, musiała to wciągnąć, żeby nie nakapać na ławkę.

– Przykro mi, Sybilla, ale nic nie mogę zrobić.

Sybilla pokiwała głową i spuściła wzrok. Na zdjęciu twierdzy w Varbergu zalśniły dwie krople, kiedy oczy przesłoniły łzy.

Nauczycielka podeszła do niej i położyła jej rękę na ramieniu.

– Jeśli chcesz, możesz tu zostać w czasie przerwy.

OBUDZIŁA SIĘ z niemiłym uczuciem. Pewnie śniło jej się coś przykrego. Gardło było opuchnięte, przełykanie sprawiało ból.

Kuchenka zgasła, postanowiła pójść po naftę. Kurtkę miała już na sobie, sięgnęła po buty. Były lodowate, nogi przeniknął ziąb. Uchyliła zasłonkę. Nikogo. Wzięła jabłko i otworzyła drzwi. Przestało padać, ale niebo było tak szare, że przesiewające się przez nie światło wydawało się czymś nieprawdopodobnym. Stanęła na schodkach i zamknęła drzwi.

Mały ogródek dobrze był przygotowany na zimę. Nie szczędzono wysiłków, by dostosować się do wszystkich zaleceń zawartych w książkach o ogrodnictwie. Zwiędłe kwiaty zostały ścięte i złożone na stercie kompostu pod ogrodzeniem, a część rabaty przykrywał świerkowy chrust. Pewnie tam zimowały najbardziej wrażliwe latorośle Johanssonów.

– Szuka pani kogoś?

Wzdrygnęła się i odwróciła. Stał za ogrodzeniem z jakimiś gałęziami w ręku po tej stronie, której nie było widać z okna.

– Dzień dobry. Ale mnie pan przestraszył!

Patrzył na nią podejrzliwie. Wiedziała z doświadczenia, że od czasu do czasu przemieszkiwali tutaj alkoholicy i narkomani, dlatego mogła zrozumieć jego nieufność.

– Kurt i Birgit poprosili mnie, żebym przypilnowała ich domku przez kilka tygodni. Pojechali na Wyspy Kanaryjskie.

Podeszła do niego i wyciągnęła rękę nad ogrodzeniem. Może przeholowała z tymi Wyspami Kanaryjskimi, ale było już za późno, żeby się z tego wycofać.

– Mam na imię Monika. Jestem siostrzenicą Birgit.

Uściskał jej dłoń.

– Uno Hjelm – przedstawił się. – Przepraszam, ale mamy tu oczy otwarte. Kręci się tyle rozmaitych typów.

– Tak, wiem. Dlatego chcieli, żebym od czasu do czasu zajrzała.

Skinął głową. Zauważyła, że jej kłamstwo trafiło na podatny grunt.

– A więc pojechali na Wyspy Kanaryjskie. Coś takiego. Tydzień temu w ogóle o tym nie wspomnieli.

No jasne, nic dziwnego.

– Bo to wypadło nieoczekiwanie. Udało im się załatwić tanią wycieczkę ze zwrotów.

Spojrzał w niebo.

– Oby mieli lepszą pogodę niż tutaj. To nie takie głupie gdzieś się na pewien czas wypuścić.

– Tak, na pewno.

Zatopił się w marzeniach o dalekich podróżach, co dało jej okazję do zakończenia pogawędki.

– Przejdę się i wrócę trochę później.

– Aha. Nie wiem, czy jeszcze tu będę. Chyba niedługo pójdę. Chciałem się tylko trochę rozejrzeć.

Pokiwała głową i podeszła do furtki. Miała nadzieję, że Kurt i Birgit nie pojawią się w tym czasie, kiedy będzie w Statoi.

Pan Hjelm mocno by się zdziwił.

Szła najszybciej, jak mogła. Z nalepki na śpiworze wynikało, że się sprawdza w temperaturach nieprzekraczających minus piętnastu stopni, a mimo to przemarzła podczas tej

krótkiej drzemki. Bardzo by się jej przydało kilka tabletek alvedonu. Może powinna o nie poprosić w placówce misyjnej?

Dochodziła do stacji benzynowej, kiedy znowu się rozpadało. Wysuszenie mokrych ubrań było prawdziwą udręką, więc ostatnie metry przebiegła. Żałowała, że nie ma parasolki. Cóż, placówka misyjna musi poczekać.

Przy drzwiach stacji wisiały nagłówki popołudniówek. Rzuciła na nie okiem. Jeden, żółty, zawierał sześć słów.

Przystanąła.

Ofiara mordercy.

Policja poszukuje tajemniczej kobiety

Pod spodem widniało zdjęcie. Nie miała wątpliwości, kogo przedstawia.

To był Jörgen Grundberg.

– MUSISZ O TYM MÓWIĆ akurat teraz? – zdziwiła się Beatrice Forsenström. – Wkładaj sukienkę.

Sybilla siedziała na łóżku w bieliźnie. Zdobyła się na odwagę i starannie wybrała najbardziej odpowiednią okazję. Jeśli jej matka kiedykolwiek mogłaby ewentualnie zmienić zdanie, to tuż przed wyjściem na doroczne przyjęcie bożonarodzeniowe. Wtedy zawsze dopisywał jej humor. Pełna oczekiwań, podniecona krążyła po domu, starając się, by wszyscy wypadli doskonale. To była jedna z tych okazji w roku, kiedy naprawdę mogła zabłysnąć swoją pozycją, co nie zawsze było takie łatwe w małym Hultarydzie.

– Proszę, pozwól mi sprzedawać. Przynajmniej przez jeden dzień.

Przekrzywiła głowę, żeby wyglądać wyjątkowo błagalnie. Może w tej chwili pełnej nadziei i oczekiwania matka okaże jej litość i spełni jej życzenie.

– Włóż te czarne buty – odpowiedziała, podchodząc do drzwi.

Sybilla przełknęła ślinę. Musi spróbować jeszcze raz.

– Proszę...

Beatrice Forsenström zatrzymała się i popatrzyła na córkę, marszcząc czoło.

– Nie słyszałaś, co powiedziałam? Moja córka nie musi zebrać po domach, żeby pojechać na wycieczkę. Jeśli naprawdę chcesz pojechać, to ja i ojciec za ciebie zapłacimy. Poza tym uważam, że powinnaś okazać mi wdzięczność, zamiast wszczynać kłótnię tuż przed bożonarodzeniowym przyjęciem ojca.

Sybilla wbiła wzrok w podłogę. Matka wyszła z pokoju.

Czyli dyskusja skończona. Raz na zawsze. Już samo to, że śmiała zakwestionować



decyzję matki, było szczytem bezczelności. Wiedziała, że wieczorem za to zapłaci. Na razie popsowała matce humor, a tego nie robi się bezkarnie.

Nie wróżyło to najlepiej. Już teraz było źle.

Przyjęcia bożonarodzeniowe w „Metall & Smide” sprawiały jej taką samą przyjemność jak plombowanie zębów. Dyrektor Forsenström i małżonka okazywali swoją życzliwość, organizując ucztę dla pracowników i ich rodzin. Obecność Sybilli była czymś oczywistym, poza tym, co naturalne, znowu zasiądzie przy stole dla gości honorowych, na niewielkiej estradce w miejscowej auli. Nie mogły tam siedzieć żadne inne dzieci. Miały osobny stół i dystans dzielący ją od nich był podczas tych bożonarodzeniowych imprez większy niż kiedykolwiek.

Sukienka leżała na łóżku jak szyderstwo. Kupiła ją babcia w jakimś eleganckim butik w Sztokholmie. Sybilli nawet nie przyszłoby do głowy poprosić o coś innego. Nikt przecież nie będzie brał pod uwagę tego, że ma dwanaście lat i że wszystkie inne dziewczynki przyjdą w dzinsach i sweterkach w serek. Zasiądzie na podium obok rodziców i będzie spoglądać na lud.

Włożyła sukienkę i przyjrzała się sobie w lustrze. Na piersiach, które nareszcie zaczęły jej rosnać, była zbyt opięta. Zapowiadał się straszny wieczór.

– I pamiętaj o niebieskich spinkach do włosów! – zawołała matka. – Gun-Britt może ci pomóc!

Godzinę później, z dwiema porządnie wpiętymi spinkami, siedziała między szefem działu sprzedaży a jego cuchnącą żoną. Zerknęła na młodzież, udzielając grzecznych odpowiedzi na przymilne pytania o to, jak sobie radzi z nauką. Czowała, że matka ją obserwuje, i zastanawiała się, w jaki sposób ukarze ją za krnąbrność.

Dowiedziała się dopiero przy deserze.

– Sybillo, czy mogłabyś nam coś zaśpiewać?

Pod krzesłem otworzyła się przepaść.

– Ale, mam, czy naprawdę muszę...

– Zaśpiewaj jedną z kolęd.

Szef działu sprzedaży uśmiechał się zachęcająco.

– Przyjemnie byłoby posłuchać kolędy. Znasz „Cichą noc...”?

Wiedziała, że jest w potrzasku. Nic nie mogła zrobić. Popatrzyła na ludzi przy stole. Wszyscy wpatrywali się w nią wyczekująco. Ktoś zaczął klaskać i wkrótce rozniosło się po sali, że Sybilla Forsenström będzie śpiewać. Twarze wokół stołu dla młodzieży zwróciły się

ku podium i rozległy się spontaniczne, chóralne okrzyki:

– Sybilla! Sybilla! Sybilla!

– Jak długo dasz się prosić? – zapytała matka. – Chyba widzisz, że wszyscy czekają.

Powoli odsunęła krzesło i wstała. Kiedy gwar na sali umilkł, wzięła oddech, żeby zacząć i jak najszybciej mieć to za sobą.

– Nic nie widać! – zawołał ktoś przy stole dla młodzieży. – Wejdz na krzesło!

Spojrzała błagalnie na matkę, która lekko skinęła dłonią, dając jej do zrozumienia, że może stanąć na krześle.

Nogi dygotały, bała się, że straci równowagę. Popatrzyła na młodych ludzi. Trudno było nie zauważyć ich szyderczych uśmiechów. To będzie punkt kulminacyjny przyjęcia.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła śpiewać drżącym głosem. Już po pierwszej linijce zorientowała się, że wybrała za wysoką tonację. Za nic sobie nie poradzi z końcówką. I rzeczywiście. Głos odmówił posłuszeństwa, chichoty na sali odczuła niczym smagnięcie batem. Czerwona na twarzy, usiadła i kilka sekund później szef działu sprzedaży zaczął bić brawo. Po chwili przyłączyli się inni. Napotkała wzrok matki. Już wymierzyła jej karę. Teraz będzie miała spokój.

Kiedy wracali do domu, ojciec był zadowolony z udanego wieczoru. Jego żona ochoczo mu przytaknęła i ujęła go pod ramię. Sybilla szła kilka kroków za nimi. Przystanęła, żeby podnieść jakiś ładny kamień. Matka odwróciła się.

– Dobrze, że zaśpiewałaś.

Właściwe znaczenie tych słów było dla nich obu oczywiste.

– Szkoda tylko, że końcówka nie wyszła najlepiej – dodała po chwili.

Sybilla zostawiła kamień, tam gdzie był.

PSIAKREW! – przeleciało jej przez głowę. A wydawał się taki doskonały. Uświadomiła sobie, że wdepnęła na całego. No jasne, że policja zainteresowała się kobietą, której postawił kolację, a potem dżentelmeńsko zafundował pokój w hotelu. To, że to nie ona jest ową tajemniczą osobą poszukiwaną przez policję, było równie prawdopodobne jak to, że ktoś zaproponowałby jej mały czerwony domek na archipelagu sztokholmskim.

Poczuła złość. Weszła na stację, chwyciła jedną z gazet i otworzyła na rozkładówce.

„Morderca zbezczeszczył ofiarę”.

Trzy słowa czarnymi wielkimi literami. Całą stronę zajmowało zdjęcie Jörgena

Grundberga, który uśmiechał się do obiektywu. Według niepotwierdzonych źródeł morderca pozbawił ofiarę organów wewnętrznych. Podobno na miejscu zbrodni znaleziono również jakiś symbol religijny. W związku z tym policja przypuszcza, że zabójstwo może mieć charakter rytualny.

– Ohydne, co?

Sybilla podniosła wzrok. Mężczyzna przy kasie wskazał głową gazetę. Przymknęła.

– Osiem koron... Czy coś jeszcze?

Wahała się. Osiem koron to dużo pieniędzy za trochę papieru. Dotknęła monet w kieszeni.

– Tak. Naftę.

Mężczyzna pokazał ręką na półkę. Podeszła tam i wzięła butelkę nafty.

Zostało jej dziewiętnaście koron.

Kiedy wróciła, Hjelma już nie było. Z trzaskiem zamknęła drzwi i rozłożyła gazetę. Po przeczytaniu czterech linijek wiedziała, że to jej szukają.

„Kim jest ta tajemnicza kobieta, z którą widziano Jörgena Grundberga w sali francuskiej wczoraj wieczorem i której udało się sforsować policyjne blokady? Wszelkie informacje prosimy przekazywać do centrali wydziału śledczego”. I numer telefonu.

Poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Już po kilku sekundach wiedziała, co to takiego. Uczucie zagrożenia. Co powinna zrobić? Może najprościej byłoby zadzwonić i wyjaśnić, że nie ma z tą sprawą nic wspólnego. Ale wtedy musiałaby się ujawnić, a to nie jest dobre wyjście. Wpisałiby jej numer osobowy w pierwszy lepszy komputer i dowiedzieliby się, że ktoś taki nie istnieje. Rozbudziłaby tylko ich ciekawość, a jedyne, na czym jej w życiu zależało, to święty spokój. Sama chciała sobie ze wszystkim radzić. Tak jak to robiła od blisko piętnastu lat i na razie nikt o nią nie pytał.

Drobne naruszenia prawa też chciała zachować dla siebie. Rzadko dotyczyły ludzi biednych. Nie była złym człowiekiem. Po prostu nigdy nie przystosowała się do ogólnie akceptowanych norm i jakiegokolwiek zmiany nie wchodziły już w rachubę.

Nie mieściła się w systemie.

Chciała tylko przeżyć. Na własnych warunkach. Wołała nawet nie myśleć, co gazety mogłyby zrobić z jej dotychczasowego życia. Nie była z siebie szczególnie dumna, ale niech szlag trafi tych, którzy próbowaliby wyskakiwać z własnymi poglądami albo się wtrącać. Nikt, kto tego nie doświadczył, nie zrozumie, dlaczego wszystko potoczyło się tak, jak się potoczyło. Było tak a nie inaczej i teraz chodziło o znalezienie najlepszego wyjścia z sytuacji.

Kto mógłby to zrozumieć? Przecież urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą.

– Ależ, Henry, nie mogę jej zabrać. Przecież wiesz, co było ostatnio.

Beatrice Forsenström wybierała się w odwiedziny do mamy i sióstr w Sztokholmie. Dyrektor Forsenström nie przepadał za nimi, zresztą z wzajemnością, dlatego matka Sybilli jeździła tam sama. Może rzeczywiście wyszła za jej ojca z miłości. W każdym razie na pewno wbrew woli rodziców. Prosperująca od dwóch pokoleń „Metalli & Smide” Forsenströma nie była wystarczająco nobilitowaną firmą dla rodziny Hallów z Östermalmu. Nowobogacki to nowobogacki, a liczą się wyłącznie zacni przodkowie i tradycja. Taka krew jest mile widziana. I co, u licha, ich córka miałaby robić w Hultarydzie? W takiej dziurze w Smalandii. Ale zrobisz, co zechcesz. Tylko się potem nie użalaj, kiedy się okaże, że mieliśmy rację.

Sybilla dowiedziała się tego przy kolacji u babci w Sztokholmie. Poza tym babcia była niezadowolona, choć niezbyt zdziwiona, że tyle czasu zajęło im wydanie dziecka na świat. Do czego to podobne? Beatrice urodziła Sybillę w wieku trzydziestu sześciu lat!

Babcia posiadała niezwykłą umiejętność komunikowania się za pośrednictwem zawołanych oskarżeń i insynuacji. Co w linii prostej przeszło na jej potomków. Sybilla, już jako osoba dorosła, zastanawiała się czasem, czy i ona nie odziedziczyła tych talentów. Nie było okazji, żeby to sprawdzić.

Wtedy miała jedenaście lat, siedziała na schodach i podsłuchiwała rozmowę rodziców.

– Kuzyni z trudem rozumieją, co ona mówi. Śmieją się z niej. Nie mogę jej na to narażać.

Henry Forsenström milczał. Może akurat czytał jakieś pismo.

– Mówi okropnym dialektem, dużo gorzej niż dziecko robotnika! – kontynuowała matka.

Ojciec westchnął.

– Nie ma się czemu dziwić – powiedział z bardzo wyraźnym smalandzkim akcentem.  
– Przecież tutaj się wychowała.

Beatrice Forsenström na chwilę umilkła. Choć Sybilla nie mogła tego widzieć, świetnie wiedziała, jaką matka ma teraz minę.

– W każdym razie uważam, że powinna zostać... Poza tym będę się mogła trochę rozerwać. Mama mówiła, że w następny piątek jest premiera „Trawiaty”.

– Naturalnie. Zrobisz, jak zechcesz.

I zrobiła.

Sybilla już nigdy nie pojechała z nią do Sztokholmu, a kiedy sama się tam znalazła,

było to w zupełnie innych okolicznościach.

KIEDY SIĘ OBUDZIŁA następnego dnia rano, całym ciałem czuła, że coś jest nie tak, czuła się jak w zamknięciu. Musi się stąd czym prędzej wydostać. Kuchenka zgasła. Marzła, na szczęście z gardłem było lepiej. Poprzedniego wieczoru martwiła się, że złapała anginę i że nie obejdzie się bez penicyliny. A to nie takie proste pójść do lekarza, kiedy się nie ma karty pacjenta. Wołałaby tego uniknąć. Zwłaszcza teraz, kiedy jej szukają.

Była głodna. Zjadła ostatni kawałek chleba, ale nie miała nic do picia. Colę wypiła do kolacji. Musi się zadowolić pomidorem i jabłkiem.

Zaczęła się pakować. Pieczołowicie odstawiała na miejsce świecznik i porcelanową miskę. Ułożyła poduszki, rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, zarzuciła plecak na ramię i otworzyła drzwi. Stała z ręką na klamce, niezdecydowana.

Od dawna nie czuła strachu.

Plecak zsunął się z ramienia. Zamknęła drzwi.

Cholera. Weź się w garść.

Odsunęła krzesło i usiadła, zatapiając twarz w dłoniach. Z płaczem skończyła raz na zawsze. Dawno temu doszła do wniosku, że to nie pomaga. Jeśli tylko zostawi się ją w spokoju i pozwoli samej troszczyć o siebie, nie będzie ku temu żadnego powodu. No, z pewnym wyjątkiem. Ale ukrywała to tak głęboko, że ból rzadko dawał o sobie znać. Wszystkie myśli zajmowało jedzenie. I to, gdzie spędzi najbliższą noc. Reszta zeszła na dalszy plan.

Teraz ma pieniądze.

Dotknęła piersi, gdzie w woreczku na szyi było 29 385 nietykalnych koron. Niedługo uzbiera wystarczająco dużo. To dzięki nim osiągnie cel, do którego dążyła przez ostatnie pięć lat i który dodawał jej sił. Postanowiła odmienić swój los. Marzył jej się dom o białych węglach, gdzieś, gdzie miałyby spokój i mogłaby żyć po swojemu. Może uprawiałyby warzywa. I hodowała kilka kur. Wodę mogłaby czerpać ze studni. Nie śniła o luksusie, tylko o własnych czterech ścianach.

Cisza i spokój.

Wiedziała, że jeśli się mieszka bez elektryczności i bieżącej wody, gdzieś na uboczu, z dała od utartych szlaków, może wystarczyć 40 000. A właśnie o takim miejscu na ziemi marzyła. W Norrlandii jest na pewno jeszcze taniej, ale chyba by nie wytrzymała długich zim. Wołała jeszcze trochę się pomęczyc.

Od pięciu lat, co miesiąc, odkładała najwięcej, ile mogła, z datków matki. A kiedy

pieniądze znalazły się w woreczku, przestawały istnieć. Bez względu na to, jak bardzo była głodna.

Jeszcze dwa lata i uzbiera dość pieniędzy.

Wyjęła banknoty i ułożyła w gwiazdę na stole. Zawsze wymieniała je w banku na inne, takie, których jej matka nie miała w ręku.

Przyglądając się im przez chwilę, poczuła się lepiej. To przeważnie pomagało. Następne posunięcie, które przywróci jej chęć walki, to wizyta w Biurze Pośrednictwa Obrotu Nieruchomościami. Musi być na bieżąco z cenami domów.

Schowała pieniądze do woreczka, z plecakiem na ramieniu wsunęła krzesło pod stół i wyszła. Lżejszym krokiem.

Zdażyła dojść do Ringen, kiedy przed kioskiem zobaczyła najnowsze nagłówki, i nagle straciła wszelką nadzieję. Już nie chodziło o to, żeby żyć z dnia na dzień. Teraz musi uciekać.

## KOBIETA

poszukiwana za

MORDERSTWO

Taki był tytuł. Pod tekstem zamieszczono zdjęcie. I nazwisko. „Sybilla Forsenström, lat 32”.

– Sybilla, nie patrz tak. Nie mogłabyś choć trochę się uśmiechnąć?

Ponieważ była wtedy dobrze wychowana, próbowała się uśmiechnąć. Z opłakanym rezultatem. Bez względu na to, jak wyglądała sekundę wcześniej, próba przyniosła odwrotny skutek. Tak samo musiała chyba uważać jej matka, bo nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek widziała to zdjęcie. Grzywka zakręcona na lokówkę, na skroniach żalodne kosmyki, przedziałek i to przegrane spojrzenie. Nic dodać, nic ująć.

Było jej niedobrze.

Miała dziewiętnaście koron. Gazeta kosztowała osiem.

Policja dokonała przełomu w sprawie 51-letniego Jörgena Grundberga, który wczorajszej nocy w „Grand Hotelu” padł ofiarą morderstwa. Podejrzaną jest 32-letnia Sybilla Forsenström, kobieta, o czym nadmieniał „Expressen”, widziana w czwartkowy wieczór w towarzystwie 51-latka. Obecnie jest poszukiwana i grozi jej aresztowanie. Recepcjonista pracujący w „Grand Hotelu” w czwartek w nocy poinformował policję, że to 51-latek zarezerwował pokój na nazwisko kobiety, które po sprawdzeniu okazało się fałszywe. 32-letniej Sybilli Forsenström udało się w piątek rano sforsować

policyjne blokady, ale zostawiła duży materiał dowodowy. Jedno ze źródeł podaje, że wieczorem miała na sobie perukę, którą znaleziono w pokoju hotelowym. Policja jest także w posiadaniu teczki, zawierającej być może narzędzie zbrodni. Policja nie chce się wypowiadać na temat rodzaju broni.

Sybillę Forsenström udało się zidentyfikować na podstawie odcisków palców pozostawionych na teczce i kodowanym kluczu ofiary. W jej pokoju na kieliszku znaleziono odciski palców Jörgena Grundberga.

32-letnia kobieta stanowi zagadkę dla policji. W r. 1985 uciekła ze szpitala w południowej Szwecji, gdzie przebywała w związku z problemami psychicznymi, i od tamtej pory nie kontaktowała się z żadnymi urzędami ani instytucjami. Na razie nie wiadomo, gdzie była przez ostatnie czternaście lat. Jej odciski palców znajdowały się w rejestrze policyjnym z powodu kradzieży samochodu i prowadzenia pojazdu bez zezwolenia w 1984 r.

32-latka dorastała w zamożnej rodzinie w niewielkiej miejscowości we wschodniej Smalandii. Ponieważ od 1985 r. nigdzie nie jest zameldowana, policja zwraca się o pomoc w uzyskaniu informacji dotyczących miejsca jej pobytu. Jednocześnie policja ostrzega, że kobieta może cierpieć na zaburzenia psychiczne i przejawiać skłonności do zachowań agresywnych. W jej teczce znaleziono kalendarz, który analizują policyjni psycholodzy. Chaotyczne zapiski zdają się potwierdzać brak równowagi psychicznej jego właścicielki. Policja zwraca uwagę, że publikowana fotografia Sybilli Forsenström pochodzi sprzed szesnastu lat. Kelner, który w czwartkowy wieczór obsługiwał 32-latkę i ofiarę, opisuje ją jako osobę dobrze ubraną, o zadbanym wyglądzie. Pomoże to policyjnemu rysownikowi w stworzeniu aktualnej podobizny. Wszelkie spostrzeżenia i informacje o poszukiwanej kobiecie można przekazywać telefonicznie, dzwoniąc pod numer 08-401 00 40 lub do najbliższego posterunku policji.

Czuła dziwny smak w ustach. Pochodził gdzieś z brzucha, sygnalizując coś, czego mózg nie chciał przyjąć do wiadomości.

Przejmą nad nią kontrolą.

Znowu.

Ogarnęło ją dławiące uczucie, jak groźny znajomy z przeszłości. Leżało sobie w jakimś zakamarku, czekało na stosowną chwilą i teraz się doczekało. Wszystko wróciło. Wszystko, o czym z ogromnym wysiłkiem udało jej się zapomnieć. Wszystko, co tak skutecznie za sobą zostawiła.

Teraz mogła przeczytać o tym w gazecie. Ona i każdy, kto miał na to ochotę.

A nie mówiliśmy? „Sybilla. Sybilla. Wszy flotylla”. Wiedzieliśmy, że nic dobrego z niej nie wyrośnie.

Zacisnęła dłoń w kieszeni.

Czy to jej wina, że tam nie pasowała? Że nigdy nigdzie nie pasowała. Przecież sobie radzi. Czego jeszcze mogli żądać? Żyje. Mimo wszystko daje sobie radę.

Teraz z jej wielkiego dokonania zrobili miazgę. Z jej siły szaleństwo. Z życia bez wymagań żalosną wegetację odludka.

Nie pozwoli im na to.

Pod żadnym pozorem do tego nie dopuści.

Nie teraz.

– TO NIE JA.

Stała w budce telefonicznej na Centralnym. W słuchawce zaległa cisza, więc powtórzyła:

– To nie ja. To nie ja go zamordowałam.

– Kogo?

– Jörgena Grundberga.

Krótką pauza.

– Przepraszam, z kim rozmawiam?

Rozejrzała się. Była sobota i duża hala dworca roiła się od ludzi. Wracali do domu albo wyjeżdżali, rozstawali się i spotykali.

– To ja, Sybilla, ta, której szukacie. To nie ja go zamordowałam.

Kilka metrów od niej stał mężczyzna z teczką. Spojrzał na zegarek, a potem na nią, dając jej do zrozumienia, że się spieszy i chciałby, żeby zakończyła rozmowę. Wokół nich było mnóstwo telefonów, ale – co sama przed chwilą zauważyła – tylko ten jeden był na monety.

Odwróciła się do niego plecami.

– Gdzie pani jest?

– To nie ma znaczenia. Chciałam tylko, żebyście wiedzieli, że to nie ja...

Zamilkła i wykręciła głowę. Mężczyzna patrzył na nią z irytacją.

Ściszyła głos.

– Nie ja to zrobiłam. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Chwileczkę.

Chciała odwiesić słuchawkę, ale się powstrzymała. Kobieta, z którą rozmawiała,



ważyla słowa.

– Skąd mam wiedzieć, że to naprawdę pani?

– Słucham?

– Może pani podać swój numer osobowy?

Sybilla była bliska śmiechu. O co jej, do cholery, chodzi?

– Mój numer osobowy?

– Tak. Dzwoniły już dzisiaj inne kobiety, które też się podawały za Sybillę. Skąd mamy wiedzieć, że pani mówi prawdę?

Otworzyła usta ze zdumienia.

– Bo Sybilla Forsenström to ja. Numer osobowy nie był mi od jakiegoś czasu do niczego potrzebny, więc go nie pamiętam, a dzwonię dlatego, żebyście się ode mnie odpieprzyli i dali mi święty spokój.

Zapomniała o mężczyźnie za plecami. Odwróciła się i spojrzała na niego. Udawał, że jej nie widzi.

– Gdzie pani jest?

Sybilla prychnęła i popatrzyła na słuchawkę.

– Gównu ci do tego.

Przycisnęła widelki. Mężczyzna obrzucił ją niespokojnym spojrzeniem. Wyciągnęła ku niemu słuchawkę.

– Teraz pana kolej.

Pomachał ręką w odmownym geście.

– Nie, dziękuję.

– Nie? A tak cholernie się panu spieszyło.

Z kieszeni jego palta wystawał „Expressen”. Dostrzegła jedno swoje oko i kawałek koszmarnej grzywki.

– Nie to nie.

Odwiesiła słuchawkę. Mężczyzna uśmiechnął się zakłopotany i odszedł. Musi się stąd wynosić. Lepsza złość od strachu, ale nie może ryzykować. Od tej chwili nigdy nie będzie pewna, kto zna jej nazwisko i dlaczego.

Jak oni mogli dać jej takie imię? Sybilla!

NIETRUDNO BYŁO tam trafić. Podano tak wyczerpujące informacje o Jörgenie Grundbergu, że mogłaby sporządzić konspekt jego pamiętników.

Podróż pociągiem do Eskilstuny zleciała szybko. Spędziła ją głównie w toalecie.

Kiedy konduktor zabrał wszystkie bilety i otworzył drzwi, wyszła i usiadła w przedziale. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Z chwilą, w której odkryła, że końcówka szczotki do zakręcania włosów jest wręcz stworzona do otwierania drzwi pociągowych toalet, robiła tam krótkie wypadki, chowała się, kiedy pociąg jeszcze stał na Centralnym. Tylko raz przyłapał ją konduktor i musiała wysiąść w Hallsbergu. Ale nic wielkiego się nie stało.

Nie wiedzieć czemu, czuła się dużo lepiej. Może dlatego, że postanowiła przejąć kontrolę nad sytuacją. A może dlatego, że ostatnie korony wydała na hamburgera.

Dużą willę Grundbergów okalał metrowej wysokości mur z tej samej białej meksykańskiej cegły, z której wzniesiono fasadę domu. Dekoracyjne lampy wzdłuż ogrodowej alejki prowadziły do mahoniowych drzwi, kontrastujących z pociągniętymi czarną bejcą ościeżnicami. Na dachu była jedna z największych anten parabolicznych, jakie kiedykolwiek widziała.

Wszystko świadczyło o dorobkiewiczostwie.

Długo stała przed murem, wahała się. Żeby nie wzbudzać zainteresowania, ruszyła na spacer po osiedlu i zastanawiała się. Skoro już tu przyjechała, powinna się czegoś dowiedzieć, coś wyjaśnić. Mózg zaakceptował tę decyzję, gorzej jednak było z nogami. Kiedy wracała do willi, odwaga znowu ją opuściła. Ciemne szyby i czarne okiennice wpatrywały się w nią nieprzychylnie, jak oczy wroga, widziały jej wahanie. Otworzyły się drzwi.

– Czy pani jest z prasy?

Sybilla przełknęła ślinę.

– Nie.

Otworzyła furtkę i podeszła pod dom, nie patrząc na kobietę. Minęła sadzawkę z marmurową figurką wyobrażającą Rzymiankę. Przypuszczalnie w sezonie tryskała z niej woda. Teraz wydawała się zziębnięta.

Zatrzymała się u podnóża schodów. Jeszcze raz przełknęła ślinę, podniosła wzrok i spojrzała na kobietę.

– Tak?

Była zniecierpliwiona.

– Przepraszam, że przeszkadzam, szukam Leny Grundberg.

Kobieta przestąpiła z nogi na nogę. Miała około czterdziestu lat. Wyglądała rewelacyjnie.

– To ja.

Sybilla lekko się spieszyła. Nie miała pojęcia, czego się właściwie spodziewała. Myślała, że mogłaby się podać za pastora albo kogoś z grupy kryzysowej, kto całkiem zwyczajnie przychodzi do zapłakanej wdowy, żeby ją pocieszyć. Czytała o tym w gazetach. Tymczasem ta kobieta była tak samo opanowana jak marmurowa figurka w sadzawce.

– O co chodzi?

W głosie pobrzmiewała irytacja. I zniecierpliwienie. Jakby ją nagle oderwano od oglądania fascynującego filmu.

Sybilla lustrowała ją spojrzeniem. Lepiej zacząć z niższej pozycji.

– Nazywam się Berit Svensson – powiedziała. – Wiem, że przychodzę nie w porę, ale... chciałabym panią prosić o pomoc.

Wstydliwie spuściła wzrok, a kiedy go znowu podniosła, kobieta zmarszczyła czoło.

– Nie mogłam nie zauważyć artykułów w gazetach – kontynuowała. – Ja... mieszkam niedaleko stąd... też straciłam męża... pół roku temu, bardzo bym chciała porozmawiać przez chwilę z kimś, kto wie, jakie to uczucie...

Kobieta wydawała się rozważać wszystkie „za” i „przeciw”. Nie była szczególnie zachwycona.

Sybilla nie mogła dać za wygraną.

– Sprawia pani wrażenie niezwykle silnej osoby – dodała. – Bardzo byłabym wdzięczna, gdybyśmy mogły chwilę porozmawiać.

Tym razem nie skłamała. Może dlatego komplement zrobił swoje. Kobieta cofnęła się o krok i zaprosiła ją do środka.

– Proszę wejść. Możemy usiąść w salonie.

Sybilla pokonała schody jednym susem i weszła do hallu. Schyliła się, żeby zdjąć buty. Stała na czymś, co wyglądało na prawdziwy wełniany dywan, obok niej był pretensjonalny stojak na parasole z ciemnozielonego metalu.

Hall z salonem łączyło łukowe sklepienie. Lena Grundberg poszła przodem. Sybilla, idąc za nią, rozglądała się. Niepotrzebnie umalowała się w pociągu. Dyskretnie starła z ust pomadkę. Kobieta miała nienaganny makijaż. Instynkt podpowiadał Sybilli, że im gorzej będzie wyglądać, tym lepiej pani Grundberg poczuje się w towarzystwie nieproszonego gościa.

Spotykała już takie typy.

Salon był kompletnie pozbawiony dobrego smaku, więc czym prędzej, w desperacji, zaczęła szukać czegoś, co ewentualnie zasługiwałoby na pochwałę.

– Jaki piękny piec kaflowy – powiedziała.

– Dziękuję – odparła Lena Grundberg, sadowiąc się w skórzanym fotelu koloru byczej krwi. – Proszę usiąść.

Sybilla usiadła na ogromnej skórzanej kanapie. Popatrzyła ze zdziwieniem na stół, którego szklany blat spoczywał na kolanach i dłoniach leżącej na plecach marmurowej figury kobiety.

– Jörgen importował marmur – wyjaśniła Lena Grundberg. – Między innymi.

Czas przeszły. Bez mrugnięcia okiem.

Pani Grundberg chyba odczytała jej myśli.

– Od razu powiem, że nasze małżeństwo nie było zbyt udane. Zamierzaliśmy się rozwieść.

– To przykre.

– Z mojej inicjatywy.

– Aha.

W salonie zapadła cisza. Sybilla poczuła lekką konsternację. Co ona chciała przez to zyskać? Nie potrafiła sobie tego teraz uzmysłwić.

– Od jak dawna jest pani wdową?

Pytanie padło tak nagle, że się wzdrygnęła. Bezwiednie spojrzała na zegarek. Znowu stanął.

– Od sześciu miesięcy i czterech dni – odpowiedziała po chwili.

– Na co zmarł?

– Na raka. Bardzo szybko.

Lena Grundberg skinęła głową.

– Byliście szczęśliwi?

Sybilla spuściła wzrok i przyglądała się swoim dłoniom. Jak to dobrze, że nie polakierowała paznokci.

– Tak, bardzo – szepnęła.

Przez chwilę milczały.

– To jednak dosyć dziwne – powiedziała pani Grundberg. – Zaledwie rok temu Jörgen umierał z powodu nerek. Długie miesiące leżał w szpitalu. I teraz, niedawno, okazało się, że wszystko jest na dobrej drodze, jeśli tylko będzie brał leki. Właściwie uznano go za zdrowego. – Pokręciła głową. – I nagle zostaje zamordowany! Po tylu komplikacjach. Może to zabrzmie cynicznie, ale to do niego podobne.

Sybilla nie potrafiła ukryć zdumienia.

– Co pani ma na myśli?

Lena Grundberg prychnęła.

– Nigdy nie znał umiaru. Trzeba być wyjątkowym głupcem, żeby iść do pokoju z pierwszą lepszą kobietą. W dodatku brzydką. I kompletnie zdesperowaną. Widać to na kilometr, jak się patrzy na jej zdjęcie.

Tylko spokojnie.

– Czy nie jest pani nieco rozgoryczona? – spytała w miarę neutralnym tonem.

– Ależ skąd. Uważam, że powinien się wykazać lepszym gustem. Lepiej bym się czuła, gdyby wybrał kogoś...

Nagle głos ją zawiódł. Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła pociągać nosem.

Proszę, proszę. Marmurowa figurka coś tam jednak czuje. Wystarczyło tylko lekko poskrobać powierzchnię.

Zastanawiała się nad słowami pani Grundberg. Niemal żałowała, że nie pozwoliła Jörgenowi wejść do jej pokoju. Z czystego współczucia dla bliźnich.

– Kto mógłby się równać z panią...?

Musi się wziąć w garść i nie okazywać irytacji. Lena Grundberg wyczuła ironię w jej głosie i starała się zapanować nad emocjami. Otworzyła usta i delikatnie, żeby nie rozmazać tuszu, otarła łzy.

– Tak. Wtedy czułabym się lepiej.

Sybilla przyglądała się jej. Nigdy dotąd kogoś takiego nie spotkała.

– Dlaczego? Przecież to pani chciała rozwodu.

Pani Grundberg znów była sobą. Usiadła wygodniej w ohydny fotelu.

– Rozumiem, że mogę wydawać się egoistką, ale to dosyć upokarzające, że byle kto może mnie zastąpić. Nawet brzydka dziwka z hotelu. Szczyt bezguścia.

Rozejrzyj się, do cholery! W moim plecaku jest sto razy gustowniej niż w tym koszmarnym pokoju. Przełknęła ślinę.

– Skąd pani wie, że to była dziwka?

Lena Grundberg prychnęła.

– Bo to po niej widać! Proszę popatrzeć!

Podniosła z podłogi popołudniową gazetę i pokazała zdjęcie. Sybilla rzuciła okiem na swoją podobiznę. Tylko nosy miały identyczne.

– A skąd policja wie, że to właśnie ona zamordowała pani męża?

Lena Grundberg odłożyła gazetę na podłogę.

– Razem wyszli z recepcji, a rano ominęła blokady i uciekła. To chyba wystarczający

dowód. Poza tym w różnych miejscach były jej odciski palców. Na przykład na kluczu Jörgena.

– A jeśli to nie ona? Czy jest pani pewna, że mąż nie miał... – urwała, symulując nagły atak kaszlu – ...wrogów na Łotwie albo na Litwie?

Długo zanosila się kaszlem, żeby zatuszować pomyłkę. Lena Grundberg przyniosła jej szklankę wody. Sybilla wypila z wdzięcznością.

– Dziękuję. Proszę wybaczyć, ale dokucza mi astma.

Pani Grundberg skinęła głową i usiadła w fotelu.

– Czy nie miał kogo?

– Słucham?

– Czy jestem pewna, że nie miał kogo?

– Wrogów... na przykład.

Lena Grundberg przyglądała się jej. Czas się zbierać. Właśnie chciała się podnieść, kiedy kobieta siedząca naprzeciwko niej prychnęła.

– Sybilla!

Powiedziała to z pogardą. Sybilla drgnęła, jakby dostała w twarz. Ich spojrzenia spotkały się.

– Już samo imię świadczy o tym, że to na pewno ona! – wybuchnęła pani Grundberg. – Nikt normalny tak się nie nazywa.

Sybilla próbowała ukryć zmieszanie. Przez moment ogarnął ją strach.

– Tak, rzeczywiście – przyznała z lekkim uśmiechem. – Ale przypuszczalnie nie ona wybrała takie imię.

Lena Grundberg znowu prychnęła. Sybilla miała tego dosyć. Rozmówczyni była antypatyczna. No, ale skoro zadała sobie tyle trudu, żeby tutaj przyjechać, nie może się zachowywać jak idiotka, musi zdobyć jak najwięcej informacji.

– Jak mąż umarł?

Pani Grundberg odchrząknęła.

– Poderżnęła mu gardło. A potem rozcięła brzuch i wyjęła wnętrzności.

W ten sam sposób mogłaby z powodzeniem podawać przepis na ciasto. Sybilli brakowało powietrza. Zebrało jej się na mdłości. Wstała.

– Muszę już iść.

Wdowa po Grundbergu nie ruszyła się z fotela.

– Chyba nie zaspokoiliam pani oczekiwań.

Przynajmniej raz nie musiała kłamać.

– Rzeczywiście. Niezupełnie.

Pani Grundberg skinęła głową i spuściła wzrok.

– Każdy inaczej sobie radzi z różnymi sprawami.

Sybilla przytaknęła.

– Tak. Z pewnością... Dziękuję, że mogłam tu przez chwilę pobyc.

Wyszła do hallu i włożyła buty. Lena Grundberg siedziała w fotelu. Sybilla otworzyła drzwi i opuściła dom Grundbergów.

RATOWAŁY JĄ spacer. Usprawiedliwiały jej wyjścia z domu i pomagały uporządkować chaotyczne przemyślenia nastolatki. Wybierała obrzeża Hultarydu, starannie unikając centrum i kiosku z kiełbaskami, miejsca spotkań wszystkich, którzy tego chcieli. Sybilla nie chciała. Od dawna nie miała ochoty na pogawędki z kolegami i koleżankami z klasy. Chyba że była do tego zmuszona. Kontakty w szkole wystarczały jej aż nadto.

Na obrzeżach Hultarydu mieściło się FFMU, młodzieżowe towarzystwo miłośników motoryzacji. Dosyć zaniedbany, dwupiętrowy budynek z warsztatem samochodowym. Już sama lokalizacja świadczyła o jego randze, na co mieli pewien wpływ nie do końca niewinni członkowie.

Może nigdy nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby nie grzebał w silniku samochodu raggare<sup>1</sup>, akurat kiedy tamtędy przechodziła. Zatrzymała się w odległości dziesięciu metrów i podziwiała dzieło sztuki. Na aucie w kolorze zielonego groszku były namalowane czerwone płomienie. Nigdy czegoś podobnego nie widziała.

Kiedy się tak przyglądała ukradkiem, chłopak się wyprostował i zobaczył ją.

– Fajny, co?

Wycierał w szmatę upaprane smarami dłonie. Pokiwała głową.

– De Soto Firedome. Rocznik pięćdziesiąty dziewiąty. Właśnie go odebrałem z lakierni.

Milczała. Bo co niby miała powiedzieć? Najbardziej zdumiało ją to, że w Hultarydzie jest ktoś, kto umie malować takie piękne płomienie.

– Chcesz wsiąść?

Nie odpowiedziała. Zamknął maskę i dał jej znak ręką, żeby podeszła.

– Chodź. Ma skórzane obicia.

Naprawdę chciał jej pokazać swój samochód. Nie wyglądał szczególnie groźnie, a ona

---

<sup>1</sup> Raggare – młodzi chłopcy, pasjonaci dużych, najczęściej amerykańskich samochodów, preferujący dosyć luzacki styl życia (przyp. tłum.).

nigdy nie siedziała w samochodzie raggare. Był od niej dużo starszy, co najmniej cztery lata, nie przypominała sobie, by go kiedyś widziała.

Rzucił szmatę, na wszelki wypadek wytarł rękę w niebieski kombinezon, otworzył drzwi po stronie pasażera i zaprosił ją do środka. Po kilkusekundowym wahaniu usiadła na wygodnym miękkim fotelu.

– Super, co? Trzysta pięć koni.

Uśmiechnęła się do niego.

– Oj, świetnie.

Otworzył drzwi po stronie kierowcy.

– Możesz mi podać koc z tylnego siedzenia?

Sybilla odwróciła się, wzięła brązowy kraciasty koc i podała mu. Rozłożył go na fotelu kierowcy i wszedł.

– Zrobimy rundkę?

Wpatrywała się w niego. Już przekręcił klucz w stacyjce.

– Nie wiem... Chyba muszę wracać do domu.

Silnik mruczał. Nacisnął jakiś przycisk i opuściła się szyba po jej stronie.

– Elektryczne. Chcesz spróbować?

Nacisnęła ten sam przycisk i szyba powędrowała do góry. Zauważyła, że kiedy się uśmiechał, na policzkach pojawiały się dołeczki. Wrzucił bieg i położył rękę na oparciu jej fotela. Serce waliło. Mimo że zrobił to z powodów czysto praktycznych, czuła coś intymnego w tym geście. Odwrócił głowę i tyłem wyjechał na drogę.

Jak ona tu wylądowała? Siedzi w samochodzie raggare z kompletnie obcym człowiekiem. A jeśli ktoś ją zobaczy?

– Podrzucę cię do domu. Gdzie mieszkasz?

Przełknęła ślinę.

– Nie, nie – powiedziała szybko. – Przejedźmy się gdzieś.

Pojechali w kierunku centrum. Sybilla patrzyła na niego ukradkiem. Miał smar na twarzy.

– A tak w ogóle to jestem Micke. Może nie będziemy sobie podawać rąk. Chyba że chcesz się pobrudzić.

– Sybilla – powiedziała cicho.

Spojrzał na nią.

– Aha, córka Forsenströma. To ty?

– Tak.



Skręcił w Tullgatan. Zaraz miną kiosk.

– Słyszysz? Prawda, że klawo pracuje?

Skinęła głową. Bardzo klawo. Mniej więcej jak renault Gun-Britt.

Jak zwykle przed kioskiem było mnóstwo ludzi. Sybilla skuliła się na fotelu.

– To twoi kumple, czy jak?

Nie odpowiedziała. Obrzucił ją spojrzeniem.

– Pytam, bo zawsze sterczą koło twojego kiosku.

Roześmiał się z własnego dowcipu. Sybilli nie było do śmiechu. Kiedy zauważył jej reakcję, spoważniał.

– Chyba kapujesz, że żartowałem, co? No, daj spokój.

Popatrzyła na niego. Rzeczywiście tylko żartował. Nie zabawiał się jej kosztem. Różnica była bardzo wyraźna. Lekko ściągnęła usta.

– Nie. To nie są moi kumple.

Nie mówili wtedy zbyt dużo. Wrócili do FFMU, podziękowała mu za przejażdżkę i wysiadła z samochodu. On pociągnął za jakąś dźwignię i otworzył maskę.

Kiedy odeszła kawałek, odwróciła się i popatrzyła na niego. Pochylał się nad silnikiem.

Dziwnie się czuła. Przepelniała ją nadzieja. Była niemal pewna, że stało się coś ważnego. Coś dobrego. Coś znaczącego.

I rzeczywiście.

Skąd mogła wiedzieć, że samochód będzie dostarczony właśnie tego dnia, że lakier wyschnie godzinę wcześniej, że gdyby Micke nie zaczął grzebać w silniku, a ona poszła na spacer gdzie indziej, gdyby, gdyby, gdyby...

Wtedy jej życie potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Tamtego popołudnia znalazła się na rozdrożu, jednym z tych, jakie oferuje życie, a konsekwencje wyboru stają się jasne dużo, dużo później. Ona, zanim się zorientowała i zrozumiała, zaszła zdecydowanie za daleko. Kiedy było już za późno, uświadomiła sobie, że tamtego popołudnia poszła w złą stronę.

PRZESPAŁA SIĘ w jakiejś czynszówce, pod drzwiami prowadzącymi na strych. Z ekskluzywnego osiedla willowego Leny Grundberg udała się do śródmieścia. Drzwi do

czynszówki były otwarte. To jeden z największych plusów przemawiający za opuszczeniem Sztokholmu. W Sztokholmie trzeba się trzymać tych samych, sprawdzonych miejsc.

Obudził ją krzyk dziecka dochodzący gdzieś z parteru. Usłyszała trzask otwieranych drzwi i poirytowany głos kobiety, która stwierdziła, że jeśli będzie się tak wydzierał, to nigdzie nie pójdą. Drzwi się zamknęły i znów zaległa cisza. Spojrzała na zegarek. Ciągłe nie chodził. Zegarki były drogie, a bardzo by się jej przydał nowy.

Kiedy podnosiła się z maty, pociemniało jej przed oczami. Oparła się o ścianę i czekała, aż miną zawroty głowy.

Musi coś zjeść.

Dworzec był zaledwie kilka przecznic dalej. Weszła do toalety, umyła się, umalowała oczy i usta, uczesała się. Zielona garsonka pogmiotła się w plecaku. Trudno. Bez niej musiałyby się pożegnać ze śniadaniem. Włożyła ją i wilgotnymi dłońmi wygładziła materiał. Najgorsze załamania zniknęły.

Plecak zostawiła w przechowalni bagażu. Później się będzie martwić, skąd wziąć pieniądze, żeby go odebrać. Teraz liczyło się jedzenie.

Zatrzymała się na schodach przed dworcem. Niedaleko był hotel. Przyspieszyła kroku i weszła do foyer. Za kontuarem pojawił się recepcjonista.

– Ależ dzisiaj ziąb – powiedziała, drżąc lekko.

Uśmiechnął się do niej. Na pozłacanej tabliczce widniało jego imię. Henrik.

– Wysłałam tylko na dworzec, żeby sprawdzić godziny odjazdu pociągów, ale mimo wszystko powinnam była włożyć kurtkę.

– Następnym razem może pani nas o to spytać. Mamy wszystkie rozkłady jazdy.

Pochyliła się nad kontuarem.

– Mówiąc prawdę, skorzystałam z okazji i zapaliłam, tylko proszę nikomu o tym nie mówić.

Uprzejmie skinął głową i zapewnił, że jej sekrety są w dobrych rękach. Goście zawsze mają rację.

I bardzo dobrze.

Nie było klucza do pokoju 213, ale do 214 wisiał na swoim haczyku. Spojrzała na zegarek.

– Czy mogłabym stąd zadzwonić do pokoju dwieście czternaście?

– Oczywiście.

Podał jej słuchawkę i wykręcił numer.

– Dziękuję.

Długie sygnały. Nikt nie odbierał. Mężczyzna o imieniu Henrik odwrócił się i spojrzał na tablicę z kluczami.

– Klucz jest tutaj. Może gość zszedł już na śniadanie.

Wskazał głową korytarz.

– To do niego niepodobne. Ale zawsze jest kiedyś pierwszy raz, prawda? Dziękuję. Czy ma pan może poranne gazety?

Dostała „Dagens Nyheter” i poszła korytarzem do jadalni. Łatwo było tam trafić.

Pół godziny później odchyliła się na krzesło, syta i dość zadowolona. W jadalni siedziało czworo gości, wszyscy zatopieni w porannych gazetach. W „Dagens Nyheter” była tylko krótka wzmianka na lewej szpalcie, że policja poszukuje informacji o kobiecie, która sforsowała blokady wokół „Grand Hotelu”.

Podeszła do suto zastawionego stołu po dolewkę kawy i ukradkiem schowała do torebki kilka kromek chleba i trzy banany. I wróciła do stolika.

No dobrze. Co ona właściwie robi w Eskilstunie? Co chciała uzyskać, przyjeżdżając tutaj? I co uzyskała oprócz obraźliwych uwag wdowy po Jörgenie Grundbergu?

Wypiła łyk kawy i spojrzała w okno. Wiedziała, co tu robi. Wierzyła, że gdy tylko otrzyma nieco informacji z pierwszej ręki, gdy tylko spotka kogoś, kto znał Jörgena Grundberga, afera, w którą została wplątana, znajdzie sensowne wytłumaczenie. Pomyłka zostanie naprawiona i będzie miała wszystko za sobą.

Tymczasem było odwrotnie. Ktoś zdecydował, że to ona zabiła tego mężczyznę. Zjawiając się tutaj, zdobyła tylko ten jeden dowód. I co dalej?

Nie powinno być kłopotów z trzymaniem się na uboczu. Robiła to skutecznie od blisko piętnastu lat. Nikt jej nie rozpozna na zdjęciu w gazetach, żadne nowsze zdjęcie nie istniało. Naturalnie pewnym problemem było jej imię. Ale ci, co wiedzieli, gdzie ją znaleźć, rzadko żyli w zgodzie z policją.

Jeśli tylko będzie przez jakiś czas unikać niektórych miejsc, dopóki nie schwytają prawdziwego mordercy, wszystko jakoś się ułoży. Wszystko będzie po staremu. Nawet w najdzikszych fantazjach nie przypuszczała, że właśnie to stanie się jej celem. Żeby wszystko było po staremu.

Łyknęła kawy i uświadomiła sobie, co jej tak potwornie przeszkadza.

Upokorzenie.

Nigdy więcej nie pozwolić się tak traktować.

Nigdy więcej nie pakować się w gówno.

Wyobraziła sobie matkę. Wściekłą, że córka znów skalala ich nazwisko. Jak mogła im coś podobnego zrobić? I to odziedziczone spojrzenie: A nie mówiłam?

I plotki obiegające całe Hultaryd. Córka Forsenströmów. Słyszeliście, że to mordercy? I ojciec... Nie. Nie miała pojęcia, co on czuje. Nigdy nie miała o tym pojęcia. A teraz nie była tego ciekawa.

Wstała. W recepcji mężczyzna o imieniu Henrik rozmawiał przez telefon. Dała mu znak, że wychodzi na papierosa. Pomachał jej ręką.

Odebranie plecaka okazało się proste. W przechowalni nie było nikogo, więc zwyczajnie tam weszła i go wzięła. Nikt jej nie widział.

W damskiej toalecie przebrała się w dżinsy i sweter. Musi oszczędzać garsonkę. Wymagała prania chemicznego, a to niczym nieuzasadniony luksus.

Pociąg do Sztokholmu odjeżdżał o 10.48. Usiadła na ławce i czekała.

KIEDY TAMTEGO POPOŁUDNIA przekroczyła próg domu, czuła, że coś jest nie tak. Nikt nie odpowiedział na jej słowa powitania.

Weszła do hallu, zobaczyła plecy matki, która siedziała na kanapie w salonie i coś czytała.

– Już jestem.

Cisza.

Serce zabiło mocniej. Co ona takiego zrobiła? Powiesiła kurtkę i wolno weszła do salonu. Choć nie widziała twarzy matki, wiedziała, jaki przybrała wyraz.

Złości.

Złości i rozczarowania.

Kamień w brzuchu Sybilli zaczął rosnać. Obeszła kanapę. Beatrice Forsenström nie podniosła wzroku znad książki.

– O co chodzi? – spytała cicho.

Matka nie odpowiedziała. Czytała dalej, jakby Sybilli nie było w pokoju. I jakby się do niej w ogóle nie odezwała.

– Czemu jesteś zła?

Cisza.

Kamień w brzuchu zaczął ją przyprawiać o mdłości. Jak się dowiedziała? Kto ją widział? Musi być ostrożna.

Przełknęła ślinę.

– Co ja takiego zrobiłam?

Żadnej reakcji. Beatrice Forsenström przewróciła stronę. Sybilla patrzyła w dywan. Orientalny wzór rozmazał się, starała się, żeby łzy kapały prosto na podłogę, żeby nie zostawiły śladów na polczkach. W uszach szumiało.

Wstyd.

Wyszła do hallu i ruszyła schodami na górę. Wiedziała, co będzie. Godziny niepokoju i oczekiwania na wybuch. Godziny wyrzutów sumienia, wstydu, lęku i marzeń o przebaczeniu. Dobry Boże, spraw, żeby czas szybko płynął. Dobry Boże, spraw, żeby ona niedługo przyszła i wyjaśniła, o co chodzi, żeby mogła powiedzieć „przepraszam”. Tylko żeby o niczym nie wiedziała. Dobry Boże, nie odbieraj mi tego.

Ale Bóg nie zawsze jest dobry. Kiedy na parterze zabrzmiał dzwonek informujący, że kolacja jest na stole, Beatrice Forsenström jeszcze nie pojawiła się w pokoju Sybilli.

Źle się czuła. Śwąd pieczonych kartofli niemal przyprawił ją o wymioty.

Wiedziała, co się stanie. Będzie musiała błagać o odpowiedź, co takiego zrobiła. I kiedy Beatrice Forsenström uzna, że dosyć się nabłagała, wtedy się dowie.

NA DWORCU w Sztokholmie zegar wskazywał 12.25. Szympan, który spędził kilka lat swojego życia w Szwecji, dostał za małą klatkę w tajlandzkim ogrodzie zoologicznym, co najwyraźniej spotkało się z burzą protestów. Dzięki temu morderstwo w „Grandzie” musiało chwilowo zejść na dalszy plan. Wyjechała ruchomymi schodami na Klarabergsviadukten i poszła do Sergels Torg. Zwykle spędzała sporo czasu w czytelni Kulturhuset, ale dzisiaj nie miała ochoty na lekturę.

Małpami nigdy się nie interesowała, a z morderstwem w „Grandzie” chciała mieć jak najmniej do czynienia. Mimo to chwilę później siedziała na ławce nad Strömmen plecami do wody, twarzą do fasady „Grand Hotelu”.

Blokady zdjęto. Było tak jak trzy dni temu, kiedy niczego nie przeczuwając, wchodziła przez tamte drzwi. Przed wejściem stała limuzyna, portier i szofer o czymś z sobą rozmawiali.

– Aha, przyglądasz się własnym grzechom.

Drgnęła, jakby ją ktoś uderzył. Za nią stał Heino z całym swoim dobytkiem. Wiedziała, że gdzieś pod plastikowymi workami z pustymi puszkami kryje się przerdzewiały wózek dziecienny z Emmaljungi. Była przy tym, kiedy go znalazł. Ale teraz widać było tylko kółka.

– Ale mnie przestraszyłeś!

Wyszczrzył się w uśmiechu i usiadł obok niej. Odór starego brudu natychmiast zabił wszystkie inne zapachy. Odsunęła się od niego, ale tylko trochę, żeby się nie zorientował.

Popatrzył na fasadę „Grand Hotelu”.

– Ty to zrobiłaś?

Sybilla spojrzała na niego. Wieści szybko się rozchodzą. Bo nie wyobrażała sobie, żeby przeczytał jakąś gazetę.

– Nie.

Heino skinął głową. Tym samym zamknęli temat.

– Masz coś?

Pokręciła głową.

– Nic do picia, ale możesz dostać kromkę chleba.

Zatarł czarne dłonie i uśmiechnął się wyczekująco.

– Dobrze i to.

Otworzyła plecak, w którym miała swoją nadwyżkę śniadaniową. Jadł zachłannie.

– Gdyby tak był do tego jeden głębszy, czułby się człowiek jak książę.

Uśmiechnęła się. Chleb był za twardy jak na jego nieliczne zęby. Żałowała, że nie ma nic do picia.

Zbliżyły się do nich dwie panie z Östermalmu ze szczurowatym psem w ubranku w szkocką kratę. Na widok Heina jedna szepnęła coś drugiej do ucha i przyspieszyły kroku.

Heino popatrzył na nie i kiedy mijaly ławkę, wstał.

– Dzień dobry. Chcecie gryzą?

Wyciągnął w ich stronę kromkę chleba. Udały, że nie słyszą, i bardzo się starały nie biec, bo byłoby to nad wyraz upokarzające.

Sybilla uśmiechnęła się. Heino usiadł.

– Uważajcie! – krzyknął za kobietami. – Szczur depcze wam po piętach!

Panie szybkim krokiem pomaszerowały w kierunku Muzeum Narodowego, stanęły na schodach i obejrzały się, chcąc się upewnić, czy nikt za nimi nie idzie. Rozmawiały, wzburzone. Na moście pojawił się radiowóz. Sybilla wyczytała z gestów kobiet, że zamierzają go zatrzymać. Serce zabiło jej mocniej.

– Heino, muszę cię prosić o przysługę – powiedziała szybko.

Radiowóz zahamował i kobiety pokazywały w stronę ich ławki.

– Nie znasz mnie.

Heino spojrzał na nią. Radiowóz ruszył.

– Akurat. Jasne, że cię znam, Sybillo, królowo Smalandii.

Sybilla mówiła dalej, patrząc przed siebie.

– Nie teraz. Proszę. Udawaj, że mnie nie znasz.

Radiowóz zatrzymał się tuż przed nimi i wysiadło dwoje policjantów. Silnik pracował na wolnych obrotach. Heino popatrzył na nich i włożył do ust ostatni kęs chleba.

– Cześć, Heino. Chyba nie jesteś niemiły dla pań?

Heino lekko odwrócił głowę i przeszył wzrokiem kobiety, które ciągle stały przed Muzeum Narodowym. Sybilla patrzyła na plecak, mając nadzieję, że uniknie spojrzeń policjantów.

– Nie. Jem chleb.

I żeby to udowodnić, szeroko otworzył usta.

– W porządku, Heino. Jedz dalej.

Heino zamknął usta i przeżuwał. Prychnął.

– Łatwo wam mówić.

Sybilla szukała czegoś w kieszeni plecaka.

– Czy on pani nie zaczepiał?

Podniosła głowę i udawała, że coś jej wpadło do oka.

– Mnie? Nie. Ani trochę.

Otworzyła drugą kieszeń i kontynuowała poszukiwania.

– Nie zaczepiam królowych – powiedział z naciskiem Heino. – Zwłaszcza królowych Smalandii.

Nie podnosząc głowy, Sybilla zamknęła oczy.

– To dobrze, Heino – powiedziała policjantka. – Tak powinno być.

Sybilla z ulgą usłyszała, że policjanci wracają do samochodu. Podniosła wzrok. Policjant położył dłoń na klamce.

– Napadać na uczciwych ludzi, którzy w ciszy i spokoju siedzą na ławce i jedzą chleb. Co ja na to poradzę, że jakieś baby łążą na spacer z pieprzonym szcurem? Co? Może to moja wina?

– Zamknij się – syknęła Sybilla.

Ale Heino dopiero się rozkręcał. Policjanci się odwrócili.

– Tak, niejedno mogę powiedzieć. Trzeba tu było przyjść na przykład dwudziestego trzeciego września tysiąc osiemset osiemdziesiątego piątego i zrobić coś pożytecznego.

Policjant znowu do nich podszedł. Policjantka wsiadła do radiowozu. Sybilla zaczęła zapinać plecak. Najwyższy czas, żeby stąd odejść. Heino wstał i wskazał na „Grand Hotel”.

– Stała na tamtym balkonie.

Sybilla nie ruszała się z miejsca.

– A stąd aż do Kungsträdgården była kupa luda, która chciała posłuchać, jak śpiewa.

Sybilla wpatrywała się w Heina. Policjant wyraźnie się zainteresował.

– Kto śpiewał na balkonie?

Heino westchnął i rozłożył swoje czarne dłonie.

– Oczywiście Christina Nilsson. Słowik ze Smalandii.

Heino zrobił retoryczną pauzę. Policjantka zaczęła się niecierpliwić, pochyliła się nad siedzeniem kierowcy i odkręciła szybę.

– Janne!

– Chwileczkę.

Heino pokiwał głową. Był w swoim żywiole.

– Przyszło jej posłuchać ponad czterdzieści tysięcy facetów i facetek. Było czarno od ludzi. Włazili na słupy i na co się dało i było cicho jak makiem zasiał. Czy wiecie, że jej śpiew było słycać aż na moście? Tak, tak. W tamtych czasach ludzie wiedzieli, jak trzymać gęby na kłódkę.

– Janne! Chodź!

Heino znalazł się w centrum uwagi. Sybilli pozostawało siedzieć i słuchać. Zerknęła na Muzeum Narodowe. Kobiet już nie było. Heino podniósł palec do góry. Ten ruch sprawił, że z jego zniszczonego palta wysnuła się chmura odoru. Sybilla wstrzymała oddech.

– A kiedy skończyła śpiewać, wszyscy zaczęli klaskać jak opętani i ktoś nagle krzyknął, że wałą się rusztowania przy Palmgrenska huset. Bo to wtedy go budowali. I zrobił się taki popłoch, że szesnaście facetek i dwoje dzieci stratowali. A prawie sto osób wyładowało w szpitalu. – Heino pokiwał głową. – Wtedy powinniście tu być. To może ci ludzie by przeżyli. Zamiast ochrzaniać kogoś, kto spokojnie je chleb.

Policjant Janne skinął głową i uśmiechnął się.

– Tak, Heino, masz rację. Trzymaj się.

Wsiadł do samochodu i radiowóz odjechał, zanim Heino zdążył wpaść na jakiś nowy pomysł.

Sybilla popatrzyła na niego i pokręciła głową.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

Heino prychnął.

– Ma się to wykształcenie. Może trochę gówniane, ale zawsze.

Wstał i odwrócił swój pojazd, żeby kontynuować polowanie na puszki w Kungsträdgården.

– Dziękuję za chleb.

Sybilla uśmiechnęła się lekko i pokiwała głową. Heino ruszył. Spojrzała na balkon, na



którym sto piętnaście lat temu stała Christina Nilsson. Dzisiaj, w takim hałasie, nie miałyby szans.

Odwróciła głowę. Heino przeciął Kungsträdgården. Przez sekundę miała ochotę wstać i pobiec za nim. Nie chciała być sama. Ale to niemożliwe.

Siedziała dalej.

Dopóki całe to zamieszanie nie ucichnie, lepiej trzymać się na uboczu.

Jak zwykle.

NIEMAL KAŻDEGO POPOŁUDNIA od pierwszej przejażdżki zatrzymywała się na chwilę u Mickego na podwórzu FFMU. Chwile stawały się coraz dłuższe, w końcu w ogóle zrezygnowała ze spacerów i od razu tam szła. Poznała innych członków towarzystwa, wszyscy byli rówieśnikami Mickego, i po raz pierwszy czuła się akceptowana. Micke ją tam wprowadził i tym samym została zaaprobowana bez żadnych komentarzy. Nie miało to dla nich znaczenia, że jest córką Forsenströma.

Ale najprzyjemniej było wtedy, kiedy zostawali w warsztacie tylko we dwoje. Micke zachowywał się inaczej, uczył ją wszystkiego, co wiedział o silnikach i samochodach. Czasami zabierał ją na przejażdżkę, a kiedy był w wyśmienitym humorze, pozwalał jej prowadzić na leśnych drogach. Za pierwszym razem siedziała mu na kolanach. Dotykała jego ud i brzucha. Bardzo dziwnie się czuła. Było jej ciepło, była zdenerwowana. Na kierownicy jego dłonie na jej dłoniach.

To po tej przejażdżce napisała jego imię pod blatem biurka w swoim pokoju. Jej tajemnica. Tajemnica, która dała jej zdumiewającą siłę. Może to było po niej widać, a może już nie słuchała, w każdym razie coraz rzadziej padały w szkole wyzwiska pod jej adresem i życie stało się łatwiejsze.

Dni zamieniały się w długie czekanie na kolejne spotkanie. Jego zapach, kiedy stał przy niej i pokazywał jakiś detal pod maską. Podziw dla jego ogromnej wiedzy. Patrząc na jego ręce poruszające się wprawnie przy silniku.

Tęsknota za przebywaniem w jego towarzystwie.

Tam gdzie on.

Po wakacjach zaczęła naukę w gimnazjum i musiała jeździć do Vetlandy. Gdyby mogła wybierać, wybrałaby kierunek mechaniki pojazdowej, ale wspomniała o tym tylko Mickemu. Nie mogła się z tym zdradzić, zwłaszcza przed Beatrice Forsenström. Zdaniem

matki powinna ukończyć trzyletnią szkołę o kierunku ekonomicznym, żeby z czasem pracować w rodzinnej firmie. Poza tym ten kierunek zapewniał odpowiedni status.

I oczywiście stało się tak, jak chciała matka.

Czasami, kiedy Micke miał w mieście coś do załatwienia, przyjeżdżał po nią pod szkołę. Ociągała się wtedy, spóźniała na szkolny autobus i kilka przecznic dalej, podniecona i dumna, wślizgiwała się do De Soto Firedome. Siadała na miękkim fotelu i wspólnie przemierzali czterdzieści kilometrów do Hultarydu. Nigdy jednak do jej domu.

Raz podczas jednej z takich podróży skręcił za Vetlandą w leśną drogę. Spojrzała na niego. Patrzył przed siebie. Nic nie mówili.

Domyślała się, co się stanie. Czekala.

Zatrzymał samochód. Wysiedli i patrzyli na siebie. Przyjęła go z uczuciem ekstazy i oddania.

Była wybrana.

Wszedł w nią ostrożnie na brązowym kraciastym kocu.

Tylko jego. Tylko jej.

Zerknęła ukradkiem na jego twarz. Zdziwiła się, że może mu dać tyle rozkoszy. Jakby go całkowicie pochłonęła. Wszystkie myśli skupione na niej. Jego ciało w ekstazie na jej ciele. Dla niej.

Ich dwoje, połączonych.

Razem.

Wszystko za sekundę takiej bliskości.

Wszystko.

Pieczony kartofel rósł w ustach. Rodzice jedli w milczeniu.

Męka przed wybuchem.

Nie może przełknąć.

Dwa widelce w ręku. Trzy.

Stół kołysany falami.

Musi przełknąć.

Strach chce się wydostać z brzucha.

Na Boga, przełknij! Przełknij! Nie pogarszaj sytuacji.

Przepraszam cię. Przepraszam. Powiedz, co mam zrobić, żebyś mi wybaczyła. Nie każ mi dłużej czekać.

Zrobię wszystko, tylko mi wybaczenie.

Wszystko.

Beatrice Forsenström odłożyła sztuce. Nie patrząc na Sybillę, otworzyła przepaść krótką konstatacją:

– Słyszałam, że jeździsz w samochodzie raggare.

URATOWAŁA JĄ kobieta z buldogiem. Sybilla widziała ją z daleka, jak gestykułuje sama do siebie, tam gdzie Gräsgatan przechodzi w alejką dla pieszych prowadzącą do ogródków działkowych w Eriksdal. Dopiero kiedy podeszła bliżej, zauważyła w jej uchu małą czarną słuchawkę i kabelek telefonu komórkowego, co według najnowszych badań miało uchronić użytkownika przed uszkodzeniem ważnych części mózgu. Czytała o tym w gazecie.

– Jestem cholernie wściekła!

Sybilla zwolniła kroku i słuchała z zainteresowaniem. Buldog usiadł i patrzył na swoją wzburzoną panią równie zainteresowany.

– Nie żyjemy przecież, do cholery, w państwie policyjnym... Gówno mnie obchodzi, kogo szukacie. Kiedy sobie spaceruję w Szwecji, zakładam, że nikt mi nagle nie wyceluje w twarz z pistoletu. To idiotyczne.

Sybilla zatrzymała się.

– Nie, ani myślę się uspokoić! Zamierzam to zgłosić. Nawet nie powiedzieli „przepraszam”. Kazali mi się wylegitymować i dopiero wtedy łaskawie mnie puścili... Jestem cholernie wściekła.

Kobieta umilkła i słuchała rozmówcy. Rzuciła okiem na Sybillę, która natychmiast odwróciła głowę.

– Tak... Nie, nie mam zamiaru. Jeśli nie przyjmiecie zgłoszenia, zadzwonię do innego komisariatu.

Kobieta zakończyła rozmowę i wsunęła komórkę do kieszeni. Pies wstał.

– Chodź, Kajsja.

Kobieta i pies przeszli przez ulicę. Sybilla stała bez ruchu.

– Niech pani tam nie idzie.

Sybilla uśmiechnęła się lekko.

– Dlaczego?

– Bo roi się tam od policjantów. Można ich zobaczyć dopiero wtedy, jak przystawiają

człowiekowi pistolet do głowy. Nie wiem, co oni wyprawiają. Wkurzyli mnie jak cholera.

Sybilla skinęła głową.

– Dziękuję. Chyba pójdę inną drogą.

Kobieta z psem odeszła. Sybilla odetchnęła głęboko.

Uno Hjelm. Mały Judasz Towarzystwa Ogródków Działkowych. Żeby go szlag trafił. Musi się stąd wynosić. Jak najszybciej.

Jak długo starczy jej sił? Przeżyć – to co innego. Z tym sobie radziła. Ale uciekać...?

Przyspieszyła kroku. Wyobraziła sobie, że już ją namierzyli i depczą jej po piętach. Skąd Hjelm wiedział, że to właśnie ona? Nie mógł jej rozpoznać na zdjęciu w gazecie. Chyba nie. Bo jeśli tak, to przepadła. Nigdzie nie będzie się czuła pewnie.

Musi zmienić uczesanie.

Zbliżała się do Ringen. Wokół było dużo ludzi, starała się, jak mogła, żeby zniknąć w tłumie. Czy nie patrzą na nią dziwnie? O, na przykład ten. Dlaczego się tak w nią wpatruje? Serce zabiło mocniej. Oczy w ziemię. Mężczyzna minął ją.

Jeśli powie, jak było, to chyba powinni jej uwierzyć? Na pewno zrozumieją, że przynajmniej raz chciała się przespać w prawdziwym łóżku. Zamierzała zwrócić pieniądze. Jasne, że ma pieniądze. Po prostu zgubiła portfel. Naprawdę.

U wejścia do metra było mnóstwo ludzi.

Poszła dalej.

Ale dokąd ma iść?

Przy Renstiemas Gata ruszyła po schodach do Vitabergsparken. Przed nią, jak zamek, wznosił się kościół św. Zofii. Potężny i bezpieczny. Zmęczyła się, chciała przez chwilę posiedzieć. Odwróciła się. Alejka była pusta. Nikt za nią nie szedł.

W kościele panowała niczym niezmacona cisza. Za szklanym przepierzeniem tuż za drzwiami po prawej siedział jakiś staruszek. Uśmiechnął się do niej życzliwie. Skinęła mu głową i zdjęła plecak.

W ławce pod kazalnicą spał mężczyzna z kucykiem. Poznała go. Widziała go kilka razy w Domu Misyjnym. Poza tym nikogo w kościele nie było.

Położyła plecak na ostatniej ławce i usiadła.

Zamknęła oczy.

Cisza i spokój.

Niczego innego nie pragnie.

Staruszek zakasłał, dźwięk przetoczył się między ścianami. Po chwili znowu zaległa cisza.

„Bóg słyszy modlitwy”.

Przeczytała to na plakacie przy drzwiach. Otworzyła oczy i spojrzała na ogromny obraz ołtarzowy. Tyle ludzi, którzy od stuleci składali swoje życie w jego ręce, wznosiło te ogromne budowle i zwracało się do niego w modlitwach. Ona też. W dzieciństwie. Codziennie ta sama modlitwa. „Boże, który miłujesz dzieci...” i „Dobry Boże, spraw, żeby mama i tata nie umarli”. Może jej wysłuchał? O ile wiedziała, żyją i są zdrowi. Ale „Dojrzyj mnie, lichego robaka...” trafiło w próżnię. A może stał po ich stronie?

Po stronie innych. Tych, którzy nie odstawali.

A co ze Stinsenem, który po czterech nieudanych próbach otrucia się skoczył w zeszłym miesiącu z Västerbron? Gdzie trafiły jego modlitwy? Albo Lena, która rozwoziła kawę autobusami Armii Zbawienia i nagle się dowiedziała, że ma raka mózgu. Czym sobie na to zasłużyła? A Tova, Jönsson i Smirre? Wszyscy przez lata żyli w piekle, ich modlitwy nie zostały wysłuchane, umarli.

Tak, tak, Boże.

A Jörgen Grundberg? Cokolwiek zrobił, nie musiałeś mnie chyba w to wplątywać. Może chcesz mnie ukarać? Jeśli tak, to KIEDY ta kara się skończy?

Podniosła się, włożyła plecak na ramię. Nie było tutaj spokoju.

Nie patrząc na staruszkę za szklanym przepierzeniem, wyszła z kościoła.

Słońce zachodziło. Popatrzyła na zegar kościelny. Piętnaście po piątej. Tę noc chciałyby przespać w łóżku. Hotel był zbyt ryzykowny, a do noclegowni Kungsträdgården nie miała odwagi pójść. Brakowało miejsc do spania i ci, którzy zostali na lodzie, mogli mieć jakieś układy z gliniarzami, którzy żądali w zamian różnych usług.

Dotknęła woreczka na piersiach. Po raz pierwszy, odkąd postanowiła walczyć, miała ochotę naruszyć swój skarb. I tak się urzącać, żeby przynajmniej na chwilę o wszystkim zapomnieć.

Kurwa mać.

Poszła w kierunku Skånegatan. Dziesięć metrów dalej stanęła przed zielonymi drzwiami osadzonymi w czerwonej drewnianej ścianie. Kawałek historii. Na dole była zabita gwoździem kłapa, metr wyżej jeszcze jedna, zamknięta na drewniany rygiel.

Rozejrzała się.

W parku nie było nikogo.

Szybko zdjęła plecak, otworzyła klapę i weszła do środka.

*Czwartki były nasze. Wtedy do mnie przychodził. Ilekroć zamknę oczy, widzę go, jak otwiera furtkę i idzie alejką. Czuję ciepło w piersiach: Bardzo starannie wycierał buty w wycieraczkę. Potem był tutaj. Jego silne ramiona. To nie grzech, Panie, to miłość, taka miłość, jakiej nas uczyłeś. Dziękuję, że było mi dane jej zaznać.*

*Zawsze dbałem o dom. Chciałem, żeby wiedział, jak bardzo go pragnę. Za każdym razem miałem nadzieję, że zostanie ze mną, ale najpóźniej o czwartej musiał iść. Wtedy wiedziałem, że czeka mnie siedem długich dni i długich nocy wypełnionych tęsknotą, dopóki znowu go nie zobaczę. A teraz całe życie.*

*Mimo to dziękuję Ci, Panie, dziękuję, że mnie prowadzisz. Że pokazałeś mi, jak mogę mu pomóc, by trafił do Twojego królestwa. Dzięki temu wiem, że będzie tam na mnie czekał, kiedy przyjdę. Dziękuję, Panie, że pozwalasz mi być Twoim sprzymierzeńcem, że pozwalasz, bym Ci dopomógł w naprawieniu wyrządzonych krzywd.*

*Oto tajemnicę wam objawiam: Nie wszyscy zaśniemy, ale wszyscy będziemy przemienieni. W jednej chwili, w okamgnieniu, na odgłos trąby ostatecznej; bo trąba zabrzmi i umarli wzbudzeni zostaną jako nieskażeni, a my zostaniemy przemienieni. Albowiem to, co skażone, musi przyoblec się w to, co nieskażone, a to, co śmiertelne, musi przyoblec się w nieśmiertelność.*

*A gdy to, co skażone, przyoblecze się w to, co nieskażone, i to, co śmiertelne, przyoblecze się w nieśmiertelność, wtedy wypełni się słowo napisane: Pochłonięta jest śmierć w zwycięstwie!*

*Gdzież jest, o śmierci, zwycięstwo twoje?*

*Gdzież jest, o śmierci, żądło twoje?*

*A żądłem śmierci jest grzech, a mocą grzechu jest zakon; Ale Bogu niech będą dzięki, który nam daje zwycięstwo przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa.*

*Chcę Ci także podziękować, Panie, że mnie chronisz. Że nie zostawiłeś mnie samego, tylko wysłałeś kobietę na moją obronę. Że pozwalasz jej odpokutować za grzechy w świętym celu.*

*Za to Ci dziękuję, Panie.*

*Amen*



OBUDZIŁA SIĘ i nie miała pojęcia, gdzie jest. Nie było w tym nic niezwykłego, ale tego ranka lokalizacja zajęła jej wyjątkowo dużo czasu. Przez szczeliny w ścianie przesączało się światło i dopiero kiedy zegar na kościele św. Zofii wybił siódmą, przypomniała sobie, co to za miejsce.

Usiadła i wyjęła z plecaka ostatniego banana. Podłoga była usłana wiórami, poprzedniego dnia wieczorem zablokowała klapę kilkoma deskami i rozłożyła matę. Po bólu gardła nie było śladu. Jedząc, patrzyła na wirujący w świetle kurz. Po takiej nocy musi się wykapać. Ale nie pójdzie na Centralny. Ani do noclegowni Klaragården.

Odkąd zostawiła kalendarz w „Grand Hotelu”, straciła rachubę, ale jeśli dobrze obliczyła, dzisiaj powinna wpłynąć darowizna. Przede wszystkim musi coś zrobić z włosami. Gdyby pożyczyła z woreczka trochę pieniędzy na farbę, mogłaby pójść na Drottninggatan, a potem podjąć pieniądze.

76 chyba dojedzie do Ropsten. Na ogół unikała autobusów. Bariery przy zejściu do metra łatwiej było pokonać, nie płacąc. Wyjęła z woreczka banknot dwudziestokoronowy i stanęła na przystanku przy Renstiernas Gata.

Po raz pierwszy od sześciu lat wzięła pieniądze z woreczka.

Niech to cholera.

Początkowo była na przystanku sama. Po paru minutach miała towarzystwo. Chociaż nikt na nią nie patrzył, starała się unikać kontaktów wzrokowych.

Mimo godzin szczytu w autobusie było dużo wolnych miejsc. Czternaście koron za przejazd. Majątek.

Usiadła z tyłu, na siedzeniu obok położyła plecak. Dopiero przy Slussen autobus się zappełnił i jakaś kobieta z irytacją zerkała na plecak. W normalnej sytuacji nie miałoby to żadnego znaczenia, ale teraz nie chciała, żeby ktokolwiek się jej przyglądał. Postawiła plecak na kolanach, kobieta usiadła i wyjęła z teczki gazetę.

Sybilla patrzyła przez szybę. Byli na Skeppsbron. Mijali kiosk, autobus zatrzymał się tuż obok na czerwonym świetle. Kioskarz właśnie wywieszał plakaty z najnowszymi nagłówkami gazet.

Jej oczy czytały same i natychmiast wysłały wiadomość do mózgu.

Nie, to nieprawda!

Dłuższą chwilę tępo wpatrywała się przed siebie. Ogarnął ją strach i konsternacja. Jakby na jej szyi powoli zaciskała się pętla.

Spojrzała na nią jakaś twarz w autobusie i paraliż ustąpił. Instynktownie podniosła plecak. Teraz mogła zobaczyć rozłożoną gazetę na kolanach siedzącej obok pasażerki. Nie chciała patrzeć, ale oczy znowu zaczęły żyć własnym życiem. Od samych nagłówków zrobiło jej się niedobrze. Nie miała siły czytać więcej. Wpatrywała się w plecak i dopiero kiedy kobieta złożyła gazetę i wysiadła, odważyła się poruszyć.

Na pętli była sama. Wstając, zauważyła, że kobieta zostawiła gazetę na siedzeniu.

Nie chciała.

Wiedziała jednak, że musi.

Niech to cholera.

Wysiadła z autobusu i wsunęła gazetę do plecaka.

Idąc na Nimrodsgatan, weszła do Konsumu i kupiła jedno opakowanie czarnej farby do włosów. Drugi raz naruszyła swój majątek. Jak tylko odbierze na poczcie jałmużnę, zwróci co do öre.

Kamienica czynszowa przy Nimrodsgatan była dla niej i niektórych ludzi w jej sytuacji czymś bezcennym. O takiej perle w jej kręgach się nie mówi. Drogo zapłaciła za ten adres.

Ale nie pieniędzmi.

Drzwi wejściowych nigdy nie zamykano. W mieszkaniach nie było pryszniców, więc dobrze wyposażone kabiny zainstalowano w piwnicy. Glazura, ciepła woda i ubikacje z papierem toaletowym.

I zamek w drzwiach.

Ponieważ należała do wtajemniczonych, wiedziała, gdzie jest zapasowy klucz. Na półpiętrze poniżej poziomu ulicy, tuż za drzwiami do piwnicy, tych bram rajy, były stare żeliwne drzwiczki. Lokatorzy trzymali tutaj dodatkowy klucz, przyczepiony do półmetrowej

deski, żeby nikomu nie przyszło do głowy włożyć go do kieszeni.

Ten klucz był na wagę złota.

A kiedy już się tam weszło, można się było zamknąć. Od środka.

Najpierw namoczyła majtki w umywalce, dodając zamiast proszku kilka kropli szamponu. Potem się rozebrała i odkręciła gorącą wodę w kabinie. Miała szczęście. Ktoś zostawił butelkę balsamu.

Zamknęła oczy. Pojawił się obraz gazety z autobusu.

Kiedy to się skończy?

Kiedy skończy się ten koszmar?

Kobieta z „Grandu” zabija po raz drugi. Kolejne rytualne morderstwo w Västerviku.

– OD JAK DAWNA TO TRWA?

Tym razem, co niezwykle, odezwał się ojciec.

Sybilla przełknęła ślinę. Stół ciągle falował.

– Co?

Beatrice Forsenström parsknęła.

– Nie udawaj głupiej, Sybillo. Dobrze wiesz, o co chodzi.

Owszem, wiedziała. Ktoś ją widział w samochodzie Mickego.

– Poznaliśmy się na wiosnę.

Rodzice spojrzeli po sobie. Jakby łączyły ich jakieś elastyczne nici.

– Jak on się nazywa? – zapytał ojciec.

– Mikael. Mikael Persson.

– Czy znamy jego rodziców?

– Raczej nie. Mieszkają w Värnamo.

Na chwilę zapadła cisza. Sybilla próbowała odetchnąć.

– Z czego się utrzymuje w Hultarydzie? Bo zakładam, że ma jakąś pracę.

Sybilla skinęła głową.

– Jest mechanikiem samochodowym. Wszystko wie o samochodach.

– Ach, tak.

Rodzice znowu po sobie spojrzeli. Coraz więcej było między nimi nitek. Zielone i czerwone, rozhuśtane. Rodzice nie mieli już twarzy. Sybilla opuściła wzrok i patrzyła w stół.

– Nie chcemy, żeby nasza córka jeździła samochodem raggare.

To jest De Soto Firedome.

– Nie chcemy, żebyś obracała się w tych kręgach.

Głowa ciążyła jak bryła ołowiu. Opadła na bok, nie była w stanie jej podnieść.

– To są moi koledzy.

– Siedź porządnie, kiedy z tobą rozmawiamy!

Głowa podskoczyła automatycznie, ale szyja nie dała rady utrzymać jej prosto. Opadła w tył, uderzając o wysokie oparcie krzesła.

– Co się z tobą dzieje, Sybilla? Co ty wyprawiasz?

Beatrice Forsenström wstała. Sybilla dostrzegła kącikiem oka, że do niej podchodzi. Głowa leżała na oparciu. Kiedy matka była tuż-tuż, głowa opadła w bok, reszta ciała podążyła za nią i runęła na podłogę.

– Sybilla! Sybilla, jak się czujesz?

Leżała na czymś miękkim, na czole miała coś zimnego i mokrego. Otworzyła oczy. Była w swoim łóżku, obok siedziała matka. Ojciec stał pośrodku pokoju.

– Wystraszyłaś nas, staruszeko.

Sybilla spojrzała na matkę.

– Przepraszam.

– Później o tym porozmawiamy.

Henry Forsenström podszedł do łóżka.

– Jak się czujesz? Czy mam zadzwonić po doktora Wallgrena?

Sybilla pokręciła głową. Ojciec potwierdził bez słów, że ją zrozumiał, i opuścił pokój. Sybilla popatrzyła na matkę.

– Przeprosiłam za to, że zemdlałam.

Beatrice zdjęła z jej czoła mokrą chusteczkę do nosa.

– Na to nie mamy wpływu. Nie ma za co przepraszać. A jeśli chodzi o tę drugą sprawę, będzie tak, jak postanowiliśmy z twoim ojcem. Nigdy więcej tam nie pójdziesz.

Sybilli zbierało się na płacz.

– Mamo, proszę...

– Urządzanie scen nic ci nie da. To dla twojego własnego dobra.

– Ale to są moi jedyni przyjaciele.

Matka wyprostowała plecy. Sybilla czuła, że jej cierpliwość się kończy. Koniec dyskusji.

Koniec wszystkiego.

DŁUGA, NICZYM NIEZMAĆCONA kąpiel pod prysznicem zawsze przywracała w niej chęć do życia.

Ale nie tym razem.

Wycierając się, czuła się jeszcze bardziej przygnębiona niż kiedykolwiek. Jakby razem z wodą spłynęła z niej wszelka nadzieja.

Wykręciła wyprane majtki i poszła do pralni. Klucz pasował i do tego zamka. Wrzuciła majtki i ręcznik do suszarki, po czym wróciła do łazienki, żeby się zająć fryzurą.

Włosy spadły na podłogę. Niełatwo było je obcinać z tyłu, w miarę obcinania coraz wyraźniej sobie uświadamiała, że traci szansę na bezpłatne noclegi w hotelu. Ale tej możliwości i tak już jej pozbawiono.

Stosując się do instrukcji, ufarbowała się na czarno. Wyglądała jak podstarzały punk. Teraz nawet Uno Hjelm jej nie rozpozna.

Starannie po sobie posprzątała. Był to punkt honoru wybrańców, którzy znali to luksusowe wnętrze. Najmniejszy ślad ich obecności mógłby sprowokować lokatorów do chowania zapasowego klucza w innym miejscu.

Skończyła, ubrała się i usiadła na sedesie, żeby poczekać, aż wysuszą się majtki i ręcznik. Przy drzwiach leżała gazeta. Jeszcze jej nie przeczytała, robiła wszystko, żeby to od siebie odsunąć, ale teraz nadszedł ten moment. Odetchnęła głęboko, pochyliła się i podniosła gazetę.

32-letnia Sybilla Forsenström, od przedwczoraj oskarżona o zamordowanie 51-letniego Jörgena Grundberga w „Grand Hotelu”, wczoraj po południu dokonała kolejnego brutalnego zabójstwa. Około godz. 15.00 w domu letniskowym na północ od Västerviku został zamordowany 63-letni mężczyzna. Chwilowo przebywał sam i prawdopodobnie spał. Sposób działania jest identyczny jak w wypadku zbrodni dokonanej w „Grand Hotelu”, ale dla dobra śledztwa policja nie chce podawać szczegółów. Morderstwa uważa się za rodzaj egzekucji. Obie ofiary zostały zmasakrowane i pozbawione niektórych części ciała. Kobieta jest podejrzana o morderstwo i zbezczeszczenie zwłok. Policja nadal nie znalazła motywu zbrodni i przypuszcza, że ofiary wybrano przypadkowo.

Nie miała siły czytać dalej i przewróciła stronę. Najpierw zobaczyła swój portret pamięciowy. Niepokojąco podobny. Kelner musiał mieć dobrą pamięć, a Hjelm pewnie opisał jej uczesanie. Już nieaktualne.

Kurwa mać.

Jak coś takiego jest w ogóle możliwe?

Policja w dalszym ciągu nie ma śladów naprowadzających na trop 32-letniej Sybilli Forsenström i próbuje uzyskać pomoc w tak zwanym świątku przestępczym. Napłynęło wiele informacji, z których wynika, że kobieta była widziana m.in. na Dworcu Centralnym w Sztokholmie i na terenie ogródków działkowych w Södermalmie. Po zabójstwie w Västerviku ogłoszono stan alarmowy w całym kraju. Według niepotwierdzonego źródła kobieta zostawiła na miejscu zbrodni wiadomość o treści religijnej i przyznanie się do winy. Żadnego motywu nie udało się jednak ustalić.

Wstała i zwymiotowała do umywalki.

Jak miałyby jej pomóc butelka farby do włosów, kiedy szukają jej połączone siły policyjne całej Szwecji, uważając ją za obłąkaną morderczynię?

Ciało nadal chciało wymiotować, zdjęły ją konwulsje, ale żołądek nie miał już nic do zaoferowania.

Napiła się wody. W tym samym momencie ktoś zapukał do drzwi.

– Halo! Długo jeszcze?

Spojrzała w lustro. Szara twarz i nastroszone czarne włosy. Nigdy dotąd nie była tak podobna do ćpunka.

– Jestem pod prysznicem.

Zamknęła oczy i cicho poprosiła Boga, żeby mężczyzna poszedł do drugiej łazienki. Ale niby czemu Bóg miałby ją wysłuchać?

– Proszę się pospieszyć. Druga łazienka też jest zajęta.

– Dobrze.

Zaległa cisza. Wyjęła z plecaka kosmetyczkę, nałożyła nieco różu na policzki i umalowała usta. Wcale nie było lepiej, ale przynajmniej wyglądała tak, jakby się starała.

Papierem toaletowym wyczyściła umywalkę z bananowych wymiocin. Potem przyłożyła ucho do drzwi i nasłuchiwała. Słyszała tylko szum suszarki z pralni naprzeciwko.

Jaki miała wybór? Im bardziej będzie zażenowana, tym gorzej. Stanowczym ruchem otworzyła drzwi.

– Oj, jak szybko. Aż takiego pośpiechu nie było.

Siedział na podłodze i czytał książkę. Kiedy otworzyła drzwi, wstał. Próbowała się uśmiechnąć. Zdziwiony, patrzył na jej plecak.

– Pranie – wyjaśniła.

Skinął głową. Trzymała klucz z półmetrową deską. Ręka jej drżała, nie mogła trafić do dziurki.

– Niedawno się pani wprowadziła?

Nareszcie. Podeszła do suszarki, żeby uniknąć jego spojrzeń.

– Tak.

– O, jak miło. Witamy.

Idź się kąpać, do cholery, zanim ci przywalę. Otworzyła suszarkę, wyjęła majtki i ręcznik. Kącikiem oka zauważyła, że mężczyzna się odwraca i wchodzi do łazienki. Najszybciej, jak tylko mogła, wepchnęła mokrawe pranie do plecaka. Już miała wychodzić, kiedy on się znowu odwrócił i patrzył na nią. Zesztywniała, jakby ją nagle wmurowało w podłogę.

Przez moment wydawał się mocno speszony. Wyciągnął gazetę.

– Spokojnie. Zapomniała pani to zabrać.

DOROCZNE przyjęcie bożonarodzeniowe.

17 lat.

Stół dla honorowych gości.

Prosiła, mówiła, że nie chce iść. Matka oniemiała ze zdumienia.

– Dobrze by ci to zrobiło – powiedziała po chwili. – Od miesięcy siedzisz w domu.

Tak. Fakt. Nie widziała Mickiego od sześćdziesięciu trzech dni i dziewięciu godzin. Gun-Britt codziennie przyjeżdżała po nią do szkoły, a z powodu nadużycia zaufania nie mogła wychodzić na spacer.

– Nie chcę.

Matka w milczeniu podeszła do szafy i otworzyła ją, żeby wybrać odpowiednią kreację.

– Nie pleć głupstw. Oczywiście, że pójdziesz.

Sybilla usiadła na łóżku i patrzyła, jak matka szuka dla niej sukienki.

– Pójdę, jeśli usiądę przy stole dla młodzieży.

Beatrice Forsenström oniemiała na takie ultimatum.

– A z jakiego powodu miałabyś tam siedzieć, jeśli wolno spytać? – powiedziała po dłuższej chwili.

– Bo tak się składa, że to moi rówieśnicy.

Matka wpatrywała się w nią z niesamowitym wyrazem twarzy. Sybilli mocniej zabiło

serce. Podjęła decyzję. Teraz ma dokąd uciec, do Mickego. Nie jest już sama. Za siedem miesięcy skończy osiemnaście lat i wtedy zrobi, co tylko zechce. A do tego czasu będzie walczyć.

– Jeśli tam nie usiądę, zostaję w domu.

Nawet głos jej nie zadrżał. Matka nie wierzyła własnym uszom. Sybilla też. Martwiło ją jednak, że nie potrafi odczytać wyrazu twarzy matki. Ogarnął ją lekki niepokój. Załzątek lęku.

– Wiesz, że to dla mnie i dla ojca najważniejszy wieczór w roku. A ty tak się zachowujesz. Dlaczego zawsze myślisz wyłącznie o sobie?

Wahadło rozhuštało się na całego.

Właśnie zamierzała spowodować trzęsienie ziemi i nie było cienia wątpliwości, kto na tym ucierpi. Sybilla nagle się przeraziła. Może jej strach był widoczny, bo Beatrice Forsenström czym prędzej ucięła dyskusję.

– Porozmawiamy o tym, kiedy wrócimy do domu.

I po tych słowach wyszła z pokoju.

Znów zniszczyła jej wolę.

Szef działu sprzedaży po lewej.

Dyrektor Forsenström na miejscu honorowym.

Sybilla dziwnie się czuła za stołem dla honorowych gości. Sala wirowała. Dźwięki pojawiały się i zanikały, rozróżniła tylko słowa wypowiedane przez sąsiadów. Siedząca naprzeciwko matka wysyłała ku niej fale złości, które raziły jak wstrząsy elektryczne. Że też nie poprzewracały się od tego szklanki i kieliszki. Nie tknęła jedzenia. Matka z uśmiechem wzniosła toast. Ilekroć spotykały się ich spojrzenia, kąciki jej ust opadały, jakby nie były w stanie oprzeć się prawu grawitacji.

I kiedy tak Sybilla czekała na wyrefinowaną karę, nagle poczuła, że miarka się przebrała. Owładnął nią upragniony gniew. Kobieta naprzeciwko niej, która zmuszała ją do życia jak w więzieniu, przeobraziła się w nedorzecznego potwora. Wydała ją na świat. I co z tego? Ona nie miała na to wpływu. Ciekawe, dlaczego Bóg pozwolił tej kobiecie urodzić dziecko. Jej matka chciała wyłącznie symbolu, który potwierdzałby znamienitość rodziny Forsenströmów. Że wszystko jest tak, jak być powinno. Ale nie było. Sybilla uświadomiła sobie, że matka rozkoszuje się tą wyrefinowaną grą w posłuszeństwo, naganę i karę. Rozkoszuje się posiadaniem córki, żeby powodować stanem jej umysłu. Żeby panować nad jej strachem.



– Jak ci idzie w szkole? – zapytał jak co roku szef działu sprzedaży, choć odpowiedź interesowała go tyle, co zeszłoroczny śnieg.

– Dziękuję, dobrze – odparła głośno. – Przeważnie chlejemy na umór i pieprzymy się, ile wlezie.

Uprzejmie pokiwał głową, sekundę później dotarło do niego, co usłyszał. Rozejrzał się wkoło, speszony. Przy stole dla gości honorowych zapadła cisza. Ojciec popatrzył na nią tak, jakby nie wiedział, co znaczy „pieprzyć”, a twarz matki przybrała kolor purpury. Sybilla była całkowicie spokojna. Tyle tylko, że wszystko dokoła wirowało. Przed nią stał pełny kieliszek wódki szefa działu sprzedaży. Podniosła go i wzniosła toast.

– Na zdrowie, mamusiu! Może chciałabyś stanąć na krześle i zaśpiewać nam jakąś kolędę. Czy nie sądzisz, że byłoby miło?

Wychyliła wódkę. Teraz w całym lokalu było cicho jak makiem zasiał. Sybilla wstała.

– Co wy na to? Czy nie byłoby miło, gdyby słodka Beatrice zaśpiewała dla nas piosenkę?

Wszystkie oczy spoczęły na niej.

– Nie chcesz? Ależ, moja droga, to przecież nie ma żadnego znaczenia. Możesz zaśpiewać tę sprośną piosenkę, którą nucisz wieczorami w kuchni.

Ojcu minął chwilowy paraliż i przez salę przetoczył się jego grzmiący głos.

– Siadaj, dziecko!

Odwróciła się ku niemu.

– O mnie mówisz? Ach, tak, to chyba ty jesteś moim tatą. Wydaje mi się, że kiedyś cię widziałam przy kolacji. Mam na imię Sybilla.

Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami.

– No tak. Jeśli dalej ma być tak nudno, to chyba już pójdę. Życzę przyjemnego wieczoru.

Siedemdziesiąt sześć par oczu śledziło jej zejście z podium i wędrówkę między stolikami. Na wolność.

Zamknęła za sobą drzwi i czuła się tak, jakby po raz pierwszy w życiu odetchnęła czystym powietrzem.

GAZETĘ WRZUCIŁA do pierwszego napotkanego kosza na stacji metra Ropsten. Nie chcąc ściągać na siebie uwagi, nie odważyła się tam przemknąć od strony peronu, skąd odjeżdżała kolejka do Lidingö, tylko wyjęła z woreczka kolejny święty banknot dwudziestokoronowy.

Tego dnia Sztokholmska Komunikacja Miejska zarobiła na niej więcej niż w ciągu blisko piętnastu lat.

Było wpół do dwunastej, w wagonie siedziało niewiele osób. Kiedy wjechali w tunel, popatrzyła na swoje obce odbicie w szybie. Przez jakiś czas powinna mieć trochę spokoju. Przynajmniej dopóki nie wymyśli, co dalej.

W każdym razie najpierw weźmie pieniądze ze skrytki. I wszystko, co uszczknęła z oszczędności, co do öre, włoży do woreczka. Przynajmniej tego jej nie odbiorą.

Jej skrytki pocztowej.

Kurwa mać.

Nagle coś sobie uświadomiła. Spadło to na nią jak grom z jasnego nieba. Przecież pakuje się w pułapkę. Jak mogła być tak głupia! Prawdopodobieństwo, że policja nie zna tego miejsca, które ona regularnie odwiedza, było bliskie zeru. Jej skrytka pocztowa znajdowała się w jedynym rejestrze, w którym mogli odszukać jej nazwisko. Na pewno już to zrobili.

Kiedy zdała sobie sprawę, że nie będzie mogła odbierać pieniędzy, wypełniła ją niepoohamowana złość.

Zacisnęła pięści i czuła, że strach powoli ją opuszcza. Nie mieli prawa tak z nią postąpić. Podanie jej nazwiska do gazet na pewno jest niezgodne z wszelkimi zasadami. Gdyby była szanowanym obywatelem, który stosuje się do powszechnie uznanych norm, nie byłaby na coś podobnego narażona.

Nigdy od nikogo niczego nie chciała i nie zamierza tego zmieniać.

Ani myśli dłużej tego znosić.

Nadszedł czas walki.

Łódź Thomasa cumowała przy Målarvarvet na Långholmen. Wysiadła z metra na stacji Hornstull i szła po moście nad Pårsundet. Jedyne Thomasowi ufała na tyle, żeby poprosić go o pomoc. Dziesięć lat temu, zanim odziedziczył łódź, mieszkali razem w przyczepie kempingowej koło terenów przemysłowych Lugnet. Kiedy policja przychodziła z nakazem eksmisji, po prostu przetaczali przyczepę kilka metrów dalej i czekali na kolejną decyzję o eksmisji. W końcu zostawiono ich w spokoju.

O miłości raczej nie było mowy, oboje tęsknili za bliskością. Tylko tyle mogli sobie wzajemnie dać i to im wówczas całkowicie wystarczało.

Początkowo nie potrafiła odnaleźć łodzi. Ostatnio była tutaj kilka lat temu. Kiedy zawróciła, zauważyła ją obok szarej łodzi wojskowej.

Nagle zaczęła się wahać. Tu, na miejscu, nie była już wcale taka pewna. Wiedziała, że

Thomasowi można ufać, ale tylko wtedy, kiedy jest trzeźwy. Z alkoholem we krwi stawał się innym człowiekiem. Miała na ciele kilka śladów, które to potwierdzały. Odetchnęła głęboko i zacisnęła pięści, żeby odzyskać siłę, jaką czuła, jadąc metrem.

– Thomas!

Rozejrzała się. Na kei nie było żywej duszy.

– Thomas! To ja, Sylla.

Tuż nad relingiem wojskowej łodzi pojawiła się głowa. W pierwszej chwili nie poznała go. Zapuścił brodę. Wydawał się zdezorientowany, ale po chwili jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Coś takiego! Ciągłe na wolności?

Odwzajemniła uśmiech.

– Jesteś sam?

– Jasne.

Nie wykonał żadnego zapraszającego gestu. Ale był trzeźwy. Na tyle go znała.

– Mogę wejść?

Nie odpowiedział od razu, ale patrzył na nią z uśmiechem.

– Czy oby na pewno nie ryzykuję?

– Daj spokój. Wiesz, że to nie byłam ja.

Uśmiech stał się radośniejszy.

– Włącz. Ale wszystkie ostre narzędzia musisz zostawić na pokładzie.

Głowa zniknęła. Thomas był przyjacielem. Może jedynym jej przyjacielem. A teraz znaczyło to więcej niż kiedykolwiek.

Zostawił luk otwarty. Zanim zeszła, podała mu plecak.

Wnętrze łodzi składało się ze starej ładowni, która obecnie służyła jako warsztat stolarski i mieszkanie. Podłoga, pokryta wiórami i trocinami, nie była chyba sprzątną od stuleci. Świadczyło to przynajmniej o tym, że chwilowo z nikim nie mieszka.

To dobrze.

Poszedł za jej spojrzeniem i rozejrzał się.

– Wygląda tu mniej więcej tak samo jak za twojej ostatniej wizyty.

– Nie. Wtedy nie było takiego porządku.

Wyszczrzył się i podszedł do ekspresu w czymś na kształt kuchni. Jeden stół, trzy krzesła, każde inne, lodówka i mikrofalówka. Nie zauważyła kieliszków. Też dobrze.

– Napijesz się kawy?

Skinęła głową. Opróżnił resztki z dzbanka, który był tak czarny, że nie miało to

żadnego znaczenia. Usiadła na w miarę całym krześle. Thomas nalał wody do ekspresu z plastikowego kanistra.

– W co ty za gówno wdepnęłaś?

Sybilla westchnęła.

– Ty mi to powiedz. Bo ja nie mam pojęcia.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

– Co zrobiłaś z włosami?

Milczała. Wskazała na „Aftonbladet”, która wystawała z kosza na śmieci.

– W tamtych było ci bardziej do twarzy – powiedział, wyrzucając na gazetę zużyty filtr z fusami.

Połowa zawartości filtra wylądowała na podłodze.

– Przyszłam prosić cię o pomoc.

– Ach, tak. Potrzebujesz alibi?

Nagle się zirytowała. Wiedziała, że Thomas żartuje, bo jest zdenerwowany. Zawsze to robił. Ale zwykle znał granice i tym razem nie było to zabawne.

– Byłam w „Grandzie”. I, jak wiesz, trochę mi trudno wytłumaczyć glinom, dlaczego.

Usiadł naprzeciwko niej. Ekspres zaczął szumieć i pierwsze krople skapywały do czarnego dzbanka.

Może usłyszał inny ton w jej głosie, bo nagle spoważniał.

– Fundnęłaś sobie gratisowy nocleg?

Skinęła głową.

– I to ten gość zapłacił?

Pokazał palcem na kosz ze śmieciami. Znowu skinęła głową.

– Co za niefart. A Västervik?

Odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy.

– Nie mam pojęcia. Nigdy w życiu nie byłam w Västerviku. Nie wiem, co się dzieje.

Popatrzyła na niego. Pokręcił głową.

– Ale syf.

– Tak, można tak powiedzieć.

Podrapał się po brodzie i znów pokręcił głową.

– Yhm. W czym potrzebujesz pomocy?

– W odbiorze pieniędzy od matki. Nie mam odwagi pójść na pocztę.

Patrzyli na siebie. Pieniądze matki nie były dla niego niczym nowym. Podczas ich wspólnych lat spędzonych w przyczepie kempingowej pomagał jej wszystko przepić. Wstał,

żeby przynieść kawę, i wracając do stołu, wziął kubek. Brakowało w nim ucha i chyba nie był myty od nowości.

– Jadłaś coś dzisiaj?

– Nie.

– W lodówce jest chleb i ser topiony.

Wstała. Nie czuła już głodu, ale głupotą byłoby nie skorzystać z okazji. Kiedy znów usiadła, nalał jej kawy. I podrapał się po brodzie. Położyła na stole bochenek chleba i tubkę sera.

– Nie prosiłabym cię, gdybym nie musiała. Nie poradzę sobie bez tych pieniędzy.

Skinął głową.

– Okej... – Łyknął kawy. – Spróbuję. W dowód starej przyjaźni.

Popatrzyli na siebie. Dopóki będzie trzeźwy, jego przyjaźń będzie dla niej nieoceniona. Jej jedyny godny zaufania kontakt ze światem. Ale jeśli zaczną pić, zażąda czegoś w zamian. W dowód starej przyjaźni.

OD RAZU PO WYJŚCIU z sali ruszyła do FFMU. Nikt nie próbował jej zatrzymać. Przypuszczalnie matka robiła wszystko, żeby przywrócić właściwy nastrój na dorocznym przyjęciu bożonarodzeniowym.

Nie włożyła kurtki, na dworze było zimno, ale co to za różnica. Płatki śniegu sypały się z nieba jak połyskliwe konfetti, otworzyła usta, żeby kilka pochwycić.

Czuła się znakomicie. Jakby na całym świecie zapanował spokój. Nic już nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że idzie do Mickiego. Wszystko teraz było jej.

Na skraju drogi stali ludzie w białych strojach. Wymachiwali rękami i krzyczeli radośnie. Dokładnie jak na filmie, który w sobotę obejrzała w telewizji. Szła w blasku światła. W snopie światła padającego z nieba i towarzyszącego jej krokom. Pomachała ręką cieszącym się ludziami i okręciła się wśród wirujących śnieżynek.

De Soto Firedome stał przed warsztatem. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że Mickiego może tam nie być.

Teraz to ona miała kontrolę.

Jasne, że Micke będzie w warsztacie.

Ukloniła się przed publicznością, która jej towarzyszyła, otworzyła drzwi i weszła do środka. Wdychała upragniony zapach oleju silnikowego i czuła buzującą w ciele radość.

– Micke!

Coś się poruszyło za stertą opon. Snop światła nadal był z nią, kiedy podeszła bliżej,

żeby zobaczyć, co to takiego. Zanim doszła, Micke wysunął głowę.

– Cześć... Co tu robisz?

Coś jej mówiło, że nie jest zadowolony. Raczej poirytowany. Uśmiechnęła się.

– Przyszłam.

Popatrzył na coś, czego nie mogła dostrzec, i gdyby nie wiedziała, że to niemożliwe, pomyślałaby, że zapina spodnie.

– To nie jest najlepszy moment, Sybilla. Ale możesz chyba przyjść jutro?

Jutro?

O co chodzi?

Podeszła do niego. Za stertą opon leżał brązowy kraciasty koc. A pod nim leżała Maria Johansson.

Snop światła zgasł.

Wybrana.

Tylko jego. Tylko jej.

Jego ciało w ekstazie nad jej ciałem. Dla niej.

Oni dwoje, połączeni.

Razem.

Wszystko za sekundę takiej bliskości.

Wszystko.

Spojrzała na niego. Jego twarz zniknęła. Cofnęła się.

– Sybilla...

Plecy uderzyły o ścianę. Drzwi po prawej. Nacisnąć klamkę.

Rozradowani ludzie odeszli, zostawili ją samą. Przed nią stał De Soto Firedome. Trzysta pięć koni mechanicznych. Cztery kroki do niezamkniętych drzwiczek. Kluczyk w stacyjce.

Jak najdalej stąd. Jak najdalej.

ZANIM WRÓCIŁ, blisko dwie godziny była sama na łodzi. Krążyła jak niespokojny duch między grodziami, oscylując między nadzieją i zwątpieniem, niepokojem i pewnością.

A jeśli obserwowali skrytkę i Thomas nie był dostatecznie spostrzegawczy? A jeśli zaprowadzi ich prosto do niej?

Ale był tam już wcześniej. Oczywiście, że będzie ostrożny.

A jeśli go złapali? Czy to dlatego tak długo go nie ma?

Mimo że każda komórka jej ciała czekała na nich, zdjął ją potworny strach, kiedy

usłyszała kroki na deku, nad swoją głową. I otworzył się luk.

Schowała się za piłą i zamknęła oczy. Jak szczur w pułapce.

Niech ich szlag trafi.

Ale był sam. Zszedł po drabince i rozglądał się.

– Sylla?

Podniosła się.

– Dlaczego tak długo?

Podszedł do ekspresu, który ciągle był włączony. Resztki z kubka wylał do kosza na śmieci.

– Chciałem się upewnić, czy nie mam ogona.

– I co? Miałeś?

Pokręcił głową i nalał sobie trochę kawy z dzbanka.

– Nie. Cisza i spokój.

Wyciągnął w jej stronę dzbanek z kawą w pytającym geście. Pokręciła głową. Wziął głęboki oddech, niepokojąco podobny do westchnienia.

– Sylla, nie było żadnych pieniędzy.

Wpatrywała się w niego. Odstawił dzbanek.

– Co ty, do cholery, mówisz?

Podniósł rękę.

– Skrytka była pusta.

Kłamał. Od piętnastu lat tysiąc pięćset koron lądowało w jej skrytce najpóźniej dwudziestego trzeciego każdego miesiąca. Wyjęła gazetę z kosza na śmieci. Fusy po kawie wysypały się na podłogę. Poniedziałek, dwudziesty czwarty marca. Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Niech cię cholera, Thomas. Ufałam ci.

Wpatrywał się w nią.

– Czego ty, u diabła, chcesz?

Znała to spojrzenie. Zazwyczaj tak wyglądał, kiedy miał te swoje napady wściekłości po pijanemu, ale teraz ani trochę się nie przelękła.

– To były moje pieniądze! Bez nich sobie nie poradzę.

Najpierw stał bez ruchu i patrzył na nią. Potem cisnął kubkiem w ścianę. Narzędzia, które tam wisiały, runęły na podłogę, na ich miejscu spływała kawa.

Wzdrygnęła się od hałasu, ale nie spuszczała z niego wzroku. Odetchnął głęboko, jakby się próbował wziąć w garść, podszedł do świetlika i wyjrzał.

Zwrócony plecami do niej, zaczął mówić:

– Wiem, że robiłem różne rzeczy, nie zawsze najładniejsze, ale jeśli mnie oskarżasz o to, że zabrałem ci pieniądze, to się cholernie mylisz. – Odwrócił się. – Czy nie przyszło ci do głowy, że babsztyl nie ma ochoty wysyłać szmalu morderczyni?

Patrzyła na niego i kiedy jego słowa przedostały się przewodami słuchowymi do mózgu, uświadomiła sobie, że właśnie tak jest.

Koniec z jałmużną.

Beatrice Forsenström uznała, że już spłaciła swój dług.

Poczuła pustkę. Wolno podeszła do stołu, odsunęła krzesło i usiadła. Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Była przegrana.

Wszystko na nic.

Od początku było wiadomo, że nie da rady. Kiedy tak niewiele brakowało jej do szczęścia, dało o sobie znać przeznaczenie i znów ją powaliło.

Kto raz przegra, zawsze przegra. Rzuciła wyzwanie hierarchii i chciała zająć miejsce, które nie było jej pisane. Wstydź się, Sybillo Wilhelmino Beatrice Forsenström. Miałaś wszystko, ale zabrakło ci zdrowego rozsądku, żeby się tym cieszyć. To ci nie wystarczało. Nigdy nie musiałaś chodzić głodna, sama zrezygnowałaś z danego ci miejsca.

No cóż, co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

– I jak?

Poczuła jego rękę na ramieniu.

– Kurna, Sylla, jakoś się to ułoży.

Pewnie. Tylko najpierw odsiedzę dożywocie. A potem będzie mi wszystko jedno.

– Myślę, że trzeba ci czegoś mocniejszego.

Silił się na wesoły ton.

Czemu nie. O niczym innym nie marzyła. Znieczulić mózg. Na chwilę zapomnieć.

Wyjął z szafki butelkę „Koskenkorva”. Zerknęła na nią, potem na niego. Znów był sympatyczny. Skinęła głową.

– Chętnie. Czemu nie?

BYŁA JUŻ PRAWIE w Vetlandzie, kiedy zatrzymała ją policja. Przed nią, na drodze błyskało czerwone światło. Zjechała na pobocze i stanęła. Przy oknie pojawiło się dwóch policjantów. Nacisnęła guzik automatycznego opuszczania szyb. Jeden z policjantów pochylił się, wyłączył silnik i wyjął kluczyk ze stacyjki.



– Aha... No i jak?

Nie bała się. Nic nie czuła.

– Mogłabyś na chwilę wysiąść?

Otworzyła drzwi i wyszła. Za De Soto Firedome zatrzymał się jakiś samochód. Wyskoczył z niego Micke i podbiegł do niej.

– Ty pieprzona dziwko! Jak coś jest nie tak z wozem, to cię zabiję!

Maria Johansson została w samochodzie.

Policjant położył mu rękę na ramieniu.

– Uspokój się trochę, dobrze?

Micke usadowił się za kierownicą, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Usatysfakcjonowany, wysiadł i policjant wręczył mu kluczyki. Micke popatrzył na nią z odrazą.

– Jesteś rąbnięta!

Policjanci ujęli ją pod ramiona i zaprowadzili do radiowozu. Osłaniając jej głowę ręką, wpuścili na tylne siedzenie. Jeden policjant usiadł obok niej, drugi – na fotelu kierowcy.

Nikt nic więcej nie powiedział.

– Sybilla Forsenström? Tak się nazywasz?

Skąd w tym pokoju taki dziwny zapach?

– Dlaczego wzięłaś samochód?

A jeśli to gaz?

– Masz prawo jazdy?

Co robią szpary w tamtej ścianie?

– Możesz mówić?

Mężczyzna po drugiej stronie stołu westchnął i zaczął przeglądać jakieś papiery. Przez ścianę przeszło czterech ubranych na czarno mężczyzn. Patrzyli na nią.

– Nie możemy cię znaleźć w naszych dokumentach. Czy zrobiłaś to po raz pierwszy?

Mężczyźni w czerni podeszli bliżej. Jeden trzymał w ręku rozżarzony klucz nasadowy.

– Skontaktujemy się z opieką społeczną, ale najpierw zadzwonimy do twoich rodziców, żeby po ciebie przyjechali.

Chcieli ją rozebrać na części, żeby ich użyć do lepszych modeli. Mężczyzna z kluczem poruszył wargami, ale nie dosłyszała, co mówi.

Popatrzyła na mężczyznę przy stole. Jego twarz zniknęła. Miał w głowie dziurę. Teraz nic nie widziała.

Dlaczego leży na podłodze?

Odgłos odsuwanej krzesła. Czyjeś wołanie.

– Lasse! Lasse, potrzebuję kogoś do pomocy!

Szybkie kroki.

– Nie wiem, co jej jest. Wezwij karetkę.

OBUDZIŁ JĄ kopniak w bok. Niezbyt mocny, ale wystarczający, żeby oprzytomniała.

Obok, w slipach, stał Thomas. Po sekundzie uzmysłowiła sobie dwie rzeczy. Był pijany i trzymał w ręku dwadzieścia dziewięć tysięcy koron. Odruchowo dotknęła dłonią miejsca, w którym powinny być pieniądze. Poczowała tylko swoją skórę. Była naga.

Uśmiechnął się do niej szyderczo i podniósł drugą rękę. Z woreczkiem.

– Tego szukasz?

Przełknęła ślinę. Usta wyschły na pieprz. Od lat nie piła mocnego alkoholu. Pamiętała, że nie wypila zbyt dużo, ale butelka na stole była pusta.

– Ty suko! Najpierw wysyłasz mnie na pocztą, a potem beczysz, że sobie nie poradzisz bez szmalu.

Myślała. Jej stanik leżał tuż obok, wyciągnęła rękę, ale Thomas był szybszy. Jeden ruch nogą i był poza jej zasięgiem. Próbowwała się zasłonić śpiworem.

– Thomas, proszę...

– Thomas, proszę... – Z grymasem naśladował ton jej głosu, oczy zwęziły się w szparki. – Jak mogłaś mnie tam posyłać? Nie dociera do ciebie, że mogli mnie zapuszkować? A ty leżysz sobie jakby nigdy nic z majątkiem na szyi.

Zmiał banknoty w dłoni.

– Oszczędzałam – powiedziała cicho.

– Akurat.

– Na dom.

Patrzył na nią, po chwili się odchylił i roześmiał. Od nagłego ruchu niemal stracił równowagę i żeby nie upaść, chwycił się drabinki. Ta nagła niemoc jeszcze bardziej go rozeźliła. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, podciągnęła śpiwór.

– Thomas – powiedziała najdelikatniej, jak umiała – nie będziemy się chyba o to kłócić. Chciałam ci pokazać pieniądze.

Było jej niedobrze. Thomas ciągle trzymał się drabinki i miał kłopoty z utrzymaniem równowagi.

– Przyszłam tutaj, bo się za tobą stęskniłam.

Popatrzył na jej piersi. Czują na sobie jego wzrok, jakby to były dłonie, i zdławiła mimowolny dreszcz obrzydzenia. Upuścił woreczek na podłogę. Próbowła się uśmiechnąć. Niedbałym ruchem rozwał jej nadzieję, banknoty wylądowały na podłodze między trocinami.

W następnej sekundzie był na niej, a ona prosiła Boga, żeby jak najszybciej mieć to za sobą.

*Panie, dodaj mi otuchy podczas tych wszystkich pustych dni. Daj mi siłę, bym przeżył kolejną godzinę, następny dzień, resztę nieskończonego pustego czasu, który mi pozostał.*

*Gdzieś, Po Drugiej Stronie, on będzie na mnie czekał. Albowiem gdzie jest skarb mój, tam będzie i serce moje.*

*Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, kto słucha słowa mego i wierzy temu, który mnie posłał, ma żywot wieczny i nie stanie przed sądem, lecz przeszedł z śmierci do żywota.*

*Gdyż nadchodzi godzina, kiedy wszyscy w grobach usłyszą głos jego. I wyjdą ci, co dobrze czynili, by powstać do życia; a inni, którzy źle czynili, by powstać na sąd.*

*Nie mogę sam z siebie nic uczynić. Jak słyszę, tak sądzę, a sąd mój jest sprawiedliwy, bo staram się pełnić nie moją wolę, lecz wolę tego, który mnie posłał.*

I TYM RAZEM Bóg jej nie wysłuchał. Thomas w końcu miał dosyć i usnął na niej, jak dławiące ciężkie okrycie. Ostrożnie, ostrożnie, niesamowicie powoli się przemieszczając, zrzuciła go z siebie i wstała.

Ciągle naga, pozbiierała z podłogi pomięte banknoty. Prostowała je na udzie i wkładała do woreczka.

Thomas leżał na boku z otwartymi ustami. Z kącika ust wysnuwała się nitka śliny, torowała sobie drogę w zmierzwionej brodzie i spadała na materac. Była zadowolona, że nie spała na swojej macie. Bo musiałaby ją zostawić. Śpiwór zsunął się na bok i wystarczyło lekko unieść nogę Thomasa, żeby go wyjąć.

Wkrótce była już ubrana. Marzyła o prysznicu, o tym, żeby zmyć z siebie jego oczy. Musi pójść gdzieś, gdzie jest bieżąca woda, bo inaczej zwariuje.

Spakowała swój dobytek i zamknęła plecak. Niedosuszone majtki i ręcznik, które zapomniała rozwiesić, zalatywały kwaskowatym odorkiem. Będzie je musiała jeszcze raz wyprać.

Tylko gdzie? I dokąd pójdzie?

Chciała się stąd wydostać jak najszybciej, ale pragnienie kazało jej zostać jeszcze chwilę i napić się wody z kanistra. A skoro miała go w ręku, skorzystała z okazji, żeby umyć ręce i twarz. Na podłodze zrobiła się paciają. Mokre wióry i fusy po kawie. Thomas podciągnął nogę, którą mu przed chwilą przesunęła. Stała bez ruchu, żeby się upewnić, czy on śpi.

Szybko po drabince w górę, potem luk i na... Właśnie. I gdzie? Bo na pewno nie na wolność.

Niech ich szlag trafi.

Na dworze było ciemno. Odruchowo spojrzała na zegarek, który ciągle nie chodził. Söder Mälarstrand była pusta, świeciło się tylko w pojedynczych oknach. Przypuszczalnie mało kto był już na nogach.

To dobrze. Im mniej ludzi ją zobaczy, tym lepiej. Najciszej, jak tylko mogła, przeszła przez pokład i wspięła się na łódź wojskową. Po chwili była na kei i ruszyła w kierunku mostu.

Nogi same ją niosły. Nie miała pojęcia, dokąd. Zwykle nie było w tym nic dziwnego. Zwykle była to całkiem normalna sytuacja w jej świecie. Codziennosc. Czasami zastanawiała się, czy jej kłopoty z planowaniem różnych rzeczy nie mają związku z chorobą, którą przeszła w młodości. Może doszło do uszkodzenia jakiegoś nerwu odpowiedzialnego za planowanie. Dotąd musiała się wykazywać zapobiegliwością wyłącznie w zdobywaniu jedzenia i wyszukiwaniu w miarę ustronnych miejsc, gdzie mogła rozłożyć śpiwór. Żadnych wygórowanych wymagań, żadnych większych problemów. Wolność dawała jej poczucie bezpieczeństwa w tym koczowniczym życiu. Nikt za nią o niczym nie decydował. Mogła robić, co chciała. Chodzić, gdzie chciała.

Teraz nie było takie jak zwykle.

Teraz nie wiedziała nawet, dokąd mogłaby pójść.

Skręciła w Heleneborgsgatan, a kiedy domy się skończyły, weszła do parku Skinnarvik. Powinno się już rozwidniać. Jakiś mężczyzna podziwiał widoki, podczas gdy jego pies załatwiał tuż obok swoje potrzeby. I pies, i jego pan odwrócili się, słysząc jej kroki na zwirowanej alejce, i popatrzyli na nią. Mężczyzna sumiennie kucnął i zebrał psią kupę do plastikowej torebki. Jakby się obawiał, że będzie miała zastrzeżenia.

Za rogiem, na Hornsgatan stała przed restauracją świeża dostawa chleba. Z pewnością obejdą się bez jednego bochenka.

Potrzebowała teraz jakiegoś miejsca, w którym mogłaby się na kilka dni zatrzymać. Gdzie miałyby święty spokój i gdzie nikomu nie przysłoby do głowy jej szukać. Niepewność nieźle dała jej w kość. Musiała odpocząć. Z doświadczenia wiedziała, że jeśli się porządnie nie wyśpi, mózg odmówi posłuszeństwa. A wtedy straci rozeznanie i stanie się łatwą zdobyczą.

Przepatrywała w pamięci wszystkie miejsca, w których spała. W niewielu miałyby spokój, zwłaszcza w obecnej sytuacji.

Było coraz więcej samochodów. Żeby uniknąć ulicznego ruchu, postanowiła przejść przez Homsgatspuckeln. Po prawej był kościół Św. Marii. Popatrzyła na zegar i już wiedziała, gdzie się ukryje.

DZIEŃ I NOC. Ci sami ludzie bez twarzy, którzy mówili do niej w obcym języku, wydawali się nie rozumieć grożącego jej niebezpieczeństwa.

Ludzie bez twarzy wchodzili do pokoju i wychodzili, wyciągali ręce i zmuszali ją do połykania trujących tabletek. Głosy dochodzące z kaloryfera, które śmiały się z niej szyderczo. Pod łóżkiem leżał Diabeł i czekał, aż usiądzie i postawi stopy na podłodze. A wtedy natychmiast wciągnąłby ją do dziury, tam, pod spodem, i wrzucił do piwnicy, gdzie byli jego czarno ubrani ludzie z rozżarzonymi narzędziami.

Nie chciała zasnąć, nie miała odwagi, ale tabletki, którymi ją truli, mimo wszystko zsyłały sen. Kiedy spała, nie wiedziała, co z nią wyprawiają. To dlatego zmuszali ją do spania.

Niekończący się koszmar.

Kiedy nie chciała wstać, wtykali jej coś w podbrzusze i wpompowywali truciznę. Trucizna była żółta i wisiała w woreczku obok łóżka. Żeby Diabeł mógł go w razie potrzeby uzupełnić.

Ilekcóż próbowała wyrwać rurkę, przywiązywali jej ręce.

Przychodził mężczyzna w bieli i chciał, żeby z nim rozmawiała. Udawał miłego, byle tylko wyjawiała mu swój sekret, o którym by opowiedział mężczyznom z piwnicy.

Ciemności i światło na przemian. Czas w zawieszeniu, tylko nowe ręce, które zmuszały ją do połykania białych tabletek z trucizną.

Aż pewnego dnia nagle zrozumiała, co do niej mówią. Zwracali się przyjaźnie i chyba chcieli jej dobra. Chcieli ją chronić. Ktoś przesunął ją razem z łóżkiem, żeby mogła się przekonać, że nie ma tam żadnej dziury. Wtedy zgodziła się wstać i pójść do toalety. Rurkę z podbrzusza wyjęto i zabrano woreczek z trucizną.

Następnego dnia wszyscy, którzy do niej przychodzili, odzyskali twarze. Uśmiechali się do niej. Coś mówili, wygładzając jej prześcieradło i poprawiając poduszki. Ale ciągle wmuszali w nią tabletki. Powiedzieli, że jest chora. Że leży w szpitalu. Że zostanie tam jeszcze przez jakiś czas, dopóki nie wyzdrowieje.

A co potem? Wolą nie myśleć, że będzie jakieś potem.

Kilka dni i nocy. Głosy z kaloryfera umilkły, zostawiły ją w spokoju.

Czasami wychodziła na korytarz. W jednym końcu stał telewizor. Pacjenci z nią nie rozmawiali. Każdy był w swoim świecie. Często stawała przy oknie w pokoju, przyciskała czoło do zimnej kraty i patrzyła na świat. Trwał bez niej.

Któregoś razu pozwolono jej wyjść do przyszpitalnego parku, ale w towarzystwie. Śnieg już stopniał, na rabatkach pojawiły się przebiśniegi.

Beatrice Forsenström z wizytą. Nienagannie ubrana, ale z ciemnymi kręgami pod oczyma. I mężczyzna, który chciał, żeby zaczęła mówić. Siedzieli obok siebie przy jej łóżku. Beatrice z torebką na kolanach.

Mężczyzna uśmiechał się. Wyglądał sympatycznie.

– Jak się dzisiaj czujesz?

Sybilla spojrzała na matkę.

– Lepiej.

Mężczyzna był zadowolony.

Sybilla przełknęła ślinę.

– Może dlatego, że byłam głupia.

Mężczyzna popatrzył na jej matkę, która przesłoniła usta dłonią.

Odpowiedziała źle. Teraz matka będzie smutna i zawiedziona.

– Nie, Sybillo – powiedział. – Byłaś chora. Dlatego tu jesteś.

Skupiła spojrzenie na swoich dłoniach. Nikt nic nie mówił przez dłuższą chwilę. W końcu mężczyzna wstał.

– Zostawię was same – zwrócił się do matki. – Za chwilę wrócę.

I zostały same. Sybilla nadal patrzyła na ręce.

– Przepraszam.

Matka podniosła się.

– Skończ z tym.

Udało jej się ją rozzłościć.

– Byłaś chora i za to nie trzeba przeproszać.

Matka usiadła. Na moment spotkały się ich spojrzenia i tym razem matka pierwsza odwróciła wzrok. Ale Sybilla zdążyła odczytać jej myśli. Beatrice Forsenström aż kipiała z wściekłości, że córka postawiła ją w tak przykrych sytuacjach. I że nic nie może na to poradzić.

Sybilla znowu popatrzyła na ręce.



Rozległo się pukanie do drzwi, wrócił mężczyzna, który chciał, żeby zaczęła mówić. Miał ze sobą brązowy skoroszyt. Stał w nogach łóżka.

– Sybilla, jest coś, o czym ja i twoja mama chcielibyśmy z tobą porozmawiać.

Szukał spojrzeniem oczu matki, ale ta patrzyła w podłogę i tak mocno zaciskała dłonie na torebce, że pobieleły jej kostki.

– Czy masz chłopca?

Sybilla wpatrywała się w niego.

– Czy masz chłopca? – spytał jeszcze raz.

Pokręciła głową. Usiadł obok niej na łóżku.

– Widzisz, choroba, na którą zapadłaś, może mieć również podłoże fizyczne.

Aha.

– Zrobiliśmy ci kilka testów.

Wiedziała o tym.

– I okazało się, że jesteś w ciąży.

Ostatnie słowo zabrzmiało w jej głowie jak echo. Widziała przed sobą wyłącznie brązowy kraciasty koc.

Wybrana.

Tylko jego. Tylko jej.

Razem.

Wszystko za sekundę takiej bliskości.

Wszystko.

Popatrzyła na matkę. Już wiedziała.

Mężczyzna położył rękę na jej dłoni. Dotyk przeszył ciało jak wstrząs elektryczny.

– Czy wiesz, kto jest ojcem dziecka?

Byli połączeni. Spleceni. Na zawsze.

Pokręciła głową. Matka patrzyła na drzwi, marzyła tylko o tym, żeby stąd wyjść.

– Jesteś w dwudziestym siódmym tygodniu ciąży i nie pozostaje nic innego, jak ją donosić.

Sybilla położyła ręce na brzuchu. Mężczyzna uśmiechał się do niej, nie był jednak zadowolony.

– Jak się czujesz?

Spojrzała na niego. Jak się czuje?

– Twoja mama i ja rozmawialiśmy o tym.

Popatrzyła na matkę. Pobielwały jej wargi.

– Naszym zdaniem byłoby dla ciebie najlepiej, gdybyśmy już teraz zdecydowali, co dalej.

W sąsiednim pokoju ktoś zaczął krzyczeć.

– Ponieważ nie jesteś jeszcze pełnoletnia, a twoi rodzice znają cię najlepiej, ich zdanie ma tu znaczenie rozstrzygające. I ja, jako twój lekarz, uważam, że ich decyzja jest całkiem słuszna.

Wpatrywała się w niego. Jaka decyzja? O jej ciele nie mogli chyba decydować?

– Naszym zdaniem najlepszym wyjściem dla wszystkich byłoby oddanie dziecka do adopcji.

ZAKUPY W „SEVEN ELEVEN” były luksusem, na który rzadko sobie pozwalała. Ceny były dużo wyższe niż gdzie indziej, ale teraz nie obowiązywały normalne reguły. Potrzebowała jedzenia na parę dni i musiała je kupić natychmiast, żeby była przygotowana, kiedy tylko otworzą się drzwi do szkoły, zanim na korytarzach zaroi się od uczniów i wścibskich nauczycieli.

Tuż po siódmej, zaopatrzona w puszkę fasolki, banany, jogurt i chleb chrupki, czekała, aż woźny albo inna godna zaufania osoba otworzy bramy raj.

Tutaj będzie miała spokój.

Dwadzieścia po siódmej zauważyła ze swojego punktu obserwacyjnego, że godna zaufania osoba spełniła swój obowiązek i jak tylko zniknęła, Sybilla przecięła ulicę i weszła do środka. Potem na górę, schody, korytarz. Nikogo nie spotkała po drodze, ale jak we wszystkich starych budynkach niosły się echem najróżniejsze odgłosy.

Drzwi na strych były tam, gdzie je zapamiętała. „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Pod tabliczką ktoś odpowiedzialny przyczepił odręcznie napisaną informację, przestrzegającą przed nie najlepszym stanem podłogi i groźbą zawalenia.

Lepiej być nie mogło!

Drzwi były zamknięte na zwykłą kłódkę. Przydałby się jej teraz scyzoryk. Leżał sobie pewnie w charakterze dowodu rzeczowego w jakimś komisariacie. Westchnęła. Skobel był przymocowany do ściany na cztery gwiazdkowe śruby. Schyliła się, żeby znaleźć w plecaku jakieś stosowne narzędzie. Pilnik do paznokci musi wystarczyć. I rzeczywiście. Ledwie dotknęła górnej śruby, już wypadła. Pozostałe też były poluzowane. Nabrała podejrzeń. Czy ktoś jeszcze korzysta z tego ustronnego strychu? Nie miała jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Gwar głosów nasilał się. Włożyła pilnik do paznokci do kieszeni i nacisnęła

klamkę. Za drzwiami było kilka schodków i poręcz. Weszła i zamknęła drzwi.

Kiedy była tutaj ostatnio, jakieś sześć, siedem lat temu, wszystko wyglądało inaczej. Ale w tym czasie szkołę odremontowano. Zauważyła to już na klatce. Wtedy na strychu poniewierało się mnóstwo rupieci i podłoga wymagała odciążenia. Teraz leżały tylko jakieś nikomu niepotrzebne podręczniki. Przypomniała sobie, że była tutaj latem i że w tym źle uszczelnionym pomieszczeniu panował dławiący upał. Może dlatego wyrzuciła je z pamięci?

Teraz wysoka temperatura nie będzie żadnym problemem. Wręcz przeciwnie.

Za to zegar był na swoim miejscu. Ogromny, kiedy się na niego patrzyło z drugiej strony. Tarczę oświetlały dwie lampy, które zainstalowano po jej ostatniej bytności. Wtedy zegar był popsuty, teraz zauważyła, że dłuższa wskazówka przesunęła się. Na moment znów się zaniepokoiła. Jak często trzeba nakręcać taki ogromny mechanizm?

Rezolutnie zdławiła lęk. Jeśli wypakuje swoje rzeczy pod przeciwległą ścianą, zdąży się schować, gdyby ją zaskoczył ktoś od zegara.

Chwilę później rozwinęła matę i śpiwór. Ciągłe wilgotne majtki i ręcznik powiesiła na rurze grzewczej. W nocy, kiedy szkoła opustoszeje, odszuka pokój dla personelu i skorzysta z prysznic. Wtedy wypierze je jeszcze raz, ale jeśli zdążyły skisnąć, nigdy nie będą czyste.

Czuła się brudna. Nadal miała na sobie ręce Thomasa, oplatały ją jak lepka pajęczyna. Zastanawiała się, czy już się obudził i zauważył, że jej nie ma. I co zrobi, kiedy to zauważy.

No i teraz tu siedzi. Ukryta. Na strychu. Złamana, zniesławiona, unicestwiona. W ciągu ostatnich lat miała mnóstwo powodów, żeby się poddać, ale coś zawsze kazało jej walczyć. Może teraz miała wystarczająco silny powód? Może to byłoby całkiem przyjemne? Ostateczny dowód na to, że naprawdę jest do niczego?

Słyszała gwar hałaśliwych uczniów, schodzących się do szkoły.

„Sybilla, Sybilla, wszy flotylla. Schlała się jak Godzilla. Olejmy ją, i dyla”.

Może mieli rację? Może już w dzieciństwie było w niej coś pośledniego, co inni wyczuwali. A w późniejszych latach podpowiadał im to instynkt; że jest gorsza. Nigdy w niczym nie była brana pod uwagę. Wszyscy wiedzieli o tym od samego początku. Wszyscy prócz niej. Czyżby jej uporczywa walka o coś lepszego była tylko stratą czasu? Ona, Heino i im podobni istnieli wyłącznie po to, by służyć innym za runo. Żeby w porównaniu z nimi standardowy obywatel odczuwał odrobinę satysfakcji ze swojego życia. I oceniał swoje sukcesy w odniesieniu do ich porażki.

Że zawsze może być gorzej.

Ich zadanie polega na utrzymywaniu społecznego organizmu w równowadze.

Zawczasu oddzielono ziarno od plew. Żeby mogli się przyzwyczaić i nie żądać zbyt wiele.

Położyła się na macie. Zabrział szkolny dzwonek i w budynku zaległa cisza.

Poddanie się byłoby czymś szalenie prostym. Zaakceptować swoją przynależność do plew i pozwolić się unicestwić. Nie zamierzała iść na policję, nigdy w życiu, ale są inne sposoby.

Jeśli nie starczy jej sił, żeby dojść aż do mostu, do Västerbron, na pewno da się to załatwić tutaj, na strychu.

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ wróciła do domu. W dużej willi panowała nieprzenikniona cisza. Gun-Britt już u nich nie pracowała, Sybilla podejrzewała, że matka nie była w stanie znieść wstydu, jakiego przysparzał rosnący brzuch córki. Nie mogła na to patrzeć ani jedna para niepowołanych oczu.

Spacery były bezwzględnie zakazane. Po zapadnięciu ciemności mogła przebywać w ogrodzie, ale tylko po właściwej stronie ogrodzenia.

Ojciec najczęściej siedział w swoim gabinecie. Czasami słyszała jego kroki na kamiennej posadzce, na parterze.

Posiłki jadła u siebie. Sama tak zdecydowała po milczącym, acz bardzo wymownym obiedzie w towarzystwie rodziców pierwszego dnia po powrocie ze szpitala. Czy mogła mieć do nich pretensję? Spodziewali się po niej czegoś dokładnie przeciwnego. Nie była okazem, którym mogliby się chwalić, który potwierdzałby sukcesy i wyjątkową pozycję rodziny Forsenströmów. Była czymś, co przynosi hańbę i jest dowodem całkowitej porażki, czymś, co trzeba ukrywać przed cieszącymi się z cudzego nieszczęścia spojrzeniami mieszkańców Hultarydu.

Tak, wołała jeść sama w swoim pokoju.

O Mickem nie myślała zbyt dużo. Był tylko snem. Kimś, kogo spotkała w innym czasie. Teraz nie istniał.

Nic nie było takie jak dawniej.

Od tej chwili wszystko się zmieniło.

Była chora psychicznie.

Była kim innym. Kimś, kto ma chorą głowę. Nigdy nie będzie tak jak dawniej. Nigdy nie będzie się mogła z nikim podzielić swoimi doznaniem. Nikt by jej nie zrozumiał. Nikt nie chciałby zrozumieć.

A gdzieś w niej tliło się poczucie krzywdy. Z każdym dniem się nasilało, w końcu ovladnęło ją całkowicie. Nie chciała tu być.

Gdyby mogła, chętnie by ich opuściła.

To na nią zrzucano całą winę, niczego nie pragnęła bardziej, niż zejść im z oczu, nie widzieć tych zawiedzionych spojrzeń. Ale siedziała jak więzień, z rosnącym brzuchem, i czekała, czekała, czekała.

Na co?

Na co ona czekała?

Była bezwolnym narzędziem, które spełniało marzenie dwojga nieznanych, przyszłych rodziców.

Nagle wszyscy zaczęli się troszczyć o jej dobre samopoczucie. Nawet matka starała się, jak mogła. Rosnący brzuch stał się ochronną tarczą, za którą mogła się ukryć. Ale co się stanie, kiedy brzucha nie będzie?

Co się z nią stanie?

Oddać do adopcji.

Oddać, czyli pozbyć się. Ale „adopcja” była tylko słowem. Jak „procent” albo „demokracja”. W tym słowie nie było wartości. Ani treści. Miała oddać do adopcji coś, co bez jej pozwolenia zadomowiło się w jej ciele i rozdymało jej brzuch. Kiedy siedziała bez ruchu albo leżała, czuła, jak się w niej porusza. Jak kopie w rozciągniętą skórę brzucha, jakby chciało powiedzieć: „Jestem”.

Pukanie do drzwi.

Sybilla zerknęła na budzik. Obiad.

– Proszę.

Matka wniosła tacę i postawiła ją na biurku. Sybilla od razu się domyśliła, że coś jej leży na sercu. Zostawienie tacy zajmowało jej zazwyczaj tylko chwilę, teraz niezwykle starannie nakrywała do stołu.

Sybilla leżała na łóżku i czytała. Usiadła i spojrzała na plecy matki.

– Wczoraj zostawiłaś jarzyny. Powinnaś je jeść. To ważne.

– Dlaczego?

Matka zamarła w połowie ruchu. Odpowiedziała po kilku sekundach:

– To ważne dla... – Odchrząknęła. – Dla dziecka...

Aha. Dla dziecka. Dużo czasu potrzebowała, żeby wydobyć te dwa słowa gdzieś z głębi. Dało się to zauważyć nawet po jej plecach.

Sybilla ogarnęła złość.

– A dlaczego to takie ważne, żeby się dobrze czuło?

Matka wolno się odwróciła.

– To nie ja zaszłam w ciążę. Bądź tak dobra i weź odpowiedzialność za swoje czyny.

Sybilla milczała. Za dużo miała do powiedzenia.

Matka próbowała się opanować. Nie została tu po to, żeby mówić o jarzynach, był to dosyć niefortunny temat zastępczy. Sybilla widziała, jak się szykuje do wyłożenia sprawy.

– Chcę, żebyś mi powiedziała, kto jest ojcem dziecka.

Sybilla milczała.

– Czy to ten z samochodem? Mikael Persson? Czy to on?

– Może i on. Bo co? Czy to ma jakieś znaczenie?

Matka za wszelką cenę starała się zapanować nad gniewem, w czym Sybilla nie zamierzała jej pomagać. Już nie.

– Chcę tylko, żebyś wiedziała, że nie ma go już w Hultarydzie. Ojciec był właścicielem tych budynków i postanowił je rozebrać. Mikael się stąd wyprowadził.

Sybilla uśmiechnęła się. Nie dlatego, że FFMU miało być rozebrane, ale dlatego, że po raz pierwszy odważyła się pomyśleć, że jej matka ma nie po kolei w głowie. Naprawdę wierzyła, że jest wszechmocna.

– Chciałam, żebyś o tym wiedziała.

Skończyła i ruszyła do drzwi.

– Dlaczego urodziłaś dziecko? – zapytała Sybilla.

Lewa stopa Beatrice Forsenström zatrzymała się na dywanie. Odwróciła się. W oczach matki Sybilla dostrzegła coś nowego. Czego nigdy przedtem nie widziała. Czego nigdy przedtem w nich nie było.

Matka się jej bała.

Bała się własnej córki.

– Bo babcia uważała, że powinniście mieć dziecko?

Matka milczała.

– Cieszysz się, że jesteś matką? Że masz córkę?

Patrzyły na siebie. Sybilla poczuła ruchy dziecka.

– Co babcia myśli o mojej chorobie psychicznej? A może nic jej nie powiedziałaś?

Nagle dolna warga Beatrice zadrżała.

– Dlaczego mi to robisz?

Sybilla parsknęła.

– Dlaczego JA ci to robię? Nie masz, do cholery, za grosz rozumu!

Przekleństwo pozwoliło Beatrice Forsenström odzyskać równowagę.

– Takich słów się w tym domu nie używa!

– Tak. Ty może nie używasz. Ale JA używam. CHOLERA, CHOLERA, CHOLERA.

Matka wycofała się do drzwi. Teraz zbiegnie na parter i zadzwoni do szpitala. W jej domu jest wariatka.

– Leć i dzwoń. Może się mnie pozbędziesz raz na zawsze.

Matka otworzyła drzwi.

– A ja w tym czasie zjem jarzyny, bo przecież nie chcemy, żeby dziecku stała się krzywda.

Beatrice obrzuciła ją przestraszonym spojrzeniem i zniknęła. Słyszając jej szybkie kroki na schodach, Sybilla wybiegła do hallu. Matka szła do gabinetu dyrektora Forsenströma.

– Zapomniałaś odpowiedzieć na pytanie! – krzyknęła za nią.

Nie otrzymała odpowiedzi.

Wróciła do pokoju i podeszła do tacy. Gotowana marchewka i groszek. Chwyliła talerz obiema rękami i wrzuciła go do kosza. Potem wyjęła torbę i zaczęła się pakować.

ZBUDZIŁ JĄ odgłos otwieranych drzwi. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, ktoś pokonał schodki, na kilka sekund zamarł i ruszył przed siebie.

Nie zauważył jej.

Leżała nieruchomo i obserwowała go.

Blondyn, szczupły, okulary w drucianej oprawce.

Wszedł na mały podest przed zegarem. Przyłożył głowę do mechanizmu i rozpostarł ramiona. W świetle z zewnątrz wyglądał jak Jezus z antenami.

Była za dwie dwunasta.

Rozejrzała się. Zdążyłaby się stąd wymknąć, ale musiałaby zostawić swój dobytek.

Nie wyglądało to bezpiecznie. Stał w takim miejscu, że gdyby stracił równowagę, mógłby spaść.

Mijały sekundy. Dłuższa antena Jezusa przesunęła się.

Wstrzymywała oddech, żeby nie zdradzić swojej obecności.

W końcu opuścił ramiona. W następnym momencie odwrócił się i zobaczył ją. Zauważyła, że się przestraszył. Przestraszył i nieco speszył, że ktoś go obserwował.

Nic nie mówili, ale nie odrywali od siebie wzroku. Nie widziała dokładnie jego twarzy, światło w tle zamazywało rysy. Jak ona, u licha, z tego wybrnie? Nie wydawał się szczególnie silny. Pod żadnym pozorem nie może stąd wyjść, dopóki z nim nie porozmawia. Wolno usiadła. Gdyby wstała, mogłoby to zbyt groźnie wyglądać.

– Co robisz? – zapytała ostrożnie.

Nie odpowiedział od razu, zauważyła, że trochę się rozluźnił.

– Nic szczególnego.

– Aha. Stąd wyglądało to dosyć niebezpiecznie.

Wzruszył ramionami.

– A ty? Co ty tu robisz?

Właśnie. Co ja tu robię?

– Odpoczywam.

Powiedziała prawdę.

– Mieszkasz na ulicy?

Uśmiechał się. Rąbnął prosto z mostu. Zwykle ludzie próbowali określić to łagodniej.

– Teraz jestem pod dachem.

– Chodzi mi o to, czy jesteś bezdomna. Taka, która nie ma gdzie się podziać.

Dlaczego miałaby zaprzeczać. Żadnego innego sensownego wyjaśnienia jej obecności tutaj nie było.

– Tak. Może i tak.

Zszedł z podestu.

– *Cool*. Ja też taki będę, kiedy skończę szkołę.

Popatrzyła na niego.

– Dlaczego?

– Bo to mocna rzecz. Nikt o ciebie nie pyta ani ci nie mówi, co masz robić.

Fakt. Można na to i tak spojrzeć.

– Są na pewno inne rzeczy, na które lepiej postawić, jeżeli o tym akurat marzysz.

– I kto to mówi – powiedział rehotliwie.

Nie była pewna, czy się z niej nie nabija.

– Ćpasz?

– Nie.

– Myślałem, że wszyscy bezdomni to ćpuny. Czy to nie dlatego nie ma się domu? Tak mówi moja stara.

– Matki nie wiedzą wszystkiego.



Prychnął, kiedy to powiedziała. Zauważyła, że już się jej nie boi. Podszedł do niej. Wstała.

– To wszystko, co masz?

– Tak. Można tak powiedzieć.

Obrzucił spojrzeniem matę i plecak. Śledziła jego wzrok. Był pod wrażeniem.

– *Supercool.*

Przynajmniej raz została potraktowana jak wzór godny naśladowania. Dziwne uczucie. No, ale już dosyć tych rozmów na jej temat.

– Co tutaj robisz? Nie wiesz, że podłoga może się zawalić?

– Oj, ratunku, jak niebezpiecznie!

Żeby jej pokazać, jak bardzo się tym przejmuje, kilka razy podskoczył. Położyła mu rękę na ramieniu.

– Przestań. Byłoby przykro, gdybyś spadł.

– Gadanie!

Cofnął ramię, ale już nie skakał. Patrzyła na niego w milczeniu. Jego nieoczekiwana obecność w jej kryjówce stanowiła zagrożenie. Pytanie tylko, jak duże. Musi się tego dowiedzieć. Podniosła z podłogi pogniecioną odbitką powielaczową, żeby jej pytanie nie wydawało się szczególnie istotne.

– Często tu zagładcie?

Trochę za długo zwlekał z odpowiedzią.

– Czasami.

Kłamał, ale nie wiedziała, dlaczego.

– Do której klasy chodzisz?

– Do ósmej.

– A gdzie są inni? Też tu zaraz przyjdą?

Pokręcił głową. Bingo. Tylko on tutaj zagłada. Nikt inny.

– Więc to ty majstrowałeś przy skoblu?

Odpowiedział, nabierając powietrza:

– Jaaa.

Zrozumiała. Kolega z klubu plew. Taki, którego homogeniczna masa już odrzuciła.

– Dobrze się tu czujesz? Fajnie jest w szkole?

Spojrzał na nią, jakby jej brakowało piątej klepki.

– Tak. Bardzo.

Czyli na odwrót. Już się kiedyś z tym spotkała. Młodzi ludzie często teraz tak mówią.

W każdym razie ci nieliczni, z którymi rozmawiała.

Kopnął książkę, która leżała przy jego nodze. Odbiła się o matę i znieruchomiła. „Matematyka dla klas trzecich”.

– Dostajesz zasiłek?

Pokręciła głową. Najwyraźniej już się zapoznał z prawami bezdomnych.

– To co ty jesz? Nie mów, że grzebiesz po śmietnikach.

Na jego twarzy malowało się obrzydzenie.

– Zdarza się.

– Ohyda!

– Też cię to czeka, jeżeli stawiasz na taką przyszłość.

– Przecież można dostać zasiłek. Na żarcie i tak dalej.

Nie miała siły odpowiadać. A mogłaby powiedzieć, że wtedy ciągle byliby ludzie, którzy by mu mówili, co mu wolno, a czego nie wolno.

Odezwał się szkolny dzwonek. Wydawał się go nie słyszeć.

– Chociaż sam nie wiem. Może raczej postawię na pracę w telewizji.

– Nie masz lekcji?

Wzruszył ramionami.

– Mam.

Westchnął i ruszył ku wyjściu. Nie była pewna, czy ją wyda, czy nie. Zostało jej mało czasu, uznała, że najlepiej zapytać wprost.

– Powiesz komuś?

– O czym?

– O mnie. Że śpię tutaj.

Taka myśl najwyraźniej w ogóle nie przyszła mu do głowy.

– A dlaczego miałbym powiedzieć?

– Nie wiem. Zszedł po schodkach.

– Jak ci na imię? – spytała.

Odwrócił się do niej.

– Kiks. A tobie?

– Sylla. Sam wybrałeś tę ksywkę?

Wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam.

Położył rękę na klamce.

– To jakie jest twoje prawdziwe imię?

– Co to, do cholery, ma być? „Va banque”, czy jak?!

Machnęła ręką. Nie miała pojęcia, o czym on mówi.

– Tak tylko pytam.

Westchnął, puścił klamkę i spojrzał na nią.

– Patryk. Mam na imię Patryk.

Uśmiechnęła się do niego i po sekundzie wahania Patryk odwzajemnił uśmiech. Odwrócił się i znowu położył rękę na klamce.

– Siema.

– Cześć, Patryk. Może się jeszcze zobaczymy.

I już go nie było.

TAK, TAK. I rzeczywiście znowu ją zabrali. Zaledwie kilka godzin po jarzynowym incydencie na zwirowanej alejce przed domem zahamował samochód. Minutę później usłyszała dzwonek do drzwi.

Kiedy Beatrice Forsenström otworzyła, Sybilla siedziała na najwyższym stopniu schodów ze spakowaną torbą.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

– Dziękuję, że mogliście tak szybko przyjechać.

Matka przytrzymała drzwi, żeby mogli wejść. Młodszy mężczyzna rozglądał się po okazałym hallu. Zrobił na nim ogromne wrażenie. Pewnie się dziwił, jak ktoś może być psychicznie chory w takim domu.

Matka rozwiała wszelkie wątpliwości.

– Nie potrafię sobie z nią poradzić. Jest niemożliwa.

Drugi mężczyzna poważnie pokiwał głową.

– Czy pani zdaniem znowu stała się psychotyczna?

– Nie wiem. Wysiada jakieś oskarżenia, a przecież nie wolno jej się denerwować...

Matka zakryła oczy dłonią. Sybilla usłyszała, jak otwierają się drzwi do gabinetu, i zanim ojciec pojawił się w polu jej widzenia, na kamiennej posadzce rozległo się człapanie jego kapci. Podszedł do mężczyzn i podał im rękę.

– Henry Forsenström.

– Håkan Holmgren. Przyjechaliśmy po Sybillę.

Ojciec skinął głową.

– Tak – powiedział z westchnieniem. – Tak chyba będzie najlepiej.

Sybilla podniosła się i zaczęła schodzić.

– Jestem już spakowana.

Wszyscy skierowali na nią spojrzenia. Matka przysunęła się do ojca, objął ją opiekuńczym ramieniem. Może się bali, że ich córka dostanie jakiegoś ataku. Kiedy była na dole, mała grupka się rozproszyła, żeby zrobić jej miejsce. Na zewnątrz zatrzymała się na schodach i odwróciła. Żaden z mężczyzn się nie ruszył.

– Czekamy na coś szczególnego?

Håkan Holmgren zrobił krok w jej stronę.

– Nie, już jedziemy. Spakowałaś wszystkie potrzebne rzeczy?

Sybilla nie odpowiedziała. Odwróciła się do nich plecami i podeszła do samochodu, który stał tuż przy schodach. Bez słowa otworzyła drzwi i usiadła na tylnym siedzeniu.

Musiała trochę poczekać. Mężczyźni chcieli usłyszeć najświeższe relacje o stanie jej zdrowia.

Nie spojrzała już na rodziców ani razu.

Mogli sobie stać na swojej pieprzonej kamiennej posadzce i obmawiać ją do woli.

Po paru dniach dostała osobny pokój. Kiedy przekroczyła próg oddziału, jedna z pacjentek od razu się zorientowała, że Sybilla jest niepokalaną dziewicą Marią i że w jej brzuchu rośnie dzieciątko Jezus. Mogła sobie w to wierzyć, jeśli chciała, ale w końcu personel miał dosyć jej wiecznego gadania o wybaczeniu grzechów. Najlepszym rozwiązaniem było zapewnienie Sybilli osobnego pokoju. W głębi duszy była wdzięczna tej chorej kobiecie i z przyjemnością zamknęła za sobą drzwi.

Najbardziej ze wszystkiego pragnęła, żeby wszyscy zostawili ją w spokoju.

Brzuch rósł.

Czasami przychodziła położna i osłuchiwała ją drewnianym lejkiem, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku z tym, co w niej się rozwijało. Widocznie było w porządku, bo nie zaglądała zbyt często. Sybilla dostała do czytania książkę na temat ciąży i porodu. Włożyła ją do szafki nocnej.

Pozwolono jej na samotne spacerunki po terenie przyszpitalnym, bo dla własnego dobra powinna zażywać ruchu. Codziennie spędzała długie godziny na świeżym powietrzu. Jeśli szła wzdłuż ogrodzenia, spacer był całkiem znośny. Białe budynki szpitalne wyglądały bardzo ładnie, w każdym razie z pewnej odległości, a kiedy mrużyła oczy, mogła sobie wyobrazić, że jest w pałacowym parku.

Mężczyzna, który chciał, żeby zaczęła mówić, nie przychodził zbyt często. Miał pewnie bardziej go potrzebujących pacjentów. Ona nie była już wariatką, tylko dziewczyną w ciąży. Nic nie mógł na to poradzić, że w jej rodzinie uważano to z grubsza za to samo.

Tak, oczekiwano od niej, że sama o siebie zadba.

Do pierwszego prawdziwego bólu zostały dwa tygodnie. Bólu równie dotkliwego jak uderzenie młotkiem. Była wtedy sama w pokoju. Przerazona, położyła się na łóżku. Co jej jest? Coś się w niej popsuło.

Potem spomiędzy nóg wypłynęła rzeka. Teraz umrze. Teraz otrzyma karę. Coś się popsuło i wypływa z niej krew.

Kiedy ból jeszcze raz minął, popatrzyła na swoje nogi. Nie było krwi. Może niechący się zsikała?

Przy następnym ataku bólu krzyknęła głośno. Minutę później otworzyły się drzwi i wbiegła salowa. Dotknęła mokrego prześcieradła.

Sybilla zawstydziała się.

– Proszę mi pomóc. Coś we mnie pękło.

Kobieta uśmiechnęła się do niej.

– To nic groźnego. Urodzisz dziecko. Poczekaj, zadzwonię po transport.

I pospiesznie wyszła. Transport? Dokąd ją przetransportują?

– Powodzenia, Sybilla.

Z tymi słowami dźwięczącymi w jej uszach wjechała na noszach do karetki.

Znów była sama w pokoju, w innym szpitalu.

– Czy zadzwonić po twojego chłopaka?

Pokręciła głową. Zapadła pełna wahania cisza.

– Czy chcesz, żebyśmy zadzwonili do kogo innego?

Nie odpowiedziała, zamknęła oczy, żeby zapobiec kolejnej fali bólu, nie miała jednak szans. Nic nie było w stanie powstrzymać straszliwych boleści, które wzięły ją w posiadanie. Teraz była tylko ciałem. Ciałem całkowicie podporządkowanym jakiejś sile drążącej w niej otwór na tyle duży, żeby wydostało się stamtąd to coś, co było w środku. Nie miała tu nic do powiedzenia. Została pozbawiona woli, wydana na pastwę nieokiełznanej siły, która się nie odczepi, dopóki nie dostanie tego, czego chce.

Miała dać życie.

Na przeciwległej ścianie wisiał biały zegar. Jedynym dowodem na istnienie gdzieś jakiegoś świata była przesuwająca się w równych odstępach czasu wskazówka minutowa.

W długich odstępach czasu.

Mijały godziny.

Czasami ktoś do niej zaglądał. Słyszała krzyk kobiety w sąsiednim pokoju.

Czy tak czuła się jej mama, kiedy ją rodziła? Czy to dlatego nigdy jej nie zaakceptowała? Jak w ogóle można żądać miłości, jeśli się zadaje tyle bólu?

Kiedy wskazówka minutowa przeczołgała się cztery razy po tarczy zegara, a ona była niemal nieprzytomna z wysiłku, weszli do pokoju i znowu włożyli w nią palce. Już czas. Otworzyła się na dziesięć centymetrów. Na pewno źle obliczyli. Jej ciało się rozpadło.

Przeniesiono ją na łóżko porodowe i kiedy leżała z szeroko rozłożonymi nogami, pokazując światu otwarte podbrzusze, kazano jej przeć.

Próbowała się dostosować, ale za każdym razem miała wrażenie, że pęknie. Prosiła i błagała, żeby oszczędzili jej bólu, ale oni też byli na służbie tej obcej siły. Nie pozwolą się jej wywinąć.

Nagle powiedzieli, że widać główkę. Teraz nie wolno jej przeć.

Główka. Zobaczyli główkę. Wychodziła z niej główka.

„Jeszcze raz, Sybilla, i będzie po wszystkim”. W pokoju rozległ się krzyk dziecka i minął szarpiący ból. Opuścił ją równie nagle, jak się pojawił.

Odwróciła głowę i w przelocie dostrzegła ciemnowłosą główkę znikającą w objęciach oddalającej się pielęgniarki.

Wskazówka minutowa przesunęła się. Rytmicznie jak zawsze, jakby nic się nie zmieniło.

Właśnie wyszedł z niej człowiek. Człowieczek z małą główką i ciemnymi włoskami. Bez pozwolenia zaczął w niej rosnać i bez pozwolenia ją rozsadził, żeby się wydostać.

Z głową na oparciu i ciągle z rozłożonymi nogami patrzyła na przesuwającą się wskazówkę minutową.

I zastanawiała się, dlaczego nikt nigdy nie zapytał jej o zgodę.

PŁYNEŁY DNI I NOCE na zimnym strychu. Duże wskazówki przesuwały się na białej tarczy. Obrót za obrotem.

Znalazła pomieszczenie z prysznicem, gdzie nie był potrzebny klucz, i zakradała się

tam każdej nocy. Długo stała pod ciepłym strumieniem. Woda pomału ją ożywiała, nic jednak nie mogła poradzić na jej przygnębienie.

Instynkt podpowiadał jej, że powinna się spakować i zniknąć, gdy tylko odszedł niespodziewany gość.

Ale dokąd miałyby pójść?

Bezradność i wyczerpanie sprawiły, że została. Straciła ochotę do wszystkiego. Niech się dzieje, co chce.

Na wszelki wypadek, taki dodatkowy środek ostrożności, przeniosła swoje rzeczy za przewód kominowy. Miała wprowadzić dalej do wyjścia, ale przynajmniej nikt jej teraz nie zaskoczy.

Wrócił trzeciego dnia. Usłyszała trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Leżała nieruchomo i nasłuchiwała.

– Sylla?

To Patryk. Nieco się rozluźniła. Nie widziała jednak drzwi, nie miała więc pojęcia, czy jest sam.

– Sylla, to ja, Kiks... Patryk. Jesteś tu?

Wyjrzała zza filara. Rozpromienił się na jej widok. Był sam.

– Cholera. Bałem się, że się wyniosłaś.

Wstała z westchnieniem.

– Myślałam o tym, ale nie ma zbyt wielu wolnych miejsc do spania.

Dopiero teraz zauważyła, że ma pod pachą matę, a na ramieniu wyładowany plecak.

– Dokąd się wybierasz?

– Dotąd.

– Tutaj?

– Tak. Chciałbym się tu dzisiaj przekimać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Z rezygnacją pokręciła głową.

– Po co?

– Mocna rzecz. Chciałbym zobaczyć, jak to jest.

Westchnęła i rozejrzała się.

– To nie jest zabawa, Patryk. Nie śpię tu dla przyjemności.

– No to po co to robisz?

Poczuła ukłucie irytacji.

– Bo tak się składa, że nie mam się gdzie podziac.

Zsunął plecak na podłogę. Uznał, że trzeba ją jakoś przekonać, i w sekundę później trzymał w ręku coś z grilla.

– Żeberka. Lubisz?

Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Pomyślał nawet o tym, jak ją przekupić. Powtórzył pytanie, przekrzywiając głowę.

– Mogę się tu chyba dzisiaj przespać?

Rozłożyła rękę.

– Przecież ci w tym nie przeszkodzę. Ale co na to powiedzą twoi rodzice?

– E tam.

Nagle się zaniepokoiła. Chyba im nie powiedział o swoich planach?

– Wiedzą, że tu jesteś?

Jego spojrzenie mówiło: „Odwaliło ci, czy jak?”.

– Stary całymi nocami jeździ taryfą, a stara jest na jakimś kursie.

– Czy ktoś wie, że tu jesteś?

Westchnął.

– Aleś ty nerwowa. Nie, nikt nie wie.

Też byłbyś nerwowy, gdybyś wiedział, że spędzisz noc na strychu z poszukiwanym mordercą.

– Okej. Zapraszam.

Nie trzeba mu było powtarzać dwa razy. Natychmiast się rozejrzał, szukając odpowiedniego miejsca do spania, i szybko się zdecydował na podest pod zegarem. Przyglądała mu się, jak gorączkowo się rozpakowuje i przygotowuje legowisko. Przesunęła matę na drugą stronę przewodu kominowego, żeby mogli się widzieć. Kiedy skończył, z entuzjazmem popatrzył na rezultat, usiadł i spojrzał na nią pełen nadziei.

– Jesteś głodna?

Czemu nie. Biała fasolka już jej nie smakowała.

– Jeśli wystarczy dla ciebie.

Rozerwał torebkę z żeberkami i położył przed sobą na podłodze. Potem wyczarował sałatkę ziemniaczaną, paczkę chipsów i dwie puszkę coli.

– Proszę.

Co za ucztą! Usiadła obok niego. Był chyba tak samo głodny jak ona. Jedli w milczeniu. Ogryzali żeberka do czysta i kładli obok tych jeszcze nietkniętych. Kiedy kupki



były mniej więcej równe, poczuła błogą sytość w żołądku. Aż się musiała odchylić do tyłu.

– Już się najadłaś?! – wykrzyknął ze zdumieniem. – A ja celowo kupiłem więcej.

– Tak, widzę. Możemy je zostawić na jutro.

Popatrzył na jej brzuch.

– Może ci się skurczył żołądek – powiedział z pełnymi ustami. – Jak się mało je, to się kurczy.

Tak. Możliwe. Jego żołądka najwyraźniej to nie dotyczyło, bo zabrał się do następnego żeberka. Olej rozmazał się po policzkach.

– Cholera, ale się upaakałem. Gdzie można się umyć?

Wzruszyła ramionami.

– Między innymi do czegoś takiego trzeba się przyzwyczaić, kiedy nie ma się domu. Bieżąca woda to luksus.

Patrzył na swoje lepkie dłonie, potem spojrzał na jej. Wyciągnęła je do niego, żeby lepiej widział. Dotykała żeberka tylko palcem wskazującym i kciukiem. Szybko oblizał palce i wytarł je o spodnie.

Rozejrzał się.

– Aha. I co teraz?

– Co masz na myśli?

– No chyba nie będziemy tak siedzieć? Co ty przeważnie robisz?

Młody człowiek w niemal dorosłym ciele o niczym nie miał pojęcia.

– A ty co robisz, kiedy nie bawisz się w bezdomnego i nie sypiasz na strychu?

– Najczęściej siedzę przy komputerze.

Pokiwała głową i napiła się coli.

– To byłoby dosyć trudne, gdybyś nie miał gdzie mieszkać.

Zarechotał.

– To może mimo wszystko lepiej postawić na robotę w telewizorze.

Położyła się na macie i przykryła śpiworem. Dłonie wsunęła pod pachy, żeby je ogrzać. Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

Już był znudzony. Wyraźnie to widziała. Z braku czegoś lepszego zaczął sprzątać po posiłku.

Zegar za jego plecami wskazywał dziesięć po szóstej.

Kiedy uprzątnął resztki jedzenia, poszedł za jej przykładem. Wyjął z plecaka śpiwór. Był marnej jakości, wiedziała, że w nocy będzie marzł. To dobrze. Może zostawi ją w spokoju. Leżał z rękami pod głową i wpatrywał się w sufit.

– Dlaczego jesteś bezdomna? Czy nigdy nigdzie nie mieszkałaś?

Westchnęła.

– Mieszkałam.

– Gdzie?

– W Smalandii.

– Dlaczego się stamtąd wyprowadziłaś?

– To długa historia.

Odwrócił głowę i popatrzył na nią.

– Ale ja chętnie posłucham. Czas nas nie goni.

POTEM POMOGLI JEJ wejść pod prysznic i zawieźli na oddział położniczy. Jedno łóżko w pokoju było puste, na pozostałych czterech leżały z noworodkami świeżo upieczone mamy. Przyjaźnie się z nią przywitały, kiedy wjechała na wózku. Jej łóżko stało tuż przy oknie. Leżąc na boku, nie musiała ich oglądać, nie mogła jednak wyłączyć dźwięków.

W oknie wisiały zasłonki w niebieskie pasy, u dołu odpruła się frędzla.

Żadna o nic ją nie spytała. Wszystkie były pochłonięte własnymi sprawami. Nowo narodzonymi dziećmi.

Brzuch ciągle miała duży. Ale teraz już pusty. Wyraźnie to czuła. Bardzo chciała się na nim położyć, ale nadal nie było to możliwe. Poza tym pobolevały ją piersi.

Po jakiejś godzinie przyszli po nią. Pomogli jej usiąść i wstać. Chodzenie sprawiało jej ból. Szwy, które jej założyli, ciągnęły i piekły.

Miała porozmawiać z lekarzem. Zaproponował jej, żeby usiadła na krześle. Woląca stać. Skinął głową i zaczął przeglądać jakieś papiery w brązowym skoroszytcie.

– Tak. Wszystko dobrze poszło.

Patrzyła na niego.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, spojrział na nią i znów wertował skoroszyt.

– Jak się czujesz?

Pusta. Wydrążona. Zużyta. Porzucona.

– Co to było?

Podniósł wzrok.

– Słucham?

– Jaka płeć?

Był wyraźnie zakłopotany. To on tu zadawał pytania.

– Chłopiec.

Czytał dalej.

Chłopiec. Urodziła chłopczyka z ciemnymi włosami.

– Mogę go zobaczyć?

Odchrząknął. Rozmowa przybrała inny obrót, niż zakładał.

– Nie. Mamy swoje rutyny. W takich sytuacjach to niewskazane. Przede wszystkim dla twojego dobra.

Dla jej dobra.

Dlaczego nikt nigdy jej nie spyta, co dla niej samej najlepsze. Jak to możliwe, żeby wszyscy inni wiedzieli lepiej?

Czym prędzej zakończył rozmowę. Kiedy otworzyła drzwi do pokoju, mamy uśmiechnęły się do niej. Ledwie pielęgniarka pomogła się jej położyć, odwróciła się do nich plecami.

Po południu, w porze odwiedzin, zaroilo się od tatusiów i rodzeństwa, którzy przyszli podziwiać nowych członków rodziny. Zdawali się nie zauważać jej pleców.

Zapadła noc. Spała tylko mama na sąsiednim łóżku, inne czuwały. Słyszała, jak ze sobą rozmawiają. „Mój jeszcze się nie wypróżnił, to dlatego tak krzyczy.”, „Ona ssie tylko jedną pierś, nie wiem, dlaczego.”, „Proszę spojrzeć, jaki on milutki.”

Ostrożnie się podniosła. Zabolało tylko raz, kiedy stawiała stopy na podłodze.

Na korytarzu nie było nikogo. Minęła przeszkloną dyżurkę pielęgniarek. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Dalej była sala noworodków. Powoli otworzyła drzwi. Pusto. Tylko pośrodku stał taki sam plastikowy wózek, jaki miały mamy w pokoju.

Serce biło mocno. Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

Mała główka. Główka z ciemnymi włoskami. Czuła, że drży. Odczytała numer osobowy wpisany nad główką dziecka. To było jej dziecko.

Jej syn.

Zasłoniła usta dłońmi, żeby zdławić głośny jęk.

Chłopczyk rósł w niej, był częścią niej. A teraz leży tutaj całkiem sam.

Sam, opuszczony.

Był taki malutki. Leżał na boku i spał. Jego główka zmieściłaby się w jej dłoni.

Delikatnie przesunęła palcem po ciemnych włoskach. Drgnął i wciągnął powietrze, nierówno, jakby płakał. Pochyliła się i dotknęła nosem jego ucha.

Nagle ją to dopadło. Za nic nie wolno im tego robić. To jest jej dziecko i nie da go sobie odebrać. Chyba że ją zabiją. Wiedziała, że cokolwiek się stanie, nigdy go nie zawiedzie. Nigdy go już nie odda i nie pozwoli, żeby leżał sam w plastikowym wózku i z płaczem zasypiał.

To postanowienie dodało jej odwagi, ostrożnie wsunęła ręce pod jego drobne ciało i podniosła. Blisko, trzymała go blisko siebie i całą sobą wiedziała, że tak być powinno.

Ciągle spał, chłonęła jego zapach, czuła płynące po policzkach łzy.

Trzyma swoje dziecko w ramionach.

Nie jest już sama.

Drzwi się otworzyły.

– Co robisz?

Nie ruszyła się z miejsca.

Podeszła do niej pielęgniarka, ta, która pomogła jej dojść do gabinetu lekarza.

– Sybilla, połóż dziecko. Chodź, pójdziemy do twojego pokoju.

– To jest mój syn.

Pielęgniarka zawahała się. Wyciągnęła ręce, żeby wziąć od niej dziecko. Sybilla odwróciła się plecami.

– Nie oddam go.

Poczuła na ramieniu dłoń pielęgniarki. Szarpnęła się, żeby ją zrzucić, i wtedy dziecko obudziło się, i zakwiliło. Uspokajająco pogłaskała je po główce.

– Już dobrze, malutki. Mama jest przy tobie.

Pielęgniarka wyszła z sali. Sybilla włożyła mu dłoń pod główkę i odsunęła od siebie.

Otworzył oczy. Malutkie granatowe oczy, które szukały jakiegoś stałego punktu.

Po chwili weszły cztery osoby. Trzy kobiety i mężczyzna.

– Połóż dziecko – powiedział mężczyzna podniesionym głosem.

– To moje dziecko.

Zawahał się. Po chwili podsunął jej krzesło.

– Usiądź.

– Dziękuję, postoję. Nie mogę siedzieć.

Podeszła do niej pielęgniarka.

– Nic tym nie wskórasz, Sybilla. Przeciwnie.

– To znaczy?

Patrzyli na siebie. Jedna osoba wyszła.

– Przecież wiesz, że zgodnie z umową dziecko jest oddane do adopcji. Będzie mu

bardzo dobrze. Nie musisz się martwić.

– Ja się z nikim nie umawiałam. Chcę go zatrzymać.

– Przykro mi, rozumiem, że to trudne, ale nic na to nie możemy poradzić.

Znalazła się w sytuacji bez wyjścia. W potrzasku. Było ich troje, czwarta osoba na pewno zaraz wróci. Może przyprowadzi więcej wrogów. Wszyscy byli przeciwko niej. Wszyscy grali w innej drużynie. Wszyscy z wyjątkiem dziecka, które tuliła do piersi.

Oni kontra świat. Nigdy go nie odda.

– Są dwa wyjścia – powiedział mężczyzna i odsunął krzesło. – Albo go położysz dobrowolnie, albo cię do tego zmusimy.

Serce kołatało.

Znowu go jej zabiorą.

– Proszę. Jestem przecież jego mamą. Wiecie o tym. Nie możecie mi go zabrać. On jest wszystkim, co mam.

Rozplakała się. Drżała na całym ciele, czuła zawroty głowy. Zamknęła oczy.

Oby tylko znowu nie zachorować. Oby nie zachorować.

Kiedy otworzyła oczy, było już za późno.

Mężczyzna szedł z jej synkiem do drzwi. Chciała za nimi pobiec, ale chwyciły ją za ramiona dwie pielęgniarki. Słyszała krzyk swojego dziecka na korytarzu.

Nigdy go już nie zobaczy.

– JASNA CHOLERA! Wolno im było coś takiego zrobić?

Milczała. Zastanawiała się, dlaczego o tym mówi. Do tej pory nikomu o tym nie opowiadała. Ta strata ciągle w niej była, doskwierała i raniła, jak kawałek szkła, który się bez przerwy przemieszcza, żeby rana nie mogła się zabiżnić. Nigdy przedtem nie wyrażała swojego smutku słowami.

Może stało się tak dlatego, że Patryk był mniej więcej w wieku jej syna. A może dlatego, że wszystko było takie, jakie było.

Beznadziejne.

I już nie do ukrycia.

– No i? I co dalej?

Przełknęła ślinę. Od dawna próbowała o tym zapomnieć.

– Zamknęli mnie. Przez blisko pół roku leżałam w szpitalu psychiatrycznym. Dłużej tego nie wytrzymałam i prysnęłam.

– Jak to...? Byłaś psychiczna?

Nie miała siły odpowiedzieć. Na moment zaległa cisza.

– Jak to, prysnęłaś? Dałaś nogę?

– Tak. Chociaż nie wydaje mi się, żeby mnie szukali. Nie byłam dla nikogo zagrożeniem.

Co innego teraz.

– A twoi starzy? Co oni na to?

– Powiedzieli tylko tyle, że nie mogę już z nimi mieszkać. Że jestem pełnoletnia i sama sobie muszę radzić.

– Cholera. Ale świnię.

Owszem.

– I co zrobiłaś?

Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

– Czy zawsze jesteś taki wścibski?

– Nigdy dotąd nie rozmawiałem z bezdomnymi.

Westchnęła i znów wpatrywała się w sufit. Słuchaj i ucz się.

– Najpierw wylądowałam w Växjö. Strasznie się bałam, że ktoś mnie znajdzie i odeśle do szpitala. Włóczyłam się przez parę miesięcy, to tu, to tam, spałam w piwnicach i jadłam, co popadło.

– Ile miałaś wtedy lat?

– Osiemnaście.

– Trzy lata więcej niż mnie.

– Niż ja.

Spojrzał na nią.

– Co?

– Mówi się „więcej niż ja”.

Prychnął.

– Co jest? Byłaś prymuską, czy jak? A może nawet gospodarzem klasy, co?

Uśmiechnęła się w ciemnościach. Nie. Nie była. Nigdy jej nie wybrali.

– Nie, ale byłam dobra ze szwedzkiego.

– Dlaczego nie znalazłaś sobie jakiejś pracy?

– Bo nie miałam odwagi powiedzieć, jak się nazywam. Ktoś mógłby mnie rozpoznać.

Cały czas myślałam, że jestem poszukiwana.

Te słowa natychmiast przeniosły ją do teraźniejszości. Co ona właściwie wyprawia? Najwyższy czas zakończyć tę rozmowę.

– Dobranoc.

Uniósł się na łokciu.

– Nie! – jęknął, zawiedziony. – Nie możesz teraz skończyć! Ułożyła się do snu, twarzą do filaru.

– Dochodzi jedenasta i jestem zmęczona. Dobranoc.

– A skąd się wzięłaś w Sztokholmie? Nie mogłabyś przynajmniej tego powiedzieć?

Odwróciła się z westchnieniem. Lampy podświetlające tarczę zegara rzucały białe światło, ale w zakamarkach panowały smoliste ciemności.

– Mogę powiedzieć tak: na twoim miejscu wybrałabym pracę w telewizji. Gdybym ci opowiedziała o wszystkim, co widziałam i co mi się przez te lata przytrafiło, nie mógłbyś zasnąć.

Umilkła, szukała słów. Jak dużo może ujawnić?

Usiadła.

– Sześć lat mam wyjętych z życiorysu. Nie bardzo pamiętam, co robiłam. Ani z kim się spotykałam. I gdzie spałam. Piłam na umór, żeby nie myśleć, bo gdybym myślała, zginęłabym. Wystarczy pożyć przez jakiś czas na ulicy i cześć, klamka zapadła. Nie ma drogi powrotnej, bo traci się zdolności adaptacyjne. Człowiek nie chce się przystosować. I koło się zamyka. Posłuchaj rady kogoś, kto coś o tym wie. Rób, co ci się podoba, tylko nie opowiadaj bzdur, że chciałbyś być bezdomny. Bo nie masz bladego pojęcia, co to takiego. Dobranoc.

Położyła się. Jej swada odjęła Patrykowi mowę. Zastanawiała się, czy rzeczywiście zostanie do rana. Może się obraził?

Milczeli. Słyszała, jak się przewraca, jakby szukał znośnej pozycji na cienkiej macie, i po chwili na strychu zapadła cisza.

Nie mogła się uspokoić. Pod powiekami, jak błyskawice, pojawiały się wspomnienia. Jego pytania obudziły uczucia, które starannie wyparła, żeby nie myśleć.

Pojechała stopem do Sztokholmu, mając nadzieję, że będzie mogła się tam utrzymać. Zniknęła w tłumie. A potem stopniowo, lecz nieuchronnie doszła do wniosku, że niełatwo się sensownie urządzać bez pieniędzy i kontaktów, a zwłaszcza bez nazwiska. Bardzo się bała, że ktoś ją znajdzie i zmusi do powrotu do szpitala. Jakby ktokolwiek przejął się tym, że zniknęła! Nie miała odwagi ujawniać swojego numeru osobowego. I tym sposobem odpadł pośredniak. Kilka razy pracowała na czarno jako pomywaczka, ale jak tylko zaczęli jej zadawać za dużo pytań, odchodziła. Obracała się w takich kręgach, w których wszyscy posługiwali się ksywkami i nikt nie zadawał pytań, no, może z wyjątkiem jednego: „Czy masz jakiś płyn?”.

I wreszcie druzgocące upokorzenie, kiedy głodna i wyczerpana przełknęła dumę i zadzwoniła do domu. Błagała o wybaczenie, chciała wrócić.

– Wyślemy pieniądze. Na jaki adres?

Na myśl o tym poczuła ucisk w żołądku. Miliony razy tego żałowała. Było to dużo bardziej nieznośne niż wszystko inne, przez co przeszła. Rozmawiając z matką po raz ostatni, znowu prosiła o wybaczenie.

Ale zaczęły przychodzić pieniądze. Pomogły jej uzyskać pewien status w środowisku, dzięki nim i dialektowi stała się Królową Smalandii.

A potem były stracone lata. Całą energię zużywała na podtrzymywanie stanu upojenia, żeby nic innego się nie liczyło. Dopóki mózg był wyłączony, mogła znieść wszystko. W tym kompletnym zatraceniu istniało jednak coś w rodzaju poczucia bezpieczeństwa. Wszystko było dozwolone, nikt niczego nie kwestionował. Stopniowo pogodziła się z pogardliwymi spojrzeniami, jakimi ją obrzucali tak zwani normalni przechodnie. Były jak kwit, poświadczający jej obcość. I przynależność do innych.

Minęło sześć lat. Sześć lat poza czasem.

A potem przyszło przebudzenie. Któregoś dnia, kiedy skacowana i zarzygana ocknęła się we własnych odchodach pod ławką koło stacji metra Slussen, zobaczyła gromadkę przedszkolaków. Wpatrywały się w nią, zdumione.

– Proszę pani, czemu ta pani tu leży?

– Dlaczego tak śmierdzi?

Dziecięce oczy po raz pierwszy patrzyły na ciemną stronę życia, dopóki nie zareagowała przedszkolanka, dziewczyna w jej wieku.

– Nie patrzcie!

I nagle poraziła ją myśl, że jej syn mógłby być jednym z nich.

Że stała się żywym dowodem na to, że decyzja matki była słuszna.

Odwróciła się i spojrzała na swojego lokatora. W końcu udało mu się zasnąć. Wysunęła się ze śpiwora, podeszła do niego i przykryła swoją kurtką. Spał na plecach, rękę położył na piersi, żeby się choć trochę ogrzać.

Taki młody.

Wszystko przed nim.

Jej syn jest niemal w tym samym wieku.

Wśliznęła się do śpiwora.

Nie może zostać dłużej na strychu. Po kilku dniach oszaleje. Myśląc o tym,



uświadomiła sobie, że tego wieczoru coś się z nią stało. Coś dobrego. Odwróciła głowę i popatrzyła na nocnego gościa. Coś jej ofiarował. Nie tylko żeberka i colę, coś ważniejszego. Jakiś rodzaj czci i szacunku. Dla niej, jako człowieka. Z jakiegoś niewiadomego powodu właśnie on pojawił się na strychu. Jego nieklamany podziw w niewytłumaczalny sposób obudził w niej energię, którą – jak sądziła – kilka dni temu utraciła bezpowrotnie.

Chęć do działania, mimo wszystko.

Najgorsze ciemności się rozproszyły, znów była gotowa do walki.

Ha. I tym razem jej nie zniszczą.

Zastanawiała się, czy ciągle jej szukają.

Jutro musi zajrzeć do gazety.

*I widziałem nowe niebo i nową ziemię; albowiem pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły, i morza już nie ma.*

*I widziałem miasto święte, nowe Jeruzalem, zstępujące z nieba od Boga, przygotowane jak przyozdobiona oblubienica dla męża swego.*

*I usłyszałem donośny głos z tronu mówiący: Oto przybytek Boga między ludźmi! I będzie mieszkał z nimi, a oni będą ludem jego, a sam Bóg będzie z nimi.*

*I otrze wszelką łzę z oczu ich, i śmierci już nie będzie; ani smutku, ani krzyku, ani mozołu już nie będzie; albowiem pierwsze rzeczy przeminęły.*

*I rzekł Ten, który siedział na tronie: Oto wszystko nowym czynię. I mówi: Napisz to, gdyż słowa te są pewne i prawdziwe.*

*I rzekł do mnie: Stało się. Jam jest alfa i omega, początek i koniec. Ja pragnącemu dam darmo ze źródła wody żywota.*

*Zwycięzca odziedziczy to wszystko, i będę mu Bogiem, a on będzie mi synem.*

*Udziałem zaś bojaźliwych i niewierzących, i skalanych, i zabójców, i wszeteczników, i czarowników, i bałwochwalców, i wszystkich kłamców będzie jezioro płonące ogniem i siarką. To jest śmierć druga.*

*Panie, spełniłem swoją powinność.*

*Teraz mogę tylko czekać.*

NIE SPAŁA OD WIELU GODZIN, kiedy się wreszcie obudził. Patrzyła na niego ukradkiem. Chyba marzył, bo ocknął się w nocy i włożył jej kurtkę.

Patrząc na niego, podjęła decyzję. Nad ranem doszła do wniosku, że musi mu o wszystkim powiedzieć. To jej jedyna szansa.

Potrzebuje jego pomocy.

Długo układała słowa w myślach, szukała najdelikatniejszych sformułowań.

Obudził się i sięgnął po okulary. Mając je na nosie, usiadł i spojrzał w jej stronę. Podciągnął śpiwór.

– Cholera, ale ziąb! Dzięki za kurtkę. Chcesz ją?

– Na razie zatrzymaj. Mój śpiwór jest cieplejszy.

Na zegarze za jego plecami było dziesięć po dziewiątej.

– O której masz lekcje?

– Czołem, szare komórki! Dzisiaj sobota.

Uśmiechnęła się. „Czołem, szare komórki!”. Tego nie знаła.

Wysunął rękę ze śpiwora i capnął torebkę z zeberkami. Położył ją na kolanach.

– Uch. Żeberka na śniadanie.

– Mam chrupki chleb, jeśli chcesz. I jogurt.

To już lepiej. Zrzucił zeberka na podłogę i wstał razem ze śpiworem. Skacząc, ruszył w jej stronę.

– Przestań. Podłoga może runąć.

– E tam.

Z hukiem siadł obok niej. Pokręciła głową. Zarechotał.

Był bardzo głodny. Kiedy włożył do ust siódmą kromkę, schowała chleb.

– Jutro też jest dzień.

– Co tam, kupimy następny.

Spojrzała na niego. Zrobił taką minę, jakby się zorientował, że palnął głupstwo.

– Ja kupię. Mogę ci dać pieniądze.

– Dziękuję, nie skorzystam.

Nadeszła odpowiednia chwila. Ale jak zacząć? Wzięła głęboki oddech, żeby dodać sobie odwagi.

– Czytasz gazety?

Wzruszył ramionami.

– Czasem. Matka chce, żebym czytał „Dagens Nyheter”, ale to takie cholernie grube.

Zajmuje mnóstwo czasu. Przeglądam „Expressen”.

Popatrzył na nią.

– A ty?

– Tak. Jeśli jakąś znajdę. Czasami idę do Kulturhuset. Mają tam wszystkie gazety.

Zauważyła, że nie wiedział o tym, ale pokiwał głową.

– Czytałeś wczorajszą gazetę? – spytała.

Pokręcił głową.

– A, tak. Dodatek piątkowy.

Nie wiedziała, co dalej. Czy rzeczywiście powinna? Dopóki spał, miała więcej pewności.

– Czy kiedykolwiek oskarżyli cię o coś, czego nie zrobiłeś?

– Owszem. Mówiłaś coś o jogurcie, prawda?

Westchnęła i podała mu.

– Mogę pić z kartonu?

– Tak. Chyba że masz talerz.

Wyszczерzył się w uśmiechu.

Znów wzięła głęboki oddech. Wstęp był najtrudniejszy.

– Bo mnie oskarżyli.

Skupił się na jogurcie. Był gęsty. Uderzył dłonią w dno.

– Czy mówi ci coś imię Sybilla?

Skinął głową i pił jogurt.

– Tylko się nie przestrasz, Patryk. – Po raz ostatni się zawahała. – Sybilla to ja.

Najpierw żadnej reakcji. Ale po chwili zobaczyła, jak się zmienia na twarzy. Zesztywniał, powoli odsunął jogurt od ust, odwrócił głowę i popatrzył na nią. Bał się.

– Ja tego nie zrobiłam. Kiedy to się stało, przypadkiem byłam w „Grand Hotelu”. Przysięgam na Boga, że jestem niewinna.

Nie wydawał się przekonany. Przez kilka sekund patrzył gdzie indziej, jakby szukał drogi ucieczki. Musi zyskać na czasie. Było całkiem inaczej, niż myślała. Słowa przyszły same, wszystko, co sobie wcześniej przygotowała, odpłynęło.

– Chyba rozumiesz, że nie mogę być mordercą. Bo przecież teraz byś tu nie siedział. Miałam na to całą noc.

Źle wybrała słowa. Bardzo źle. Jednym ruchem próbował wstać i odejść, ale przeszkodził mu śpiwór.

Nie mógł odejść. Jeszcze nie.

W sekundę znalazła się na nim. Położyła go na macie i przycisnęła ramiona kolanami. Oddychał gwałtownie. Za chwilę się rozplacze.

Jasna cholera.

– Proszę, nie rób mi nic złego.

Zamknęła oczy. Co ona wyprawia?

– Chyba rozumiesz, że nic ci nie zrobię, ale musisz mnie wysłuchać. Siedzę na tym pieprzonym strychu, bo szukają mnie wszyscy gliniarze. Uznali, że to ja. Jestem bez szans. Powiedziałam ci wczoraj, że tacy jak ja nie mają żadnych praw. Mówię ci o tym, bo myślałam, że mogę ci ufać. Że przynajmniej ty jeden mi uwierzysz. Mówię ci o tym, bo potrzebuję twojej pomocy. Nie mam nawet odwagi pójść do sklepu.

Spojrzał na nią. Rozszerzone, przerażone oczy.

Westchnęła.

– A niech to szlag. Przepraszam.

A gdyby ktoś ją teraz zobaczył? Siedzi okrakiem na bezbronnym piętnastolatku. Wstała.

– Idź.

Leżał bez ruchu. Jakby się bał oddychać.

– Spadaj!

Drgnął, kiedy podniosła głos. Wysunął się ze śpiwora, wstał i wolno ruszył do drzwi. Jakby się bał, że znów się na niego rzuci.

– Potrzebna mi kurtka.

Natychmiast się zatrzymał i zsunął kurtkę na podłogę, tam gdzie stał. I pędem pobiegł do drzwi. Słyszała jego szybkie kroki na korytarzu.

Zamknęła oczy i osunęła się na matę.

Musi się stąd wynosić.

Najpierw spakowała jego rzeczy. Starannie włożyła je do plecaka i zwinęła matę.

Potem zajęła się swoimi. Po kilku minutach była gotowa.

Przy drzwiach odwróciła się i popatrzyła na zegar.

Cześć.

Korytarz. Schody.

Położyła rękę na klamce. Wahala się. Już samo otwarcie drzwi dzielących ją od tego, co na zewnątrz, przyprawiało o mdłości. Zniszczy ją ten odwieczny lęk.

Wybrała wyjście na dziedziniec. Na ulicę nie miałaby odwagi. Drzwi zatrzasnęły się za nią. Nie ma już odwrotu.

Ruszyła w kierunku Vitabergsparken. Co dalej? Kiedy była pośrodku dziedzińca, usłyszała wołanie. Zatrzymała się, przerażona, i rozglądała za jakąś kryjówką.

– Sylla! Poczekaj!

Teraz go zobaczyła. Wyłonił się zza rogu Bondegatan. Patrzyła w asfalt i czekała. Podeszedł do niej. Milczał. Zaczęła iść.

– Przepraszam, że ci nie uwierzyłem, ale miałem cholernego pietra.

Odwróciła się. W jego oczach pojawiło się coś nowego. Powaga, której tam przedtem nie było. Był zadyszany, patrzył pod nogi, jakby się wstydził swojego strachu.

– W porządku.

– Wiem, że mówisz prawdę.

Nie zatrzymała się. Nie miała siły zaczynać wszystkiego od nowa.

– Sylla, widziałem nagłówki koło Konsumu.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Chwilę się wahał, teraz on szukał odpowiednich słów.

– Myślą, że tej nocy zamordowałaś jeszcze jedną osobę.

– JESTEŚ PEWIEN, że on śpi?

– Tak – odpowiedział zniecierpliwiony. – Pracował całą noc. Nie budzi się przed pierwszą.

Mimo to czuła się nieswojo. Co by się stało, gdyby jego ojciec się obudził i zobaczył w pokoju syna dorosłą kobietę, która mogłaby być jego matką?

Stali na klatce w bloku Patryka. Już włożył klucz do zamka. Rozmawiali szeptem.

– Jesteś pewien, że mama nie wróci?

– Będzie dopiero jutro wieczorem.

Jednak nie była przekonana. Czy na pewno robi słusznie, wciągając go w to wszystko?

Kiedy jej powiedział na dziedzińcu o nowych nagłówkach, usiadła na najbliższej ławce. Wpatrywała się w opustoszały dziedziniec i czuła, że jeszcze raz została okradziona z odwagi.

Przyszedł za nią. Niewiele mówił, pozwolił jej posiedzieć w spokoju. Popatrzyła na duży zegar na fasadzie i pożałowała, że nie poszła za głosem instynktu. Powinna była zostać na strychu.

– Powiem policji, że tej nocy byłeś ze mną.

Popatrzył na nią z nadzieją. Pewnie chciał ją pocieszyć.

Parsknęła. Zabrzmiało to złośliwiej, niż chciała. Próbowwała się do niego uśmiechnąć.

– Żebym była podejrzana o porwanie dziecka.

– Tak się składa, że skończyłem piętnaście lat – zauważył cierpko.

I co się na to odpowiada?

– Nie mam szans, Patryk. Równie dobrze mogę tam pójść i się przyznać, żeby się to wreszcie skończyło.

Wpatrywał się w nią.

– Zwariowałaś? – Był autentycznie oburzony. – Nie będziesz się przecież przyznawać do czegoś, czego nie zrobiłaś!

– To co mam robić?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Możesz po prostu z nimi porozmawiać.

– Na jedno wychodzi.

– Wcale nie.

Spojrzała na niego.

– Nie rozumiesz? Wszyscy już postanowili, że to ja jestem mordercą. Nie mam szans.

– Pochyliła się i oparła głowę na dłoniach. – Chodzi tylko o to, że ja nie wytrzymuję zamknięcia – dodała ciszej.

– Nikt cię nie zamknie, jeśli powiesz, co i jak.

Ale tym razem nie był już taki pewny.

Opowiedziała mu o Jörgenie Grundbergu. O odciskach palców na jego kluczu, o peruce i nożu, które zostawiła. O wszystkim innym, co w połączeniu z jej trybem życia czyniło z niej doskonałego sprawcę. Była pacjentka szpitala psychiatrycznego, bezdomna, bez zaplecza socjalnego. Pasowała tak idealnie, że już widziała, jak policja zaciera ręce. Oczywiście, że to ona. Nawet jeśli w końcu uznają, że jest niewinna, to do tego czasu będzie siedziała pod kluczem. Co doprowadzi ją do obłądu. Kiedyś była zamknięta, więc wie, co

mówi.

– Poza tym morderca wyraźnie mnie wrabia. W Västerviku zostawił list, który podpisał moim imieniem.

Wolno pokiwał głową.

– W Bollnäsie też.

Spojrzała na niego.

– Czy to tam zaatakował ostatniej nocy?

– Nie. To chyba było przedwczoraj. A gdzie ostatniej nocy, tego nie wiem.

Odchyliła się do tyłu i oparła głowę o plecak. Przedwczoraj. A więc znowu się to stało, kiedy siedziała na strychu. Teraz była podejrzana o cztery morderstwa.

Popatrzył na nią.

– Oj. Nie wiedziałaś o tym?

Westchnęła.

– Nie.

Przez chwilę milczeli. Może uświadomił sobie, że to nie takie proste.

– Już wiem – powiedział. – Pójdziemy do mnie i przejrzymy wszystko, co o tym napisali w gazetach.

– Jak to, do ciebie?

– Sprawdzimy w Internecie.

Czytała o tym. Internet. Nowy wspaniały świat, którego nie zna. Miała wątpliwości. I co do tego świata, i co do wizyty w mieszkaniu uczynnego piętnastolatka.

– A co to da?

– Może znajdziemy jakiś dowód, że to nie ty. Czytałaś wszystko, co pisali na ten temat?

– Nie.

Wstał.

– No to chodźmy.

Wahała się przez chwilę.

Ale jakie ma wyjście?

Weszli do przedpokoju. Czują się jak włamywacz, mocno biło jej serce.

– Chodź – szepnął.

Na wprost były zamknięte drzwi z metalową tabliczką: „Wejście na własne ryzyko”.  
Szczera prawda.



Minęła otwarte drzwi do przestronnego salonu i jeszcze jedno, zamknięte. Patryk położył palec na ustach. Aha, tam śpi ojciec.

Chciała się wycofać. To nie było w porządku. Ale Patryk już otworzył drzwi do swojego pokoju i dawał jej znaki, żeby weszła.

Pokój wyglądał jak po przejściu huraganu. Na podłodze poniewierały się ubrania, komiksy, okładki kaset i książki.

Zdjęła plecak i położyła na tym bajzlu. Popatrzyła na niego.

– Obiecałem starej, że posprzątam, ale zapomniałem.

– Widzę.

Nadal mówili szeptem.

Podszedł do komputera stojącego na biurku i nacisnął jakiś klawisz. Rozległa się melodyjka. Poprosiła go, żeby ją przyciszył. Komputer zaczął pracować.

Rozejrzała się. Prócz biurka z komputerem i innym sprzętem w pokoju było łóżko i półka z książkami. Łóżko było nieposłane i kiedy na nie spojrzała, czym prędzej przykrył je narzutą. Pokój od razu wydał się schludniejszy.

Na monitorze pojawiało się coraz więcej symboli. Patryk odsunął krzesło i usiadł.

Na parapecie stało akwarium bez wody. Podeszła bliżej.

– To Batman. Grecki zółw lądowy.

Batman chrupał w kąciku liść sałaty. Przyglądała mu się z zainteresowaniem. Siedzi sobie z tym swoim małym mózdzkiem w małej szklanej klatce i o niczym nie wie. Przez chwilę mu zazdrościła.

Patryk pisał coś na klawiaturze. „+morderstwo+sybilla”. Przesunął kursor na „znajdź” i kliknął. Komputer zaszumiał. Sekundę później zakończył pracę. „67 pozycji”.

– Bingo!

Twarz Patryka rozjaśnił uśmiech.

– Co to znaczy? – spytała.

– Że jest sześćdziesiąt siedem stron o tobie i o morderstwach.

Czy to możliwe? Czyżby stała się częścią tego świata, o którym nie miała żadnego pojęcia?

Patryk otworzył pierwszą pozycję.

– Wydrukuję wszystko, co jest, a potem to sobie spokojnie przeczytamy.

Nie bardzo rozumiała, ale wierzyła, że Patryk wie, co robi. Na biurku zaterkotała jakaś inna maszyna i po chwili zaczęła się z niej wysuwać kartka papieru. Tekst był do góry nogami, musiała poczekać, aż wyjdzie cała strona.

Wzięła ją i usiadła na łóżku. Patryk znów kliknął, maszyna znów zaterkotała.  
Zaczęła czytać.

Kobieta z „Grandu” nachodzi żonę ofiary

Lena Grundberg siedzi na kanapie w przytulnym salonie. Jeszcze tydzień temu mieszkała tutaj ze swoim ukochanym mężem Jörgenem. W ubiegły czwartek stał się on pierwszą ofiarą zamordowaną z zimną krwią przez 32-letnią, psychicznie chorą kobietę, której do chwili obecnej nie udało się odnaleźć, mimo szeroko zakrojonych wysiłków policji. Zaledwie dwa dni po tej bestialskiej zbrodni kobieta złożyła wizytę załamanej wdowie.

Lena Grundberg z trudem powstrzymuje łzy.

„Okropnie się boję. Ta kobieta zadzwoniła do drzwi i powiedziała, że też straciła męża. Nie wiem, po co przyszła, ale kiedy potem zobaczyłam portret pamięciowy, od razu ją poznałam...

Sybilla przerwała lekturę. Załamana wdowa. Akurat. Niech mnie pocałuje. Więcej stron czekało na przeczytanie.

Wiedza anatomiczna typowa dla morderców rzeźników.

32-letnia kobieta, poszukiwana za dokonanie kilku zabójstw, stanowi dla policji prawdziwą zagadkę. Analiza wszystkich podobnych zbrodni, które miały miejsce w Szwecji od lat 60., wykazuje nadreprezentację sprawców z takich grup zawodowych jak rzeźnicy, lekarze, myśliwi i weterynarze. Zdaniem prof. psychiatrii sądowej Stena Bergmana wynika to po części stąd, że osoby te przezwyciężyły towarzyszący innym lęk przed krojeniem ludzkiego ciała, a po części stąd, że posiadają one czysto techniczne umiejętności. W ocenie policji 32-letnia kobieta nie mieści się w statystykach. Nic nie przemawia za tym, by miała jakiegokolwiek doświadczenie w ww. zawodach. Ale takie umiejętności to, rzecz jasna, nie wszystko. Mordercy rzeźnicy mają na ogół pewien defekt psychiczny, który powoduje brak empatii i pogardę dla innych, lub cierpią na poważną chorobę psychiczną. Zdarza się – tak jak w wypadku 32-letniej kobiety – że sprawca nie może się rozstać z ofiarą, chce mieć trofeum, które przypomina mu o zmarłym lub o samym czynie. Wyobraża sobie, że jest panem życia i śmierci. Wszystkie ofiary okaleczono w agresji – nie mamy tu więc do czynienia z działaniem pasywnym, którego celem jest zatarcie śladów zbrodni – co świadczyłoby o tym, że kobiecie zależy wyłącznie na profanacji zwłok. Policja nadal nie chce ujawnić, jakie części ciała są w posiadaniu morderczynie...

Sybilla wstała i cisnęła artykuły na podłogę.

– Odpadam. Nie mogę tego czytać!

Patryk odwrócił się i spojrzał na nią.

– Ciszej!

Usiadła. Maszyna wypluwała coraz więcej zadrukowanych kartek. Nie, nie będzie czytać tego wszystkiego, co o niej wypisują. Nikt się nią do tej pory nie interesował, a teraz ni stąd, ni zowąd stała się najpopularniejszą osobą w Szwecji.

Koszmar.

– Idę. Nie mogę tu zostać.

– A gdzie pójdziesz?

Westchnęła.

Gdzieś w mieszkaniu zaskrzypiały drzwi. Popatrzyli na siebie przerażeni, znieruchomieli i nasłuchiwali. Po chwili usłyszeli szum wody. Sybilla rozglądała się za jakimś schowkiem.

– Spokojnie – szepnął Patryk – poszedł do klopa.

Ale jej daleko było do spokoju. Kiedy z kranu przestała lecieć woda, rzuciła się na podłogę i wczołgała pod łóżko. W następnej sekundzie rozległo się pukanie do drzwi.

– Patryk?

Nie odpowiedział. Sybilla zobaczyła, jak jego stopy znikają na łóżku, i moment później drzwi się otworzyły. Weszły dwie owłosione nogi.

– Śpisz?

– Mmmm.

– Jest po jedenastej.

Maszyna zaterkotała, wysunęła się z niej kolejna kartka papieru.

– Co to jest?

Ciemnowłose nogi zrobiły kilka kroków. Chwilę później tuż przed jej nosem pojawiły się nogi Patryka w dżinsach. Usłyszała szelest papieru.

– Nic szczególnego.

– Aha. A dlaczego śpisz w ubraniu?

– Położyłem się tylko na chwilę.

– Co drukujesz?

– Takie tam drobiazgi z Internetu.

Na kilka nieznośnych sekund zapadła cisza.

– Wracam do łóżka. Jesteś dzisiaj w domu?

– Jeszcze nie wiem. Zobaczy się.

– Tylko pamiętaj, masz być najpóźniej o dziesiątej. I zadzwoń, żebyśmy wiedzieli, gdzie jesteś.

Patryk westchnął. Nogi się odwróciły i zatrzymały.

– A co to za plecak?

Sybilla zamknęła oczy. Patryk zbyt długo zwlekał z odpowiedzią. Znalazłeś go. Podpyliłeś. Cokolwiek!

– To Wiktora.

Jeszcze lepiej.

– A co on robi u ciebie?

– Zostawił go w szkole i obiecałem mu, że go wezmę.

Nogi ruszyły do drzwi.

– Do zobaczenia później. I nie zapomnij posprzątać, zanim mama wróci.

– Mmm.

Nareszcie drzwi się zamknęły. Pod łóżkiem pojawiła się uśmiechnięta twarz Patryka.

– Przestraszyłaś się, co? – szepnął.

Wyczołgała się spod łóżka.

– Nie ma w tych drzwiach zamka? – spytała, otrzepując się z kurzu.

Usiadł na łóżku i przeglądał papiery, które schował przed ojcem. Rzuciła na niego okiem. „Polowanie na mordercę”.

Zastanawiał się chwilę, potem popatrzył na nią.

– Już wiem, co zrobimy.

Nie odpowiedziała.

– Sama pomyśl. Policja szuka tylko ciebie. A kto będzie szukał prawdziwego mordercy?

No, kto?

– Nie kojarzysz? My to musimy zrobić. Musimy odnaleźć mordercę.

WKURZYŁA SIĘ. Wzięła plecak, podeszła do drzwi, położyła dłoń na klamce i... zawahała się. Nie ma odwagi wyjść. Jeszcze nie. Odstawiła plecak i głęboko westchnęła.

– To nie jest gra, Patryk – szepnęła.

– Przecież wiem. A masz jakieś lepsze propozycje?

Pochylił się i zbierał z podłogi rzucone przez nią teksty. Pomogła mu. Kiedy jako tako uporządkowane leżały na biurku, usiadła na łóżku.

– A niby jak mamy to zrobić?

– Posłuchaj. – Był pełen zapachu. – Policja szuka tylko ciebie. A my moglibyśmy się skoncentrować na złapaniu prawdziwego mordercy.

– Jak? Przecież nic nie wiemy.

Wyprostował się i popatrzył na nią.

– Najpierw musisz mi obiecać, że nie będziesz zła.

– Jak mogę ci obiecać coś, o czym nie mam pojęcia?

Wahał się. Była coraz bardziej zaintrygowana. Co mogłoby ją rozzłościć?

– Moja mama jest policjantką.

Wpatrywała się w niego. Ani drgnął. Czowała pulsującą krew. No tak. Nie ma o czym mówić. Wstała.

– Muszę stąd natychmiast wyjść.

– Poczekaj.

Podniosła głos.

– NATYCHMIAST, Patryk.

Westchnął, uchylił drzwi, a potem otworzył je na oścież.

Wzięła plecak i wyszła.

– Nie możesz mnie wysłuchać?

Szybko szła chodnikiem, on był tuż za nią. Skręciła za róg i wyszła na Folkungagatan. Ani myśli go wysłuchiwać. „Moja mama jest policjantką!”. Zaprosił ją do gniazda os. Nagle stanęła jak wryta i odwróciła się. Nie był na to przygotowany i wpadł na nią.

– Co by się, do cholery, stało, gdyby przyszła twoja mama?

Ciągle czuła buzującą w ciele adrenalinę.

– Przecież jest na kursie!

Popatrzyła na niego i pokręciła głową. Jest za młody, żeby zrozumieć. Ale czego mogła się spodziewać?

– Nie dociera do ciebie, że tu chodzi o moje życie? Mogła zachorować i wrócić wcześniej. Cokolwiek. A ja bym tam siedziała jak idiotka. Ale może tego właśnie chciałeś?

Cofnął się i spojrzał na nią.

– W porządku. Idź, zalej się w trupa, od razu będzie ci lepiej.

Przeszła jej cała złość. W tym momencie traci swojego jedyne przyjaciela. Nawet nie zdążył zabrać kurtki. Obejmował się ramionami, marzył.

Nie miała siły myśleć. Właściwie nigdy nie było jej łatwo, ale teraz czuła się na swój

sposób odpowiedzialna za tego szczeniaka. Poza tym, kto wie, co on zrobi, kiedy spuści go z oczu. Ale sama jest sobie winna. To ona go w to wciągnęła.

Westchnęła głęboko.

– Idź do domu po kurtkę.

Popatrzył na nią podejrzliwie.

– Po co?

– Bo marzniesz.

– A jak wrócę, to już cię tu nie będzie, co?

– Założmy. I co wtedy zrobisz?

Mierzyli się wzrokiem. W końcu z tylnej kieszeni spodni wyjął portfel i włożył jej do kurtki.

– Przechowaj to, dopóki nie wrócę.

I już go nie było. Smarkacz nie jest taki głupi. Na pewno sobie poradzi w życiu. Wyjęła portfel z kieszeni i ważyła go w dłoni. Potem zamknęła oczy i nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– POCZEKAM NA ZEWNĄTRZ. Będę na ławce w Björns Trädgårdzie.

Nie miał pewności, czy się nie ulotni. Widziała jego wahanie.

– Obiecuję, że poczekam.

Tym razem naprawdę tak myślała. Skinął głową i przeciął Götgatan. Patrzyła na niego, dopóki nie zamknęły się za nim drzwi biblioteki przy Medborgarplatsen.

Kiedy wrócił w kurtce, jego twarz promieniała uśmiechem, który roztopiłby najtwardsze serce każdego niewinnie oskarżonego mordercy rzeźnika. Nie mogła się nie uśmiechnąć. Potem poznała pierwszy punkt jego planu. Wyśle mail na policję i zapewni jej alibi na ostatnią noc. Musiał jej obiecać, że nie poda ani swojego adresu, ani nazwiska. Kiedy to mówiła, popatrzył na nią z politowaniem i wyjaśnił, że gdyby zamierzał się ujawnić, wysłałby mail z domu. Dlatego właśnie chce skorzystać z komputera w bibliotece. Żeby nie można go było zidentyfikować.

Siedziała na ławce w Björns Trädgårdzie i czekała na niego. Na Medborgarplatsen było mnóstwo sobotnich spacerowiczów. Na szczęście nie zauważyła nikogo znajomego na sąsiednich ławkach.

Po dziesięciu minutach był z powrotem.

– Co napisałeś?

– Że Sybilla Forsenström siedzi przed biblioteką na Medborgarplatsen, ale jest niewinna.

W pierwszej chwili mu uwierzyła. W drugiej – westchnęła.

– To nie jest zabawne, Patryk.

– Napisałem, że chcę zachować anonimowość, ale wiem na sto procent, że to nie ty jesteś mordercą.

– A skąd ty to możesz wiedzieć? Mogłam zamordować pozostałych. Wszystkich z wyjątkiem tego ostatniego.

– Jasne. Jesteś cholernie niebezpieczna.

Nie dawała za swoje.

– Mówią poważnie. A jeśli to ja?

Na jego czole pojawiła się zmarszczka. Spojrzał na nią.

– To ty?

Zwlekała z odpowiedzią. Lekko się uśmiechnęła.

– Nie. Ale sam widzisz. Nawet ty nie jesteś całkiem pewien.

– Jestem, to ty zaczęłaś przynudzać.

Zirytował się. Ona też. Nie zamierzała być maskotką, którą mógłby się przez jakiś czas pobawić.

– Nie chcę, żebyś uważał wszystko za oczywiste.

Zmarszczka na jego czole pogłębiła się. Nie rozumiał, o co jej chodzi.

I bardzo dobrze. Musi zachować kontrolę.

Usiadł koło niej. Przez chwilę milczeli. Patrzyli na przechodzących obok ludzi, wydawało się, że nikt nie zwraca uwagi na tę niedobraną parę na ławce.

Z Götgatsbacken nadjechały z dużą prędkością dwa radiowozy. Nie były na sygnale, migały tylko koguty. Ledwie zaparkowały na Medborgarplatsen, z każdego wyskoczyło dwóch policjantów i pognało do biblioteki.

Najwyższy czas się wynosić.

Spojrzeni po sobie i wstali. Szybkim krokiem ruszyli Tjärhovsgatan, skręcili i doszli do Mosebacke torg. Bez słowa usiedli na jednej z ławek. Tego dnia słońce nareszcie przedarło się przez gęstą warstwę chmur, która przez ostatnie tygodnie wisiała nad Sztokholmem. Sybilla postawiła plecak obok siebie, odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy. Gdyby tak stąd wyjechać. Gdzieś, gdzie zawsze świeci słońce i gdzie nikt jej nie będzie szukał. Nigdy nie przekroczyła granic Szwecji. Kiedy była mała, rodzice kilka razy odpoczywali na Majorce,

ale bez niej, a teraz nie ma paszportu.

Dobry kwadrans siedzieli w milczeniu. W końcu Patryk odwrócił się do niej.

– Pójdę do pracy mojej matki i zajrzę do jej komputera – powiedział.

Tak, po prostu.

– Nie wolno ci tego robić.

– Wiem, ale to zrobię.

– Nie chcę, żebyś był w to zamieszany.

Prychnął.

– Był? A co, nie jestem?

To prawda. Ale gdyby choć w połowie podejrzewała go o taką inicjatywę, dałaby sobie spokój. Kiedy była w jego wieku, siedziała jak trusia i grzecznie wysłuchiwała mądrości osób starszych.

No i proszę, co z niej wyrosło.

– Czy naprawdę mógłbyś to zrobić bez wzbudzania podejrzeń?

– Po prostu spytam o mamę, a potem poczekam w jej pokoju.

– Przecież jest na kursie.

– Ci w dyżurce o tym nie wiedzą.

– A jeśli wiedzą?

Jej brak entuzjazmu zaczął go denerwować.

– To coś wymyślę.

Był zanadto zadufany w sobie. To niedobrze.

– A jeśli ktoś cię przyłapie?

– Nie przyłapie.

– Powiedziałam: jeśli.

Nie zamierzał odpowiadać. Uderzył dłońmi po udach i wstał.

– Idziemy?

– Dokąd?

Wyglądał tak, jakby się zastanawiał, dlaczego wszystko musi powtarzać dwa razy.

– Do pracy mojej matki!

Patrzyła na niego w milczeniu. Albo jest jej aniołem zbawicielem, albo pociągnie ją w przepaść. Ale tego się nie wie zawczasu.

– Czy będziesz miał coś przeciwko temu, jeśli nie wezmę udziału we włamaniu do komendy?

Zachichotał.



– Gdzie się spotkamy?

NIE SŁYSZAŁA, kiedy przyszedł. Siedziała na nabrzeżu za ratuszem i czekała. Wskazówka minutowa na wieży kościoła Riddarholm zrobiła pełen obrót i Sybilla po raz pierwszy poważnie się zastanawiała, czy nie powinna odejść.

Ale została.

Pół godziny później przed jej oczami pojawił się papier.

Podkraść się od tyłu. Gdy się odwróciła, za okularami w drucianej oprawce jaśniała duma.

Zaczęła czytać. Pierwszy był Jörgen Grundberg, po nim jeszcze trzy nazwiska. Mężczyzna i dwie kobiety. Cztery nieznane osoby, które zdaniem policji uśmierciła.

– Mamy nazwiska, adresy i numery osobowe wszystkich ofiar. – Pochylił się nad jej ramieniem. – Ten tutaj, zamordowany ostatniej nocy, mieszkał w Stocksundzie. Czy to nie jest w Sztokholmie?

Skinęła głową. I jej alibi diabli wzięli. W tym czasie kiedy Patryk spał na strychu, spokojnie zdążyłaby pojechać do Stocksundu i wrócić. Spojrzała na niego. W ogóle o tym nie pomyślał. Na razie. Rozsadzała go duma z odniesionego sukcesu.

Opuściła kartkę i popatrzyła na Riddarfjärden. W wodzie odbijały się promienie słońca. Koło nich przepłynęło kilka kaczek.

– Aha. I co według ciebie powinniśmy teraz zrobić?

Wyjął z kieszeni zwinięte kartki papieru.

– Wydrukowałem to, co znalazłem.

– Czy ktoś cię widział?

– Nie. Nie wszedłem do komputera matki, ale komputer Kenta z sąsiedniego pokoju był włączony. Skorzystałem z okazji, kiedy wyszedł do toalety.

Sybilla pokręciła głową.

– Jesteś niemądry.

– Siedział tam dość długo. – Uśmiechnął się. – Chyba ani on, ani mama nad tym nie pracują. W jego skrzynce mailowej były tylko ogólne informacje.

Rozłożył kartki.

– Patrz. Coś takiego morderca zostawił na miejscu zbrodni.

Czarno-białe zdjęcie przedstawiało krucyfiks. Krzyż z ciemnego drewna, a figurka Jezusa ze srebra albo z innego jasnego metalu. Obok podane były wymiary. W milimetrach.

Wyciągnęła rękę po następną kartkę.

Jeszcze jedna biało-czarna fotografia. Ściana pokryta kwiecistą tapetą. Pod nią nieposłane łóżko z dużymi czarnymi plamami. Na ścianie wyraźny napis: „Biada tym, którzy niewinnym odmawiają sprawiedliwości. Sybilla”.

Spojrzała na niego, szybko podał jej ostatnią kartkę. Zdjęcie dwóch przezroczystych rękawic. Obok dużymi literami ktoś napisał: „Nutex 8”.

– Takich się używa w szpitalu.

Pokiwała głową. Tak, no to wszystko jasne.

– Tyle udało mi się znaleźć. Mamy przynajmniej nazwiska.

– A do czego nam one potrzebne?

Wahał się chwilę, jakby szukał słów.

– Wiesz, co myślę?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Myślę, że się poddałaś. I nie chcesz niczego wyjaśniać. Jakby ci to wisiało kalafiolem.

– A jeśli rzeczywiście tak jest? Czy to takie dziwne?

– Kiedy ja się tak zachowuję, ojciec mówi, żebym się nad sobą nie rozczulał, tylko brał byka za rogi.

Tak. Tatuś wie, co mówi.

– Wczoraj wspominałaś o tym, że wy, bezdomni, jesteście źle rozumiani, że nie macie szans i tak dalej. Ale kiedy masz szansę, to z niej, kurde, nie korzystasz.

Coraz bardziej się podniecał. Spojrzała na niego z zainteresowaniem. Jeszcze nie wiedziała, czy ją upokorzył, czy oświecił, w każdym razie mówił do rzeczy.

– No dobrze – powiedziała i podniosła się. – To co mam teraz robić, szefie?

– Jedziemy do Västerviku.

Wpatrywała się w niego.

– Żartujesz?

– Nie. Wszystko sprawdziłem. Za pół godziny mamy autobus. Czteryście sześćdziesiąt koron w obie strony. Pożyczę ci. Będziemy tam za dwadzieścia pięta i mamy dwie godziny dwadzieścia minut do powrotnego autobusu.

Pokręciła głową.

– Ty naprawdę jesteś niemądry.

– Będziemy z powrotem kwadrans po jedenastej.

Został jej tylko jeden argument.

– Musisz być w domu przed dziesiątą.

– Nie. Idę do kina. Już to załatwiłem.

KRAJOBRAZ PRZESUWAŁ SIĘ za szybą. Södertälje, Nyköping, Norrköping, Söderköping. Patryk studiował wydruki, które wyniósł z komendy, jakby się w nich krył jakiś trop. Sybilla patrzyła przez szybę.

Zapłaciła za bilety. Weszła do ubikacji w hali dworca autobusowego i wyjęła z woreczka banknot tysiackoronowy. Kiedy wróciła, Patryk zdążył kupić dwa opakowania chipsów i dwulitrową colę. Wielkimi oczami patrzył na banknot, kiedy kupowała bilety.

Ale o nic nie zapytał.

I bardzo dobrze.

– Po co ty to właściwie robisz?

Lekko wzruszył ramionami.

– Dla rozrywki.

Tak łatwo nie zamierzała się poddać.

– Mówię serio. Nie masz żadnych kumpli? Zadawanie się ze starą, trzydziestodwuletnią babą to chyba średnia przyjemność.

Wyszczерzył się.

– A nie jesteś przypadkiem starsza?

Nie odpowiedziała. Dwieście razy czytał w gazetach, ile ma lat. Przyglądała mu się. Włożył kartki do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Nie rozumiem, co w tym złego, że chcę robić to, co lubię. Starzy też ciągle brzęczą mi nad uchem. Nic na to nie poradzę, że nie rajcuje mnie hokej ani piłka nożna. Wisi mi i powiewa, kto wygra w krajowych rozgrywkach, AIK czy Djurgården.

Pokiwała głową.

– Dobrze, dobrze. Tak tylko spytałam.

Znów patrzyła w okno, a on wyjął policyjne wydruki.

Sören Strömberg 360207 – 4639.

Jechali do jego rodziny. Przypomniała sobie wizytę u Leny Grundberg. Wtedy przepełniała ją otucha i wiara.

Teraz było zupełnie inaczej.

Autobus przyjechał punktualnie, za dwadzieścia pięć piąta wysiedli w Västerviku. Patryk spytał w kiosku o drogę do Siversgatan, na której według wydruku mieszkał Sören Strömberg. Sybilla widziała, jak ekspedientka coś mu pokazuje i tłumaczy.

To nie było daleko. Spacer zajął im zaledwie pięć minut.

Czuła się coraz bardziej nieswojo. Patryk szedł pół metra przed nią, nieulękły i zapalony, jakby się wybierał na wymarzoną imprezę.

Dwupiętrowa willa z mansardowym dachem. Ktoś miał wyjątkowo zły smak, bo obłożył fasadę płytami eternitu. No, ale taka kiedyś była moda. Przypuszczalnie ten sam ktoś dobudował małą werandę z zielonego falistego plastiku, co skutecznie zniszczyło cały urok tego domu.

Zatrzymali się przed furtką i spojrzeli po sobie. Sybilla pokręciła głową, zniechęcona, dając mu do zrozumienia, że to był bardzo zły pomysł. Natychmiast otworzył furtkę i ruszył ku drzwiom.

Z westchnieniem poszła za nim. Nie mogła przecież tak stać.

– I co teraz wymyślisz? – spytała szeptem.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo w sąsiednim domu otworzyło się okno i pojawiła się w nim kobieta w średnim wieku.

– Szukacie Gunvor?

Wymienili spojrzenia.

– Tak – odpowiedzieli chórem.

– Jest w domku letniskowym. Nad Segersvikiem. Czy coś jej przekazać?

Patryk podszedł bliżej kobiety.

– Czy to daleko stąd?

– Około dwudziestu kilometrów. Jesteście samochodem?

– Tak – bez wahania odparł Patryk.

– Trzeba jechać starą drogą na Gamleby, minąć Piperkärr, a stamtąd będzie jeszcze z dziesięć kilometrów. Chyba jest tabliczka.

– Dziękujemy!

Odwrócił się do kobiety plecami, nie dając jej okazji do dalszych pytań. Kiedy wyszli na ulicę, usłyszeli odgłos zamykanego okna.

– To tam został zamordowany – cicho powiedział Patryk. – Napisali, że zginął w

swoim domku letniskowym.

U wylotu ulicy, kiedy zniknęli z pola widzenia sąsiadki, Sybilla zatrzymała się.

– No tak. I co teraz? Nie dojdziemy tam, jeśli mamy zdążyć na autobus.

– Weźmiemy taksówkę.

Zmarszczyła brwi.

– Mam pieniądze – dodał.

Nie była zadowolona.

– A skąd ty masz tyle pieniędzy? Czy to normalne w twoim wieku?

Spuścił wzrok.

– Cholera. Chyba nie ukradłeś?

– Nie. Pożyczyłem.

– Od kogo?

Ruszył w kierunku dworca, tam gdzie widzieli postój taksówek. Sybilla ani drgnęła.

– Nigdzie nie pójde, dopóki nie powiesz, komu je ukradłeś.

Przystanął i odwrócił się.

– Wziąłem z domu. Z domowej kasy. Spokojnie. Zanim się połapią, wszystko zwrócę.

– Akurat. Z czego zwrócisz?

– E tam. Załatwi się.

I poszedł. Sybilla stała w miejscu.

Po chwili odwrócił się i zawołał z irytacją:

– Będziemy tu sterczeć i bić pianę, czy może wreszcie zaczniemy coś robić?!

– Ile wzięłeś?

Wahał się.

– Tysiąc.

Wyjęła z woreczka następny święty banknot, zaciągnęła suwak kurtki i podeszła do niego.

– Proszę – powiedziała. – A jeśli jeszcze raz coś ukradniesz, od razu się zmywam.

Kapewu?

Skinął głową, zdumiony, i popatrzył na banknot.

– Rozumiesz?

– TAK!

Wyrwał banknot z jej ręki. Wyminęła go i poszła w kierunku dworca. Przeszła dziesięć metrów i odwróciła się. Stał tam, gdzie go zostawiła.

– Będziemy tu sterczeć i bić pianę czy się łaskawie ruszysz?

Po chwili wahania pobiegł za nią. Bez entuzjazmu.

KIEDY NA TAKSOMETRZE było powyżej dwustu koron, pokręciła głową.

Jechać taksówką!

W życiu nie widziała podobnej rozrzutności.

Piperkärri minęli dawno temu, teraz asfalt nagle się skończył, toczyli się po żwirowce. Jechali pośród lasów i pól uprawnych, pokonywali pagórki, za szybą przesuwwały się zagajniki i skały.

Milczeli. Na szczęście taksówkarz nie był gadułą, a Patryk przestał się do niej odzywać, kiedy go zbesztła.

Od razu poczuła się znacznie lepiej. Teraz znowu ona tu decyduje.

Za pustą przystanią i parkingiem, na którym łódki czekały na wiosnę, opatulone plandekami i brezentami, znów wjechali do lasu. Kilometr dalej, po lewej stronie otworzył się widok na wodę. Słońce niknęło na zachodzie, zostawiając po sobie różowe niebo.

– To tam? – spytał taksówkarz, wskazując głową na skupisko domów przed nimi.

Sybilla zerknęła na Patryka. Wpatrywał się w szybę. Ani myślał jej pomagać, to było oczywiste. Pochyliła się ku kierowcy.

– Nie bardzo wiem. Szukamy Gunvor Strömberg. Ma gdzieś tutaj domek letniskowy.

– A skąd ja mam to wiedzieć – odburknął. – Nie macie dokładniejszego adresu?

Jechał wolno, minął słupki bramy prowadzącej do jakiegoś gospodarstwa i mały czerwony domek. Taksometr pokazywał dwieście sześćdziesiąt koron.

Sybilla przełknęła ślinę i sięgnęła po następny banknot. Patryk spojrzał na nią.

– Wsiądziemy tutaj.

Kierowca zjechał na pobocze i wysiedli. Plecak sama musiała wyjąć z bagażnika. Jasne, nie dała napiwku.

Taksówka potoczyła się przed siebie i zawróciła na mijance. Kiedy zniknęła za zakrętem koło czerwonego domku, Sybilla uświadomiła sobie, że nie zaplanowali podróży powrotnej. Z westchnieniem zarzuciła plecak na ramię. Przed nimi była otwarta brama, na słupku wisiała zielona blaszana skrzynka pocztowa.

„Strömberg”.

Odwróciła się i spojrzała na Patryka.

– To tutaj. Tam, nad wodą.

– Yhm.

– Długo jeszcze będziesz się boczył?

Podszedł do niej w milczeniu.

Za bramą droga schodziła w dół, kilka metrów dalej zobaczyli dach i tył domu. Dzielili ich od niego zarośla. Sybilla szła przodem. Kiedy zarośla się skończyły, znaleźli się nad wodą. Tuż przed nimi był pomost.

Widok zapierał dech w piersi. Jak można kogoś mordować w takim miejscu?

– W czym mogę pomóc?

Sybilla okręciła się na pięcie. Nieco wyżej, przed altanką, którą przed chwilą widzieli, stała kobieta.

Sybilla szukała słów. Spojrzała na Patryka. No tak, musi sobie radzić sama.

Kobieta odłożyła grabie i szła w ich stronę. Patryk pomaszerował na pomost. Sybilla przełknęła ślinę. Kobieta miała około sześćdziesięciu pięciu lat, lekko utykała. Zatrzymała się naprzeciwko Sybilli i przez chwilę milczała. Sybilla czuła bicie pulsu w całym ciele.

– Czy interesują się państwo kupnem domu?

Otóż to.

– Tak.

Sybilla z wdzięcznością uśmiechnęła się do kobiety. Kupują dom. Naturalnie.

– Aha. – Kobieta odwzajemniła uśmiech. – Przepraszam, byłam może nieco oschła, ale... kręci się tutaj tylu ciekawskich... – Odchrząknęła. – Macie państwo szczęście, że mnie tutaj zastaliście. Pośrednik nic mi nie mówił, że ktoś przyjdzie.

– Znaleźliśmy się tutaj przejazdem.

Kobieta zdjęła ogrodowe rękawice i wyciągnęła rękę.

– Gunvor Strömberg.

Sybilla wahała się ciut za długo.

– Margareta Lundgren.

Uścisnęła dłoń kobiety. Była wilgotna i ciepła.

– A to syn, prawda?

Sybilla poszła za jej spojrzeniem i zobaczyła plecy Patryka.

– Tak. – Zaśmiała się nerwowo. – Tak, tak.

Patryk puszczał kaczki na wodzie. Mocniej zabiło jej serce. Ciekawe, jak bardzo jest obrażony. A może będzie chciał ją ukarać?

– Ten pomost nie należy do nas, ale mamy prawo służebności, jest uwzględniony w umowie kupna. Nikt prócz nas z niego nie korzystał. – Patrzyła na wodę. – No tak, na pewno chce pani obejrzeć dom.

Sybilla uśmiechnęła się.

– Chętnie.

– Może i on chciałby popatrzeć?

Skinęła głową w kierunku Patryka, który rzucał następny kamyk.

– Patryk, chcesz zobaczyć, jak jest w środku?! – zawołała.

Nie spieszył się. Rzucił kamyk jeszcze raz i odwrócił się. Gunvor Strömberg z uśmiechem spojrzała na Sybillę.

– To trudny wiek, wiem coś o tym. Nie pozostaje nic innego, jak dać im spokój.

Sybilla próbowała wykrzesać porozumiewawczy uśmiech. Łatwy czy trudny, jak tylko stąd wyjdą, da mu do wiwatu.

Kobieta poszła pierwsza. Sybilla poczekała na Patryka, który podszedł do niej, wyraźnie się ociągając.

– Opanuj się, do cholery – wysyczała. – Ona myśli, że chcemy kupić ten dom.

Uniósł brwi.

– To kupuj. Masz pieniądze.

Wyminął ją obojętnie.

Bardzo dziwne. Drugi raz w tym tygodniu sprawia komuś zawód, dlatego że ma pieniądze. Co to, u licha, jest?

Gunvor Strömberg już była pod domem i Sybilla przyspieszyła kroku. Patryk podał rękę i przedstawił się. Grzecznie, z obyciem.

– Proszę, wejdźcie. Ja poczekam tutaj.

Popatrzyli na siebie i ruszyli po schodkach do drzwi.

– Dom nie jest duży, ale niczego mu nie brakuje – powiedziała Gunvor Strömberg. – Terma ma już swoje lata i z czasem trzeba ją będzie wymienić.

Sybilla skinęła głową i przestąpiła próg.

Może morderca też tędy wchodził.

Rozejrzała się. Przeszła kilka kroków i znalazła się w małej kuchni. Była dobrze urządzona i przytulna. Na podłodze widniały ślady przesuwanych setki razy krzesel. Emalię na uchwycie drzwiczek piekarnika wytarły dotykające go przez lata głodne dłonie.

Czuła słaby zapach farby.

Patryk otworzył drzwi do pokoju. Dał jej znak, żeby podeszła.

Pomalowany na biało pokój był pusty.

Patryk wyjął złożone kartki papieru i podał jej jedną.

– To ta ściana – szepnął.

Sybilla popatrzyła na zdjęcie poplamionego łóżka i jeszcze raz przeczytała słowa



mordercy podpisane jej imieniem.

Chciała stąd wyjść.

Gunvor Strömberg stała na pomoście, plecami do domu, i patrzyła na wodę. Sybilla wahała się chwilę. Patryk stanął koło niej.

– Porozmawiaj z nią – powiedział.

Spojrzała na niego.

– Na razie niczego się nie dowiedzieliśmy – wyjaśnił. – Ja tu zostanę i trochę powęszę. Racja. Skoro przyjechali aż tutaj, powinni kontynuować.

Gunvor Strömberg nie zdradziła się najmniejszym ruchem, że jest świadoma towarzystwa na pomoście. Wpatrywała się w wodę i dopiero kiedy Sybilla odchrząknęła, podniosła dłoń do twarzy. Wycierała łzy. Ale się nie odwróciła.

– To fantastyczne miejsce – powiedziała Sybilla.

Gunvor milczała. Sybilla też.

Właśnie o takim miejscu marzyła. Ustronnym. Cichym. No i ten niesamowity widok. Nigdy nie będzie jej na to stać. Przenigdy. Niedługo na nic nie będzie jej stać.

– Powiem o tym od razu, zanim się pani nasłucha plotek – zaczęła Gunvor i odwróciła się do niej. – Pani jest nietutejsza, prawda?

– Tak.

Pokiwała głową i znów patrzyła na wodę.

– Tak myślałam.

Sybilla stanęła obok niej. Najlepiej nic nie mówić.

– Sześć dni temu został tutaj zamordowany mój mąż.

Choć Gunvor nie odrywała wzroku od wody, Sybilla robiła wszystko, żeby wyglądać na zdumioną.

– Ale proszę się nie obawiać, to nie był nikt stąd.

Umilkła. Sybilla spojrzała na jej twarz. Było jeszcze dostatecznie widno, żeby dostrzec spływające po policzkach łzy.

– Czy to dlatego chce pani sprzedać dom?

Gunvor pociągnęła nosem i zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie. Od dawna nosiliśmy się z tym zamiarem. Chcieliśmy poczekać do wiosny, żeby

dostać lepszą cenę.

Ukryła twarz w dłoniach, jakby nie chciała, żeby Sybilla widziała jej łzy.

– Sören długo chorował. Miał raka wątroby. Ponad rok temu przeszedł poważną operację, która wbrew przewidywaniom lekarzy zakończyła się pełnym sukcesem. A dawali mu tylko czterdzieści cztery procent szans... – Pokiwała głową. – Wstąpiła we mnie nadzieja... Brał lekarstwa, chodził na badania kontrolne, wszystko było dobrze. Tyle że szybko się męczył, nie miał już tyle sił, co kiedyś. A że przy tym domu jest zawsze dużo pracy, postanowiliśmy go sprzedać i przeznaczyć pieniądze na podróż. Nie mogliśmy wiedzieć, ile nam jeszcze zostało czasu...

Umilkła. Sybilla położyła jej dłoń na ramieniu. Dotyk sprawił, że Gunvor głośno zaszlochała.

– Zawsze byliśmy tutaj. Przyjeżdżaliśmy w każdej wolnej chwili.

– Może chciałyby się pani wstrzymać ze sprzedażą?

Gunvor pokręciła głową.

– Nie, nie chcę tu być. Nawet nie jestem w stanie wejść do środka.

Milczały. Sybilla cofnęła dłoń. Nagle zabrzmiała fanfara na trąbce. Sybilla rozejrzała się zdumiona.

– To Magnusson. Codziennie rano trąbi na pobudkę, a wieczorem gra capstrzyk. Mówi, że to z radości.

Gunvor Strömberg uśmiechnęła się lekko.

Sybilla zamknęła oczy. Mieszkać tutaj. W samotności i spokoju. I mieć za sąsiada kogoś, kto obwieszcza swoją obecność, grając na trąbce z radości.

Marzenie o szczęściu.

– Ile pani chce za dom?

Gunvor odwróciła się i popatrzyła na nią.

– Pośrednik mówi, że powinniśmy dostać jakieś trzysta tysięcy...

Nadzieja Sybilii zgasła.

– ... ale dla mnie ważniejsze jest to, kto ten dom kupi...

Spojrzały na siebie.

– Wybudowaliśmy go z Sörenem w pięćdziesiątym siódmym. Harowaliśmy latami, żeby wszystko wykończyć. Niejedno tu przeżyliśmy. Czasami wydaje mi się to nieprawdopodobne, że moglibyśmy się stąd wyprowadzić i że zamieszka tu ktoś inny. Że ten dom ciągle będzie stał. Bez nas.

Sybilla spojrzała na pomost. Gunvor Strömberg szczelniej otuliła się kurtką.

– Jakbyśmy nic nie znaczyli.

– Nieprawda – z przekonaniem powiedziała Sybilla. – Właśnie dlatego to miejsce jest takie cudowne. Ten dom nosi wasze ślady, waszego życia. Dom i cała reszta. Ta ścieżka. To wy ją wydeptaliście i zawsze tu będzie. Krzaki, które posadziliście. Wszystko. Ja po sobie nic nie zostawiłam. I nic po mnie nie zostanie, kiedy umrę.

Umilkła. Co ona wyprawia? Jeszcze chwila, a powie, jak się nazywa.

– Przecież ma pani syna.

Sybilla odchrząknęła.

– Tak, naturalnie. – Uśmiechnęła się zakłopotana. – Sama nie wiem, co miałam na myśli.

Odwróciła się w stronę domu.

– Patryk! – zawołała. – Czy nie musimy już iść, jeśli mamy zdążyć na autobus?!

– Nie jesteście państwo samochodem? – spytała Gunvor Strömberg.

– Nie. Przyjechaliśmy taksówką.

– Mogę was podwieźć do miasta.

ZDAŻYLI IDEALNIE. Sybilla siedziała przy oknie, trzymając w ręku kartkę z numerem telefonu Gunvor Strömberg.

Gdyby chciała kupić dom.

Włożyła ją do kieszeni. Patryk był wyraźnie podniecony.

– No i co? Dowiedziałaś się czegoś? – spytał.

Sybilla przestała marzyć i spojrzała na niego.

– Sama nie wiem. Nic nie mówiła o morderstwie. Powiedziała, że miał raka i że ponad rok temu przeszedł operację.

Był rozczarowany.

– Powinnaś była zapytać o morderstwo!

– To nie takie proste.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Patryk wyjął swoje kartki i jeszcze raz je przejrzał. Na odwrocie tej ze zdjęciem ściany coś napisał ołówkiem.

– Co to jest?

– Miała w torebce jego kartę choroby. To i owo wynotowałem.

Popatrzyła na niego przerażona.

– Grzebałeś w jej torebce?

– Tak. A niby jak miałem się czegoś dowiedzieć?

Pokręciła głową. Nagle zdjął ją niepokój.

– Chyba nic nie ukradłeś?

Przeszył ją wzrokiem.

– Owszem. Cztery miliony.

Wykrzywiła się i sięgnęła po kartkę z jego zapiskami. Już miała ją wziąć, kiedy Patryk cofnął rękę.

– Dlaczego masz tyle pieniędzy?

– Słucham?

– Masz kupę szmalu i śpisz na strychu. Dlaczego?

– To moja sprawa.

W pierwszej chwili nie przejęła się tym, że się obraził. Skrzyżował ramiona i demonstracyjnie się od niej odwrócił. Patrzyła przez okno. Kiedy minęli Söderköping, zdała sobie sprawę, że powinna mu to jednak wyjaśnić.

– Oszczędzałam – powiedziała, nie odrywając wzroku od okna.

Spojrzał na nią.

I opowiedziała mu o swoim marzeniu, o domu, który dałby jej nowe życie, o jałmużnie matki, której już nie dostaje. Słuchał z zainteresowaniem. Kiedy skończyła, wręczył jej papiery.

– Proszę.

Wszystko starannie wynotował. Daty wizyt w szpitalu i daty operacji. Pobieźnie przebiegła wzrokiem mnóstwo niezrozumiałych terminów i skrótów i nagle zobaczyła dwa słowa, które skądś znała: „Sandimmun Neoral”.

Ale skąd? Czy ktoś jej o tym mówił? A może gdzieś przeczytała?

Patryk zauważył jej reakcję.

– Co jest?

W zamyśleniu pokiwała głową.

– Nie wiem. – Pokazała na jego zapiski. – To tutaj. Sandimmun Neoral, pięćdziesiąt miligramów. Skądś to znam.

– Wygląda na jakieś lekarstwo. Na co się to bierze?

– Nie mam pojęcia.

– Matka Fiddego jest lekarką. Mogę ją spytać.

Pewnie. Spytaj matkę Fiddego, na co się bierze Sandimmun Neoral. Piętnastolatki codziennie zadają takie pytania.

Uśmiechnęła się. Miała ochotę wziąć go za rękę, ale zabrakło jej odwagi.

– Patryk?

– Mmm.

– Dziękuję za pomoc.

Lekko się speszył.

– E tam. Na razie w niczym nie pomogłem.

Uśmiechnęła się szerzej.

– Nieprawda. Pomogłeś.

TEJ NOC SPĘDZIŁA na strychu w domu Patryka. Wpuścił ją tam, rozłożyła matę w nieużywanym pomieszczeniu.

Nie mogła się wyciszyć. Patryk przyniósł kanapki, więc to nie głód był powodem tego dziwnego stanu ekscytacji. Jeśli już – to przesyt wrażeń. Pod powiekami przesuwały się myśli i obrazy... Zasnęła po wielu godzinach czuwania.

Ledwie otworzyła oczy w niedzielny poranek, już wiedziała, skąd zna Sandimmun Neoral. Mózg wyłowił tę informację podczas snu.

Ta nazwa była na opakowaniu lekarstwa, które wyjął z kieszeni Jörgen Grundberg, kiedy siedzieli przy kolacji w „Grandzie”.

Czy to mógł być zbieg okoliczności? Że dwie ofiary brały to samo lekarstwo?

Całkowicie rozbudzona i podniecona, wstała i podeszła do jedyne go okna na strychu. Na dworze było jasno, zastanawiała się, która może być godzina. Ile czasu upłynie, zanim przyjdzie Patryk?

Czekała kilka godzin.

Uświadomiła sobie znaczenie tego nieoczekiwanego sukcesu. Znów obudziła się w niej chęć działania, którą – jak sądziła – straciła raz na zawsze. Nie, nie podda się bez walki.

Kiedy wreszcie usłyszała chrzęst metalowych drzwi i uspokajający głos Patryka – „To ja!” – natychmiast podzieliła się swoim odkryciem.

– Jörgen Grundberg też brał Sandimmun Neoral!

– Jesteś pewna?

Przyniósł jej podwójną kanapkę i piwo, ale nie miała teraz głowy do jedzenia.

– Tak, jestem absolutnie pewna. To chyba nie może być przypadek?

– Rozmawiałem z matką Fiddego.

– Już? Która godzina?

Spojrzał na zegarek.

– Dziesięć po jedenastej. Obudziłem ją. Powiedziałem, że mam taką pracę specjalną. Bo chyba mam, prawda? – Wyszczерzył się w uśmiechu. – Najpierw zajrzałem do sieci, ale trudno się było połapać, kiedy się to bierze.

– I co powiedziała?

Wyjął kartkę z tylnej kieszeni spodni.

– To są tak zwane leki immunosupresyjne, które się przyjmuje po transplantacji. Żeby organizm nie odrzucił przeszczepu.

Popatrzył na nią triumfalnie.

– Transplantacja? Nowe serce i tak dalej?

– Yhm. Podobno można przeszczepiać mnóstwo różnych organów.

Sybilla usiadła na macie.

Jörgen Grundberg chorował na nerki. Sören Strömberg miał raka wątroby. Obaj brali środki immunosupresyjne. Lena Grundberg powiedziała, że mąż przeszedł poważną operację ponad rok temu. Wczoraj Gunvor Strömberg mówiła to samo o swoim mężu.

To nie mógł być zbieg okoliczności.

– Myślisz to, co ja? – spytał Patryk.

Sybilla skinęła głową.

– Chyba tak. Ale na wszelki wypadek sprawdźmy jeszcze jedną ofiarę. Pokaż listę.

Żachnął się.

– Jest na dole, w kurtce.

Oprócz listy miał ze sobą komórkę ojca. Jeszcze raz przeczytała dobrze jej znane nazwiska.

– Okej. Chcesz zadzwonić do Bollnäs-u czy do Stocksundu?

Po tak bezpośrednim pytaniu przestała uważać swój pomysł za fortunny. Wolałaby, żeby to on zadzwonił, ale wtedy musiałyby mu oddać przywództwo. Postawił ją na nogi, za co była mu głęboko wdzięczna, ale teraz nie pozwoli na to, żeby przejął inicjatywę.

– Do Stocksundu.

– W porządku. Spisałem numer z książki telefonicznej.

Pomógł jej wybrać. Serce biło mocno. Patryk cały czas na nią patrzył. Byłoby łatwiej, gdyby była sama, nie przywykła kłamać w czyjejs obecności.

– Marten Samuelsson.

Zaskoczył ją ten obcy głos. Po tylu wolnych sygnałach straciła nadzieję. Zerknęła na listę.

– Przepraszam, że przeszkadzam, czy rozmawiam z mężem Sofie Samuelsson?

Zamknęła oczy. Wyjątkowo inteligentny wstęp. Kimkolwiek on jest, na pewno nie jest mężem Sofie Samuelsson. Już nie.

– Kto mówi?

Rozejrzała się, jakby gdzieś na strychu leżała dobra odpowiedź. Popatrzyła na Patryka. Poruszył wargami: „Po-li-cja”.

– Policja.

W słuchawce zaległa cisza.

– Chciałabym zapytać, czy pańska żona miała transplantację.

– Już o tym mówiłem.

Skinęła głową do Patryka. Podniósł oczy do nieba.

– Kiedy? – podjęła, nieco śmieiej.

– Kiedy byliście tutaj pierwszy raz.

– Kiedy miała operację?

– Trzydzieści miesięcy temu.

Sybilla skinęła głową.

– Czy pamięta pan datę?

– Nigdy jej nie zapomnę. Piętnastego marca. Dlaczego pani pyta?

– Dziękuję.

Oddała telefon Patrykowi. Nacisnął jakiś guzik i wyłączył.

– Następnym razem powinnaś być bardziej bezpośrednia – powiedział z westchnieniem.

– To sam dzwonił, jeśli jesteś taki bystry. Kiedy był operowany Sören Strömberg?

Patryk przeglądał papiery.

– Miał kilka operacji.

– Czy jest coś pod piętnastym marca?

– Tak. Transplantacja wątroby.

Pokiwała głową. Patryk zacisnął dłoń w pięść i podniósł do góry.

– Yes! Kurde, udało się!

Sybilla też była zadowolona, ale wybiegła myślami krok naprzód. Co im się właściwie udało? Dowiedzieli się, że wszystkie ofiary przypuszczalnie były po transplantacji. Ale co to

znaczy? Komu zależało na pozbyciu się czterech ciężko chorych osób?

Patryk ciągle się uśmiechał.

– Idę powiedzieć matce!

– Zwariowałaś?!

– No co? Przecież mamy motyw!

– Yhm. To znaczy?

Uśmiech zastąpiła zmarszczka między brwiami.

– Cholera.

– Otóż to.

Usiedli na macie. Było chłodno. Sybilla narzuciła śpiwór na ramiona i sięgnęła po kanapkę.

– To twoja mama jest w domu? – zdziwiła się. – Miała być dopiero jutro wieczorem.

Patryk patrzył w podłogę.

– Zachorowała – powiedział cicho.

MINUTY WLOKŁY SIĘ niemiłosiernie. Chciał, żeby z nim poszła, ale odmówiła. Za nic nie wejdzie do jego mieszkania. A już na pewno nie wtedy, kiedy w sąsiednim pokoju jest jego mama.

Wrócił z plikiem kartek.

– Wydrukowałem, ile mogłem, dopóki mi się papier nie skończył – powiedział, siadając koło niej. – Chcesz banana?

Chciała. Natychmiast zaczęła go obierać. Prawdziwy luksus. Jeszcze trochę i będzie rozpieszczona.

Wzięła pierwszą kartkę.

„Donacje – odpowiedzi na podstawowe pytania”.

Czytali w skupieniu, mając nadzieję, że znajdą jakiś trop. Patryk położył się na macie, ona usiadła w starym fotelu.

„Czy ktoś może dostać twoje nerki, kiedy umrzesz?”

Czytając, uświadomiła sobie, że dużo się wydarzyło, odkąd żyła na marginesie, poza systemem. Na pewno nie wypełniała żadnej karty donatora, ale to chyba nie dotyczy nieobecnych. Zastanawiała się, co by było, gdyby zginęła w jakimś wypadku. Nikt nie upomniałby się o jej szczątki. Nigdy przedtem o tym nie myślała. Gdzie chowano takich jak



ona? Których nikt nie chciał znać. A może wytną z niej te organy, które się ewentualnie przydadzą społeczeństwu? Żeby mimo wszystko był z niej jakiś pożytek. Źródło organów. Magazyn.

Ustawa o transplantacji, paragraf trzeci, akapit pierwszy: „Materiał biologiczny przeznaczony do transplantacji lub innego celu medycznego wolno pobrać od osoby zmarłej, jeśli za życia wyraziła na to zgodę lub jeśli w inny sposób można dowieść, że pozostaje to w zgodzie ze stanowiskiem zmarłego”.

Materiał biologiczny. No, proszę, tylko tyle zostaje z człowieka. Ciekawe, co by powiedzieli o stosunku Sybilli Forsenström do jej materiału biologicznego i jak by tego dowiedli.

Paragraf trzeci, akapit drugi: „Jeśli nie zachodzi wypadek wymieniony w akapicie pierwszym, materiał biologiczny można pobrać wtedy, kiedy zmarły nie zostawił pisemnego oświadczenia zakazującego ingerencji ani nie wypowiedał się przeciwko niej lub kiedy nie istnieją żadne powody skłaniające do przypuszczeń, że ingerencja byłaby sprzeczna z opinią zmarłego”.

Podniosła wzrok i patrzyła na przepierzenie z desek. No tak, nadaje się na materiał biologiczny. Umiera ktoś, by żyć mógł ktoś. Zastanawiała się, jakie to uczucie mieć cudze serce. I brać lekarstwa, żeby organizm go nie odrzucił. A rodzina? Jakie to uczucie, kiedy się wie, że serce ukochanej osoby bije w ciele kogoś innego?

– Znalazłaś coś? – spytał Patryk, przerywając jej rozmyślenia.

– Nie. A ty?

Nie odpowiedział, więc uznała, że nie znalazł. Wróciła do ustawy o transplantacjach. Paragraf czwarty. „Nawet jeśli materiał biologiczny można pobrać na podstawie paragrafu trzeciego, akapit drugi, nie wolno dokonać ingerencji, jeśli sprzeciwi się temu osoba bliska zmarłemu. Jeśli są osoby bliskie zmarłemu, należy je zawiadomić o planowanej ingerencji i przysługującym im prawie do jej zakazu. Będą one miały dość czasu na zajęcie stanowiska wobec ingerencji”.

Przeczytała ten paragraf dwa razy i wolno odłożyła papiery. Wstała. I dokończyła myśl. Czują ją całym ciałem.

„Biada tym, którzy niewinnym odmawiają sprawiedliwości”.

– Patryk!

– Mmm.

– Mam.

Zza drewnianego przepierzenia dobiegł ją szelest i w sekundę później Patryk stał

naprzeciwko niej.

– Co masz? Skąd wiesz, że coś masz?

Ale ona była pewna.

– To ktoś, kto pożałował tego, co zrobił.

Tak jak ona dawno temu, ale nic z tego nie wyszło.

„Biada tym, którzy niewinnym odmawiają sprawiedliwości”.

Odmawiają prawa do życia.

I prawa do śmierci.

– Albo ktoś, kogo w ogóle nie zapytano o zdanie.

PATRYK ZSZEDŁ do komputera. Sybilla krążyła po strychu, żeby jakoś zabić czas.

Donator musiał umrzeć tuż przed piętnastym marca dziewięćdziesiątego ósmego roku. Kto to był? Jeśli w tym tajemniczym internetowym świecie, do którego Patryk ma dostęp, jest taki rejestr, to powinien do niego dotrzeć. Była o tym święcie przekonana. Bo niby czemu miałoby go nie być? Wszystko inne przecież tam było.

Żeby tylko nic nie powiedział mamie. Wyraźnie mu tego zabroniła. Woli raczej zostać główną podejrzaną. Już zdecydowała, że sama to wyjaśni.

Ciekawe, czy policja też jest na tym samym tropie. Ale właściwie dlaczego miałyby być? Przecież już znaleźli mordercę.

Patryk nie przyniósł dobrych wiadomości. Nie istniał żaden ogólnodostępny rejestr zmarłych. Były tylko dane statystyczne o liczbie zgonów. W tym roku zmarło 93 271 osób. W niczym im to nie pomoże.

– Sprawdziłem w ewidencji ludności i w urzędzie statystycznym. I nici. Trzeba mieć zgodę Inspekcji Komputerowej.

Z rozczarowaną miną wyglądał bardzo młodo. Sybilla nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Czy ty nie jesteś za bystry jak na piętnastolatka?

– E tam.

Odwrócił się, ale zdążyła zobaczyć, że się zaczerwienił.

Przez chwilę milczeli.

Szukanie mordercy, siedząc na strychu, nie należało do najłatwiejszych.

– Cholera – powiedziała w końcu. – Musimy się jakoś dostać do rejestru donatorów.

– Co to takiego?

Aha, wie więcej niż on. Co prawda dowiedziała się tego przed chwilą, ale to zawsze

coś. Uśmiechnęła się w duchu. Nie jest taka głupia, jak mu się może wydawało. Nie jest bezradną bidusią, którą on uratuje od śmierci. Ma przeszło dwa razy tyle lat co on i byłoby dobrze, gdyby o tym nie zapominał.

Wzięła z fotela plik przeczytanych kartek.

– To było w materiałach departamentu zdrowia i opieki społecznej. Informacja o donacjach. – Odszukała właściwą stronę. – „Czy osoby postronne mogą mieć dostęp do rejestru?” Odpowiedź: „Włamywanie się do rejestru jest karalne. Wprowadzono wysokiej klasy system zabezpieczeń. Jedynie nieliczne osoby są uprawnione do szukania danych w rejestrze. Uprawnienia stanowią własność osobistą, której nie wolno odstępować osobom trzecim”.

Spuściła kartkę na podłogę.

– To tyle.

Przyglądał jej się przez moment.

– Ile mogłyby kosztować takie dane?

– Dużo.

– Kilka tysięcy?

Wahała się chwilę. Kilka tysięcy. Czyli pół sypialni.

– Bo co?

– Bo znam kogoś, kto może to sprawdzić. Ale podobno dużo bierze.

– Skąd go znasz?

– Osobiście go nie znam, jego młodszy brat chodzi do naszej szkoły. Jest kimś, odkąd starszy brat przesiedział się w pudle za hakerstwo.

Nie wyglądało to dobrze. Chciała te dane, ale nie za cenę wplątania Patryka w coś niezgodnego z prawem.

– Ile on ma lat?

Patryk wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może dwadzieścia.

Zastanawiała się przez chwilę. To ich jedyna szansa, żeby ruszyć z miejsca. A doszli całkiem daleko. Westchnęła.

– Okej. Dostanie trzy kawałki, jeśli da nam nazwisko.

POSTANOWIŁA, że sama tam pójdzie. To jej problem i nie będzie Patryka w nic pakować. Pomógł jej, dzwoniąc z komórki ojca i nie ujawniając swojego nazwiska. Cena wzrosła do czterech tysięcy.

Sybilla położyła rękę na piersi. Woreczek nieco się skurczył. Ale jaki ma wybór?

Patryk spytał, po co zabiera plecak. Powiedziała prawdę. Zostawia go tylko w skrytce bagażowej na Centralnym. W zamian za kwit albo klucz. Musi mieć jakąś gwarancję.

Mieszkał na Kocksgatan. Doszli tam w kilka minut. Patryk wcisnął guzik domofonu. Zanim zdjął palec, usłyszeli brzęczyk.

– Poczekasz tutaj?

Skinął głową, rozczarowany, że nie pozwoliła, by jej towarzyszył.

– Tak będzie najlepiej, Patryku.

Ruszyła po schodach. Na drugim piętrze uchyliły się drzwi i stanął w nich młody mężczyzna o jasnych szesanych do tyłu włosach.

Sybilla zatrzymała się.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Po paru sekundach otworzył drzwi na oścież i wpuścił ją do środka. Był w białym T-shircie. Miał muskularne ramiona i nabrzmiałe żyły.

Pewnie ostro ćwiczył w więzieniu.

Zamknął za nią drzwi i poszedł przodem. Dopiero teraz zobaczyła, że ma włosy zebrane w długi kucyk.

Mieszkanie składało się tylko z jednego pokoju i wnęki kuchennej. W zlewie piętrzyły się brudne naczynia. Ciekawe, czy kiedykolwiek tu zmywał. W kącie był stelaż z zestawem hantli, a tuż obok żółta gitara elektryczna i wzmacniacz. Pod oknem na dużym biurku stały komputery i mnóstwo jakiegoś sprzętu elektronicznego, który – jak przypuszczała – musiał mieć każdy szanujący się haker. Na dwóch monitorach migotały litery i cyfry. Chciała na nie popatrzeć z bliska, ale zagroził jej drogę.

– Niedługo będzie gotowe – powiedział. – Możemy się rozliczyć.

Miała pieniądze w kieszeni.

– Jasne.

Podawała mu banknoty, wziął bez liczenia.

– Usiądź tam.

Pokazał na taboret w przedpokoju. Usiadła. Plecaka nie zdjęła, oparła go o ścianę.

Nie widziała go z tego miejsca. Pochyliła się. Siedział przed jednym z komputerów i z niepojętą szybkością przebierał palcami po klawiaturze. Była zdumiona, że jego ogromne dłonie są zdolne do takiej precyzji.

– Masz szczęście – powiedział, nie odrywając wzroku od monitora. – Ktoś tu niedawno czegoś szukał, wystarczyło się tylko podłączyć.

Skończył. Wyprostowała się. Nie chciała, żeby ją przyłapał na podglądaniu. Zastanawiała się, czy zna te nazwiska z gazet. O Jörgenie Grundbergu pisali dosyć często. Niemal tak często, jak o niej.

Usłyszała, że wstaje, i też się podniosła. Trzymał w ręku zwiniętą kartkę A4.

– Gotowe.

Wzięła kartkę, nie spuszczać z niego wzroku.

– Jesteś pewien, że to ta osoba?

Uśmiechnął się, jakby nigdy nie słyszał głupszego pytania.

– Tak – powiedział pobłaźliwie. – W każdym razie to jego części ciała przeszczepiono ludziom, których nazwiska dostałem przez telefon. – Przekrzywił głowę. – Czy to nie ich załatwiła ta Sybilla?

Nie odpowiedziała. Uśmiechnął się szerzej.

– Żebyśmy wiedzieli, na czym stoimy.

Wsunęła kartkę do kieszeni. Nie mógł jej nic zrobić, więc się nie bała. Jeśli ją wyda, sam się wpakuje. Oboje o tym wiedzieli.

Spojrzała na niego. Tyle mięśni i tyle mózgu.

Położyła dłoń na klamce.

– Czy nigdy nie myślałeś o prawdziwej pracy? Masz chyba dobre predyspozycje.

Stał oparty o futrynę, skrzyżował muskularne ramiona.

– Nie – zarechotał. – A ty?

Wyszła bez słowa.

„THOMAS SANDBERG”.

Tylko tyle było na kartce, którą pokazała Patrykowi.

Stali na ulicy, czytał nazwisko raz po raz, jakby to było długie opowiadanie, a nie czternaście liter.

– Nie dostałaś adresu?

– Nie.

Był zawiedziony. Wiedziała, co myśli. Że to cholernie mało za cztery tysiące koron.

– Ile Thomasów Sandbergów może być w Szwecji?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, w każdym razie teraz jest o jednego mniej. Chodźmy.

Zrobiła kilka kroków. Chociaż była przekonana, że postępuje słusznie, nie czuła się dobrze, myśląc o dystansie, który na pewno między nimi powstanie. Może łatwiej to zniesie,

jeśli nie będzie mu patrzeć w oczy.

– I co teraz? – spytał, kiedy ją dogonił.

W tym momencie w jego zegarku włączył się sygnał budzika.

– Cholera! Niedzielny obiad.

Wyłączył sygnał.

– Matka kazała mi nastawić budzik. Będzie wściekła, jeśli nie przyjdę.

– Powinieneś pójść.

– Będziesz na strychu?

Nie odpowiedziała.

– Będziesz?

– To chyba najlepsze wyjście.

Nie skłamała. Na pewno byłoby najlepiej, gdyby dalej ukrywała się na strychu w jego domu i żeby ją karmił resztkami z ich stołu.

Kiedyś, owszem, ale nie teraz.

Gdzieś był człowiek, który miał niesamowite szczęście, że ich drogi przecięły się tamtej nocy w „Grand Hotelu”. Ktoś, kto ukraść jej nazwisko i wykorzystywał jej sytuację do swojej prywatnej zemsty.

Nie pozwoli na to.

Niewiele brakowało, żeby ją zniszczył. Ale brakowało.

Kiedy zamknęły się za nią ciężkie metalowe drzwi strychu i nie słyszała już kroków Patryka, wyjęła z kieszeni kartkę formatu A4.

„Rune Hedlund, 460608 – 2498, Vimmerby”.

CMENTARZ BYŁ DUŻY, dopiero po godzinie odnalazła nagrobek. Okrągły kamień polny ze złotą inskrypcją.

RUNE HEDLUND

8 czerwca 1946

15 marca 1998

Pod spodem było puste miejsce na jeszcze jedno nazwisko. W białym plastikowym pojemniku paliła się świeczka, wokół kamienia rosły liliowe i żółte krokusy.

Wiosna zawitała tutaj wcześniej.

Kucnęła. Między kwiatami leżało kilka jesiennych liści, wyjęła je i odrzuciła na bok.

– Co pani robi?

Głos rozległ się tak nieoczekiwanie, że straciła równowagę i usiadła na pupie. Szybko się podniosła i odwróciła. Za nią stała jakaś kobieta.

Sybilla poczuła, jak wali jej serce.

– Nic. Usunęłam kilka liści.

Mierzyły się wzrokiem, jak wrogowie na polu walki. Kobieta patrzyła podejrzliwie i nieprzychylnie, Sybilla z przeświadczeniem, że znalazła to, czego szukała.

I tak stały. Bez słowa.

Kobieta miała pod płaszczem białe ubranie, w rękę trzymała zielony stożkowaty wazonik z tulipanami.

– Proszę zostawić w spokoju grób mojego męża – powiedziała wreszcie.

A więc to ona. Wdowa po Hedlundzie.

– Usunęłam tylko kilka liści.

Kobieta oddychała głęboko, jakby się próbowała opanować.

– Jak pani poznała mojego męża?

– Nie znałam go.

Kobieta uśmiechnęła się, nie był to jednak przyjazny uśmiech. Sybilla poczuła igielki strachu. Czy została rozpoznana? Czy policja powiedziała wdowie o związku między śmiercią jej męża i donacjami i poprosiła, by miała oko na morderczynię? Żeby zdobyć brakujące ogniwo łączące Sybilla Forsenström z Runem Hedlundem i w ten sposób nareszcie znaleźć motyw.

Sybilla rozejrzała się. Może już tu są?

– Myśli pani, że o tym nie wiedziałam?

Sybilla milczała.

– Jak tylko zobaczyłam kwiaty, od razu się zorientowałam – kontynuowała wdowa. – Bo kto przysłał anonimowy bukiet czerwonych róż na pogrzeb? – Prychnęła. – Co chciała pani w ten sposób osiągnąć? Co? Myślała pani, że Rune się ucieszy?

Pogarda w oczach kobiety była tak silna, że Sybilla opuściła wzrok.

– Jeżeli rzeczywiście wybrał panią, zrobił to za życia. Ale po śmierci został ze mną. Prawda? Czy to dlatego chciała mnie pani upokorzyć tymi kwiatami?

Sybilla spojrzała na nią. Wdowa po Hedlundzie pokręciła głową, jakby chciała dodatkowo podkreślić swoją dezaprobatę.

– A potem, w każdy piątek, nowa róża na grobie. Żeby mnie ukarać? Dlatego że już na zawsze został ze mną?

Głos jej się załamał. Sybilla widziała, że chce powiedzieć dużo więcej. Że długo czekała na tę chwilę.

Miała mętlik w głowie. Pomyliła się. Tę kobietę spytano o zdanie. Była jedną z tych bliskich osób, które muszą wyrazić zgodę. Ale gdzieś jest ta druga, rozgoryczona i porzucona, która chciała odebrać to, co straciła.

– Czy dzwoniли do pani z policji? – spytała.

Musi to wiedzieć.

– Co? Z policji? A niby po co?

Wdowa po Hedlundzie zrobiła krok naprzód, kucnęła i wetknęła wazon między krokusy, które odchyliły się, przerażone.

Sybilla patrzyła na jej plecy. Podnosiły się i opuszczały w rytm gwałtownego oddechu. Ta kobieta na pewno marzyła o tej chwili. Na pewno setki razy powtarzała to wszystko, co powie, kiedy stanie oko w oko z kochanką męża.

A teraz wystrzelała swoją amunicję na próżno.

Nie wiedziała, że ta druga, z którą powinna porozmawiać, zrobiła coś znacznie gorszego niż składanie kwiatów na grobie kochanka. Ale Sybilla nie obwieści jej tej nowiny.

Wdowa po Hedlundzie wstała. Kiedy spojrzała na Sybillę, w jej oczach lśniły łzy.

– Jesteś chora, wiesz o tym?

Sybilla milczała. Pogarda malująca się na twarzy kobiety wydawała się niemal fizyczna. Wróciły wspomnienia. Sybilla spuściła wzrok, żeby od nich uciec.

– Nawet po śmierci nie dajesz mi spokoju.

Kobieta odwróciła się i odeszła.

Sybilla patrzyła za nią. Wdowa po Hedlundzie nie miała pojęcia, jak prawdziwe są jej słowa.

ZOSTAŁA na cmentarzu. Usiadła na ławce dość daleko od grobu Runego Hedlunda, ale dobrze go widziała. Bukiet żółtych tulipanów w plastikowym wazonie lśnił jak wykrzyknik.

Tego dnia niewiele osób odwiedziło groby swoich bliskich. A ci, którzy przyszli, byli albo za starzy, albo w towarzystwie współmałżonków.

Ale jej się nie spieszy.

Posiedzi tutaj, dopóki ta kobieta się nie pojawi.

A pojawi się prędzej czy później.



Z nadejściem nocy wyjęła matę i śpiwór. Tuż za kolumbarium był kamienny mur, rosły pod nim krzaki i tam schowała plecak. Mimo nagich gałęzi mogła się dobrze ukryć. Co prawda nikt tu raczej w nocy nie przyjdzie, ale osoba, na którą czeka, lubi działać z zaskoczenia.

Nie da się zaskoczyć i nie może jej przegapić.

Następnego dnia wybrała inną ławkę. Widok był trochę gorszy, ale bukiet tulipanów pomógł jej w lokalizacji grobu. Tylko na dziesięć minut zeszła z posterunku, żeby na stacji benzynowej OK skorzystać z toalety i kupić chleb. Kiedy wróciła, przy grobie Runego Hedlunda nikogo nie było.

Drugiej nocy zasnęła. Nie wiedziała, jak długo spała, ale kiedy pobiegła do nagrobka, nic się nie zmieniło. Nikt nie zostawił róży.

W środę po raz pierwszy nagle przyspieszył jej puls. Od strony parkingu weszła pewnym krokiem samotna, mniej więcej czterdziestoletnia kobieta i za kranem skręciła w alejkę prowadzącą do kolumbarium.

Sybilla wstała i przecięła nieduży trawnik, żeby zobaczyć, gdzie kobieta się zatrzyma. Niestety. Minęła bukiet żółtych tulipanów i kucnęła kilka nagrobków dalej.

Westchnęła i wróciła na ławkę.

Po południu porządnie zgłodniała. Wyjmowanie pieniędzy z woreczka stało się czymś tak normalnym, że prawie przestała się tym martwić. Po raz ostatni obrzuciła spojrzeniem opustoszały cmentarz i poszła na stację benzynową.

Poprosiła o dwie porcje kielbasy z grilla. Kiedy kobieta za ladą nakładała keczup i musztardę, znów skorzystała z toalety. Profilaktycznie.

Kiedy wróciła na cmentarz, przed nagrobkiem Runego Hedlunda kucał jakiś mężczyzna. Widziała go od tyłu. Był w brązowej zamszowej kurtce. Miał zaczątki łysiny.

Wahała się, ale w końcu uznała, że nie może stracić takiej okazji. Ktokolwiek to jest, na pewno znał Hedlunda, a ona koczuje tu dlatego, żeby się jak najwięcej o nim dowiedzieć. Włożyła do ust ostatni kawałek kielbasy i starannie przeżuując, ruszyła do kucających pleców. Na grobie po jej prawej stał wazon z narcyzami. Schyliła się i capnęła bukiet. Miała

nadzieję, że Sigfrid Stålberg jej wybaczy.

Stała tuż za mężczyzną. Role się odwróciły. Dwa dni temu to ona kuciała.

Nie usłyszał jej, coś robił przy nagrobku, nie widziała, co. Nagle poczuła się nieswojo. Jeśli ma zdobyć jego zaufanie, nie powinna się tak podkradać.

Chrząknęła.

Zareagował podobnie jak ona. Stracił równowagę, podparł się ręką i błyskawicznie się podniósł.

– Przepraszam, jeśli pana przestraszyłam – powiedziała pośpiesznie.

Był młodszy, niż myślała. Miał może czterdzieści pięć lat. Zmyliły ją jego rzadkie włosy.

Szybko doszedł do siebie.

– Takie zachodzenie od tyłu bywa niebezpieczne. Można dostać zawału.

– Nie chciałam. To te podeszwy.

Popatrzył na jej sznurowane buty, lekko odchrząknął, przesunął dłoń pod nosem i spojrzał na nagrobek.

– Przyszła pani do Runego?

Cholera. Pierwszy zadał pytanie. Niedobrze. Pokręciła głową, co można było zrozumieć jako mętne „tak” lub niewyraźne „nie”. Co kto woli.

– Pan go znał? – spytała, próbując przejąć pałeczkę.

Popatrzył na nią. Bez podejrzliwości i niechęci, raczej z zainteresowaniem.

Pokiwał głową.

– Znałem i nie znałem. Pracowaliśmy razem w Åbro.

– Aha.

– A pani? Jest pani krewną?

– Nie.

Odpowiedziała zdecydowanie za szybko.

Uśmiechnął się.

– Zaciekała mnie pani. Pani nie jest stąd, prawda?

Przecząco pokręciła głową. Opuściła wzrok i zobaczyła narcyzy. Jeśli pójdzie po wazon, zyska na czasie.

– Chwileczkę, przyniosę coś do kwiatów.

Nie dając mu okazji do dalszych pytań, odwróciła się i odeszła. Jest szybki. Szybki i wścibski. Wiedziała, że się go nie pozbędzie, dopóki nie powie, kim jest.

A kim ona właściwie jest?

Nie spieszyła się z powrotem. Wyjęła z pojemnika spiczasty plastikowy wazon i starannie go opłukała pod bieżącą wodą. W głowie roilo się od myśli, jakby mózg zamienił się w centryfugę.

Kim ona może być, żeby nie wzbudziła w nim żadnych podejrzeń? Po co w ogóle do niego podeszła?

Napełniła wazon po raz czwarty, odetchnęła głęboko i wróciła.

Znów przykucnął przed nagrobkiem.

– Tutaj może je pani postawić – powiedział, odchylając krokusy.

Miał farbę na dłoniach. Długie smukłe palce, żadnej obrączki.

Przytrzymała lewą ręką jednego krokusa i wbiła wazon w ziemię.

– Jaki niezwykle zegarek – stwierdził, dotykając palcem cyferblatu.

– Jest stary. – Uśmiechnęła się zażenowana i obciągnęła rękaw. – Nie chodzi.

Zerknęła na niego. Nie odrywał oczu od nagrobka.

– Ingmar!

Tym razem oboje o mały włos nie stracili równowagi.

– Co ty tu robisz? W dodatku z nią!

Wdowie po Hedlundzie nie spodobało się to, co zobaczyła. W jej głosie pobrzmiwała nagana i zdumienie.

– Moja droga Kerstin. – Mężczyzna o imieniu Ingmar podszedł do oburzonej kobiety.

– Nie jestem z tą panią. Myślałem, że to przyjaciółka rodziny.

Odwrócił się i popatrzył na Sybillę. Wiedział, czyją trzymać stronę. Sybilla stała jedną nogą w krokusach. Speszona. Nie była pewna, czy w oczach Kerstin Hedlund maluje się nienawiść, czy smutek. Miała tak wyniosłe spojrzenie, że była gotowa prosić ją o wybaczenie. Za cokolwiek. Ingmar patrzył to na Kerstin, to na nią.

W końcu ciekawość wzięła górę.

– Kto to jest?

Starął się, żeby pytanie zabrzmiało neutralnie.

Kerstin Hedlund nie spuszczała z niej wzroku.

– Nikt – odparła po chwili. – Ale byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś ją stąd zabrał.

Spojrzał na Sybillę. Skinęła głową. Świetnie, byleby to już miała za sobą.

– No to chodźmy.

Niecierpliwie dał jej znak ręką. Sybilla od razu ruszyła za nim, na wszelki wypadek omijając zdenerwowaną wdowę szerokim łukiem.

Nic nie mówili, dopóki nie wyszli na parking. Plecak leżał w krzakach, nie był to jednak odpowiedni moment, żeby go stamtąd wyciągać. Później się tym zajmie.

Odwrócił się do niej.

– O co chodzi?

Wahała się zaledwie kilka sekund. Mogła powiedzieć tylko prawdę.

– Ona myśli, że byłam kochanką Runego.

Zaśmiał się. Nie wiedziała, czy nie powinna się poczuć urażona.

– Kochanką Runego? Dlaczego tak myśli?

Uśmiech nie schodził mu z ust.

Peszyła ją ta reakcja.

– Bo miał kochankę. Przychodzi tu raz w tygodniu i kładzie kwiaty na jego grobie.

Już się nie uśmiechał. Westchnął głęboko.

– Zna pani Kerstin?

– Nie.

Rzucił okiem na cmentarz, jakby się chciał upewnić, czy Kerstin za nimi nie idzie.

– Rozumiem, że się pani przejęła, ale proszę jej wybaczyć.

– Wybaczyć? Nie wiem, o co panu chodzi.

Westchnął, jakby obmawianie wdowy sprawiało mu przykrość.

– To ona przynosi kwiaty, a potem o tym zapomina. Nie pierwszy raz oskarża niewinnych ludzi na cmentarzu. Od śmierci Runego nie jest sobą.

Sybilla wpatrywała się w niego.

Może dostrzegł jej zmieszanie, bo nie czekając na jej ewentualne pytania, kontynuował:

– Przyszedłem tu dzisiaj, żeby wszystko spokojnie przemyśleć. Nie wiem, co robić, żeby jej pomóc. Ale uważam, że jestem to winien Runemu.

Sybilla nic już nie kojarzyła. Jeśli nie było kochanki, to...

– W jakim sensie nie jest sobą? – spytała.

Wbił wzrok w ziemię, zakłopotany.

– Kerstin jest pielęgniarką w tutejszym ośrodku zdrowia. Od kilku miesięcy jest na zwolnieniu... Zdaniem personelu bardzo dziwnie się zachowywała... Ale odkąd przestała pracować, jest jeszcze gorzej.

Sybilla przypomniała sobie białe ubranie pod płaszczem, kiedy pierwszy raz się spotkały.

– Ale ona ciągle chodzi w służbowym stroju.

Ze smutkiem pokiwał głową.

– Tak. Wiem.

A więc miała rację. To była ona. Kobieta o nienawistnym spojrzeniu. Pracując w służbie zdrowia, bez problemu mogła zdobyć nazwiska ofiar i najzwyczajniej w świecie pozbawić ich tego, co uważała za swoją własność.

A że przy okazji życie Sybilli Forsenström legło w gruzach? Najwyraźniej nie miało to znaczenia. Ba, było nawet wyjątkowo sprzyjającą okolicznością.

Zamknęła oczy.

Ogarnęła ją przemożna chęć zrobienia czegoś złego tej kobiecie. Za tyle lęku, tyle niepokoju. A przede wszystkim za stratę pieniędzy. Jej przyszłości.

Odwróciła się i ruszyła do cmentarnej bramy.

– Dokąd pani idzie?

Nie odpowiedziała. Kiedy minęła bramę, okazało się, że na cmentarzu nie ma nikogo. Kerstin Hedlund musiała skorzystać z innego wyjścia.

Postała przez chwilę i wróciła do Ingmara.

– Gdzie ona mieszka?

Wydawał się niemal zalekniony.

– Dlaczego pani pyta?

– Chciałabym z nią porozmawiać.

Wahał się.

– Czy to rozsądne?

Prychnęła. Rozsądne? A kto tu ustalał reguły gry? Może ona, Sybilla Forsenström?

Chyba się zorientował, że nic jej nie powstrzyma, bo już nie próbował jej od tego odwieść. Westchnął tylko, jakby umywał ręce, jakby nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

– Mogę panią podzucić – powiedział na koniec. – To kawałek drogi.

ZAPOMNIAŁA o plecaku. Myślała wyłącznie o rewanżu. O karze.

Ingmar się nie odzywał. Przejechali jego starym volvo przez centrum Vimmerby, minęli domy czynszowe i wille i znaleźli się poza miasteczkiem.

Szosa. Las. Ale Sybilla tego nie widziała.

„Biada tym, którzy niewinnym odmawiają sprawiedliwości”.

Słowa te niosły się w niej echem – jak przestroga.

Nie zauważyła, że się zatrzymali.

– Chyba jeszcze nie dojechała. Nie ma jej samochodu.

Jego głos przywrócił ją do rzeczywistości. Znowu siedziała w volvo. Wyrzała przez szybę. Żółty drewniany dom z opuszczonymi żaluzjami.

– Poczekam.

Chciała otworzyć drzwi.

– Pada – stwierdził.

Fakt. Szybę przecinały strużki wody.

– Mieszkam tuż obok. Może pani poczekać u mnie. Napijemy się kawy.

Nie kawa jej teraz była w głowie. Chociaż z drugiej strony darmowa kawa piechotą nie chodzi. Po kiełbaskach z grilla nie było śladu. Zdążyła zapomnieć, że coś jadła.

Skinęła głową.

Ledwie wrzucił dwójkę, już byli pod zielonym domem, który stał po drugiej stronie szosy, niedaleko domu Kerstin Hedlund.

A więc byli sąsiadami.

Wysiadła z samochodu. Ingmar poszedł przodem. Szybko przemierzili zwirowaną alejkę. Na schodkach Sybilla odwróciła się, żeby sprawdzić, czy nie nadjeżdża Kerstin.

– Usłyszysz ją pani – zapewnił Ingmar. – Tylko my tutaj mieszkamy.

Weszła do hallu. Poczowała intensywny zapach rozpuszczalnika.

– Oj, zapomniałem wynieść słoik z terpentyną.

Zniknął z jej pola widzenia, a po chwili wrócił ze słoikiem, w którym moczyły się pędzle.

– Zaraz się ulotni.

Otworzył drzwi wejściowe, wystawił słoik i zamknął drzwi na klucz. Powiesiła kurtkę na wieszaku.

– Maluje pan?

– To moje hobby.

Zdjął buty. Zrobiła to samo.

I zaprosił ją do kuchni.

– Bardzo proszę. Mieliśmy się napić kawy.

Rozejrzała się. Ingmar nie mieszkał sam. W oknie wisały białe firanki, przewiązane różowymi opaskami. Na parapecie, na białym koronkowym bieźniku, stały kwiaty doniczkowe, których nazw nie znała.

Podszedł do blatu i nalał wody do ekspresu.

– Proszę usiąść – powiedział.

Usiadła. Widziała drogę przez okno. Ingmar wyjął starą blaszaną puszkę z licznymi odciskami palców i odmierzył porcję kawy. Patrzyła na niego. Wszystko w tej wysprzątanej kuchni było stare. Drzwiczki szafek wyglądały na oryginalne, blat sięgał mu ud. Ten, kto tu mieszkał, nie interesował się wystrojem domu. Ale co jej do tego.

– Mieszka pan tu sam? – zapytała.

Popatrzył na nią, lekko spłoszony.

– Tak. Od śmierci mamy jestem sam.

– Aha. Czy to stało się niedawno?

Ekspres do kawy zaczął szumieć.

– Nie, nie. Niedługo minie dziesięć lat.

Ale firanki ciągle masz.

– Może pani coś zje?

– Dziękuję, chętnie.

Podszedł do lodówki. Stary model z czarnym bakelitowym przyciskiem. Gunn-Britt miała taką w swoim mieszkaniu w Hultarydzie. Dwadzieścia pięć lat temu.

Nagle zawahał się.

– A, właśnie – powiedział, zdejmując rękę z uchwytu. – Zapomniałem zrobić zakupy. Będzie się pani, niestety, musiała zadowolić tylko kawą.

– Oczywiście.

Otworzył szafkę, wyjął filiżanki i spodeczki. Małe ładne filiżanki w jasnoniebieskie kwiatki. Postawił je na stole i wysunął szufladę stołu.

Przejechał jakiś samochód. Spojrzała w okno. Pojechał dalej.

Ingmar składał serwetki. Cienusieńkie serwetki do kawy o falistych brzegach, jakie po raz ostatni widziała na towarzyskich spotkaniach przy kawie w Hultarydzie. Ale tak to pewnie jest. Na wsi czas wolniej płynie.

– Powinno być elegancko, kiedy ma się miłego gościa.

Patrzyła na niego. Wsunął szufladę i starannie wygładził ceratę. Wydawał się ożywiony. Jakby od dawna nie przydarzyło mu się coś równie przyjemnego. Może nie przywykł do wizyt kobiet.

Zanim nalał kawę, postawił na stole srebrną tackę z cukiernicą i dzbanuszkami. Były z tego samego kompletu co filiżanki. Z zadowoleniem przyglądał się nakryciu.

Potem usiadł naprzeciwko niej i uśmiechnął się.

– Proszę.

– Dziękuję.

Patrzyła na pusty dzbanuszek. Miałaby ochotę na odrobinę mleka, ale nie będzie o nie prosić. Chwyciła filiżankę za malutkie uszko i wypila łyżeczek. Za plecami Ingmara wisiała makatka. „Największa jest miłość”.

– Więc czego pani chce od Kerstin? – zapytał nagle.

Zaskoczył ją tym pytaniem. Wydawało się oczywiste, że rozumie jej uczucia i emocje, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę, że przecież w dalszym ciągu nie ma pojęcia, kim ona jest.

Opuściła wzrok.

– Chciałabym z nią tylko porozmawiać.

Uśmiech nie schodził mu z twarzy.

– Dlaczego?

Czuła rosnącą irytację. Może chciał dobrze, ale jego życzliwość ani ją ziębi, ani grzeje.

– To sprawa między mną a nią – odpowiedziała.

Nie spuszczał z niej wzroku.

– Jest pani tego pewna?

Kawa była niedobra. Lurowata. Nie miała ochoty podtrzymywać tej konwersacji.

Wstała.

– Dziękuję za kawę i za podwiezienie. Poczekam na zewnątrz.

Milczał i ciągle się uśmiechał. Przemknęło jej przez myśl, że może nie wszystko jest z nim w porządku. Ten idiotyczny uśmiech. Aż ją korciło, żeby mu dopiec. Wyglądał tak, jakby go bawiła jakaś tajemnica, której nie zamierzał wyjawiać.

Wyszła do hallu i zawiązała buty. Kiedy się wyprostowała, stał w drzwiach. Uśmiech był jeszcze szerszy.

– Już pani idzie?

Zabrzmiało to niemal jak rozkaz.

No, dosyć tego.

– Idę – odparła. – Nie piję kawy bez mleka.

– Aha. Nie sądziłem, że jesteś taka wybredna.

Reakcja węża, pomyślała. Zaatakował bez wahania. I przestał dobierać słowa. Ogarnęło ją niemiłe uczucie. Zdjęła kurtkę z wieszaka.

– To znaczy? – spytała, tracąc pewność siebie.

Usłyszał zmianę w jej głosie. Jego twarz znów rozjaśnił uśmiech.

– To znaczy tylko tyle, że tacy jak ty powinni się cieszyć z tego, co dostaną.



Bała się. Robiła, co mogła, żeby to ukryć. Nie wyglądał na siłacza, ale to o niczym nie świadczy. Kiedyś miała okazję się o tym przekonać. Z napalonymi facetami raczej nie ma szans. Ale ani myśli się poddawać bez walki.

– Co to, do cholery, za miejsce – powiedziała. – Morderczyni i gwałcieciel w odległości stu metrów od siebie. Czy wszystko tu w porządku z wodą pitną? Sprawdzaliście?

Zerknęła na drzwi. Nie było w nich klucza.

– Zamknięte – stwierdził. – Muszę cię wyprowadzić z błędu. Nie mam najmniejszej ochoty iść z tobą do łóżka.

Nie wierzyła mu. Cofnęła się o krok i uderzyła plecami o schody prowadzące na piętro.

– Mamy natomiast parę innych spraw do wyjaśnienia.

Przełknęła ślinę.

– Nie sądzę.

Uśmiechnął się.

– Tak, Sybilla. Mamy.

W PIERWSZEJ CHWILI kompletnie ją zamurowało. Zrozumiała tylko tyle, że nic nie jest tak, jak być powinno.

– Skąd znasz moje imię?

– Czytam gazety.

To niemożliwe, żeby ją rozpoznał. Nie w tej nowej fryzurze. Drogą przejechał samochód. Spojrzała w okno.

– Przestań wypatrywać Kerstin. Mieszka po drugiej stronie miasta. Ten żółty dom należy do Niemców, będą tutaj nie wcześniej niż w czerwcu.

Chciała wyjść. Jak najszybciej.

– Czego chcesz?

– Może usiądziemy? Kawa stygnie.

Popatrzyła na drzwi. W hallu nie było okna.

– Nic z tego, Sybilla. Nigdzie nie pójdziesz, dopóki ci na to nie pozwolę.

Na moment zamknęła oczy i próbowała zebrać myśli. Nie miała wyboru. Weszła do kuchni.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś zdjęła buty.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Odpieprz się.

Usiadła przy stole. Widziała, że jest zły. Otworzył szafkę, wyjął szczotkę i szufelkę i zmiotł z podłogi niewidzialny brud. Usiadł naprzeciwko niej.

Już się nie uśmiechał.

– Od tej chwili masz robić, co ci każę.

Od tej chwili? Co to za typ? Dlaczego, do cholery, nie powie, o co mu chodzi?

– Nie masz prawa mnie tu zatrzymywać – powiedziała cicho. Udawał zdziwionego.

– Nie mam? Oj. Może chciałabyś zadzwonić na policję?

Nie odpowiedziała. Kiedy się roześmiał, pomyślała, że może rzeczywiście powinna zadzwonić.

Patrzyli na siebie. Rejestrowali każdy swój oddech. Znów przejechał samochód. Sybilla na sekundę odwróciła wzrok. Koniec milczenia.

– Muszę przyznać, że zdziwiła mnie twoja obecność na cmentarzu. To był dar niebios. Bóg naprawdę staje w obronie swoich owieczek. Kiedy zobaczyłem twój zegarek, nie wierzyłem własnym oczom. Inaczej nigdy bym cię nie rozpoznał. – Uśmiechnął się i zamknął oczy. – Dziękuję Ci, Panie, że pochyliłeś ku mnie swoje ucho, że zbawiłeś moją duszę i przywiódłeś ją tutaj. Dziękuję za to, że...

– Zegarek? – spytała, zdumiona.

Umilkł. Otworzył oczy. Dwie wąskie szparki.

– Nie przerywaj mi, kiedy rozmawiam z Panem – powiedział wolno.

Pochylił się nad stołem, żeby dodatkowo podkreślić znaczenie tych słów.

Nagle wszystko się zgadzało.

„Biada tym, którzy niewinnym odmawiają sprawiedliwości”.

Odjęło jej mowę. Prawda była porażająca. Ze strachu poczuła w ustach smak krwi. Liczy się tylko to, jak chcemy wyglądać w oczach innych. Jak mogła o tym zapomnieć. Wpadła we własne sidła.

Chyba się domyślił, że ona już wie.

– Widziałem ten zegarek. W sali francuskiej „Grand Hotelu”. Kiedy dotrzyzymałaś towarzystwa Jörgenowi Grundbergowi podczas jego ostatniego posiłku.

SIEDZIELI W KUCHNI jak dwie napięte cięciwy i nie odrywali od siebie oczu. Czekali na coś, co wywoła reakcję łańcuchową, na jakiś czynnik wyzwalający.

Minęła wieczność. Próbowала sobie wszystko poukładać. Pomyliła się i nie pomyliła. Rune Hedlund nie miał kochanki, ukrywał w tajemnicy coś innego.

Kochanka.

To te żyłaste dłonie spoczywające na stole między nimi dopuściły się tych wszystkich potworności, o które ona była oskarżana. Poplamione farbą, w chirurgicznych rękawicach wdzierały się w ciała ofiar, żeby zabrać to, co straciły.

– Dlaczego? – spytała.

Rozluźnił się. Przeszli do kolejnego etapu. Już nie musieli udawać. Wszystkie dwuznaczności zniknęły, pozostała jedynie konfrontacja. Nareszcie jej powie to, co chciała wiedzieć.

A potem...?

Zdjął ręce ze stołu i położył na kolanach, jakby się szykował do przemówienia.

– Byłaś kiedyś na Malcie?

Tak ją to zaskoczyło, że aż parsknęła. Może odebrał to jako objaw rozbawienia, bo na jego twarz wrócił uśmiech.

– Ja byłem. Jakies pół roku po wypadku Runego. – Popatrzył na swoje dłonie i uśmiech zgasł. – Nikt nie wiedział, że go opłakuję... – Wziął głęboki oddech. – Nasza miłość była większa niż śmierć. Ale wszyscy współczuli tylko Kerstin. Przychodzili do niej, siedzieli całymi godzinami i wysłuchiwali jej gładzenia o tym, jakie to wszystko niesprawiedliwe. Nieraz chciałem wykrzyknąć prosto w tę rozlazłą gębę, że Rune kochał tylko mnie! Nie ją. Że to u mnie był tego dnia, kiedy miał wypadek. To moje ręce ostatnie pieściły jego ciało. Wyszedł z mojego łóżka, wsiadł do samochodu, na drogę nagle wbiegł łoś...

Wyprostował swoje długie smukłe palce, chciał, żeby go dobrze zrozumiała.

Był zdenerwowany. Ręce mu się trzęsły, oddychał gwałtownie, przez chwilę wydawało się, że się rozplacze. Dolna warga drżała od hamowanego gniewu. Może po raz pierwszy mógł komuś opowiedzieć o swoim bólu. Przez trzynaście miesięcy dusił to w sobie.

Po raz pierwszy.

I przypuszczalnie ostatni.

– Potem w pracy mało nie pękła z dumy, przechwalając się, jak zadbała o to, żeby śmierć Runego nie była daremna. Że uratował życie czterem osobom. – Z niesmakiem pokręcił głową. – Cholera. Zbierało mi się na wymioty. Czy to jest miłość? Co? Rozplatać kogoś, kogo się rzekomo kocha, i porozdawać jego członki!

Wstał. Tak gwałtownie, że podskoczyła. Jego krzesło runęło na podłogę. Podniósł je, podszedł do blatu i przyniósł kawę.

– Jeszcze kawy?

Pokręciła głową. Nalał sobie. Kiedy się odwrócił, żeby odstawić dzbanek, rozejrzała się. Za nią były zamknięte drzwi.

– Myślałem, że poczuję się lepiej, wyjeżdżając stąd na jakiś czas. Że dobrze mi zrobi, kiedy dzień w dzień nie będę musiał oglądać tej świętoszkowatej buźki w czasie przerw na kawę.

Dzieliły ją od tych drzwi mniej więcej dwa metry.

– W biurze podróży mieli tylko tę jedną wycieczkę. Po raz pierwszy Pan wkroczył w moje życie, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem.

Był teraz całkowicie rozluźniony. Napił się kawy i spojrzał w okno. Siedzą przy kawie jak para przyjaciół, którzy mają sobie dużo do powiedzenia.

– Na Malcie w mieście Mosta jest katedra. To ją Pan chciał mi pokazać. Razem z innymi zwiedzałem różne miejsca, nie chciałem być sam. Ta wycieczka odmieniła moje życie. – Splótł dłonie i położył je na stole. – Jakby ktoś zdjął mi filtr z oczu. Jakbym nareszcie przejrzał. – Promieniował wdzięcznością. – Dziewiątego kwietnia czterdziestego drugiego roku w tej katedrze było mnóstwo ludzi. Zwyczajnych ludzi, którzy przyszli na mszę. I nagle kopułę przeszywa bomba i spada za ołtarz. Ale nie wybucha. Jakby za sprawą boskiego cudu nie detonuje i wszyscy wychodzą z katedry bez najmniejszego draśnięcia. Bo czy to nie jest cud?

Jeśli czekał na odpowiedź, to może sobie czekać w nieskończoność.

– Angielski samolot przez pomyłkę zrzucił tę bombę.

Gapił się na nią.

– Nie rozumiesz? Lekko pokręciła głową.

– Ich czas jeszcze nie nadszedł. Bóg nie wezwał do siebie nikogo, kto był wtedy na mszy. Śmierć nie była im jeszcze pisana. Dlatego się włączył. – Zamilkł i przez chwilę patrzył w okno. – Ale Rune... jego Pan wezwał. Nie wiem dlaczego, ciągle czekam na odpowiedź. Może dostanę ją teraz, kiedy spełniłem swoją powinność.

Sybilla przełknęła ślinę. Podejrzewała, że jego spowiedź zbliża się do końca.

– Ona nie pozwoliła mu umrzeć. Wzięła władzę Boga w swoje ręce i trzymała Runego tutaj, na ziemi... Uwięziła go w połowie drogi do królestwa niebieskiego. – Wykrzywił twarz. – Jak mogłem się na to zgodzić? – Splótł dłonie przed sobą. – „I nie ustanie mój gniew, póki nie uspokoję mojej zapalczywości na nich; wtedy poznają, że Ja, Pan, przemawiałem w żarliwości, gdy na nich swój gniew wywierałem”.

Umilkł.

Jej strach, który przed chwilą ustąpił miejsca chęci działania, wrócił z nową siłą. Potrzebuje więcej czasu.

– A co z tymi, których zabiłeś? Co Bóg na to?

Patrzył na nią zdziwiony.

– Nie zrozumiałaś?

Nawet nie miała odwagi pokręcić głową.

– Pan wezwał ich do siebie. Śmierć była im pisana. Jakim prawem sprzeciwiamy się jego woli?

Nie znalazła odpowiedzi. Raczej by sobie pomogła, nazywając go szaleńcem.

– A ja? – spytała na koniec.

Uśmiechnął się.

– Ty też jesteś wybrana.

Zabrzmiało to jak komplement.

– Pan wybrał cię na swoje narzędzie. Oboje jesteśmy powołani dla jednego celu.

Niedługo czas się skończy.

– A jakie jest moje zadanie?

Uśmiech rozjaśnił mu twarz.

– Masz mnie chronić.

W NASTĘPNEJ SEKUNDZIE była na nogach. Bez wahania dopadła zamkniętych drzwi. Miała szczęście, otwierały się do środka i zanim okrążył stół, zdążyła je zamknąć. Chwilę później nacisnął klamkę i całym ciężarem napał na drzwi. Nie było w nich klucza.

Rozejrzała się.

To jego pracownia malarska. W pokoju było mnóstwo słoików z farbami, za nią stały sztalugi z niedokończonym obrazem Jezusa na krzyżu. Po prawej zobaczyła jeszcze jedne drzwi, też bez klucza. Nacisk na drzwi zelżał, szybko się pochyliła i zerknęła przez dziurkę.

Po drugiej stronie nikogo nie było.

Cofnęła się o krok i oparła o stół. Puszka z pędzlami spadła na podłogę. Czowała mrowienie na całym ciele. Igiełki strachu. Stała pośrodku pokoju. Nagle dobiegł ją jakiś dźwięk. Już wiedziała, gdzie on jest. Sekundę później zobaczyła jego rękę w drugich drzwiach. Z impetem się na nie rzuciła. Usłyszała chrzęst miażdżonych kości.

Rozcapierzył palce. Nie krzyczał. Było cicho. Słyszała tylko swój oddech. Mocno pchnął drzwi, odparowała najlepiej, jak potrafiła, ale szpara była dostatecznie duża, by mógł wyjąć dłoń.

Nagle zaczął bić ścienny zegar. Nieoczekiwany dźwięk zdekoncentrował ją, odwróciła się i wybiegła do holu. Przez moment się zawahała. Wiedziała, że drzwi wejściowe są zamknięte. Jeśli ucieknie na piętro, odetnie sobie drogę powrotu. Odgłosy z sąsiedniego

pokoju nie pozostawiły jej żadnego wyboru. Jeszcze krok i zobaczyła jego stopy. Siedział na podłodze oparty o drzwi, z wyciągniętymi nogami. Czym prędzej pomknęła na górę. Słyszała, że się podnosi. Stała w korytarzu. Troje zamkniętych drzwi. W jednych był klucz. Otworzyła je i weszła do środka.

– Tylko nie tam! – krzyknął.

Drżącymi rękami włożyła klucz i przekręciła. W następnej sekundzie nacisnęła klamkę.

– Sybilla. Tylko bez głupstw.

Rozejrzała się. Pośrodku stało nieposłane łóżko. Niegdyś biała pościel była szara i poplamiona. Pod ścianą zobaczyła toaletkę z ciemnego drewna, chyba dębową, a przed lustrem, w półmetrowym srebrnym świeczniku płonęła świeca. Takie świece widywała dotąd tylko w kościołach. Koło świecznika leżała Biblia.

– Sybilla, otwórz drzwi.

Podeszła do okna. Musiała się mocować z haczykiem, żeby go wysunąć ze skobelka. Zgrzyt, i gotowe.

– Nie otwieraj okna! – zawołał. – Sybilla, uważaj na świecę!

Załomotał w drzwi.

Spojrzała na świecznik. Płomień tańczył w przeciągu.

Wychyliła się przez okno. Tuż pod nią były schodki prowadzące do drzwi wejściowych i gdyby wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu udało jej się nie spaść na żelazną barierkę, zabiłaby się na kamiennych płytach.

– Sybilla! Zamknij okno!

Był stanowczy.

Zostawiła okno otwarte i, podeszła do toaletki. Chwila oddechu, którą zawdzięczała zamkniętym drzwiom, pomogła jej zebrać myśli.

Uważaj na świecę.

Obok świecznika były dwie świece tych samych rozmiarów, co ta zapalona, i cztery znicze nagrobkowe.

„Czas palenia się: ok. 60 godz.”

Wzięła Biblię. Na wewnętrznej stronie okładki ktoś napisał drukowanymi literami:

„Albowiem miłość jest mocna jak śmierć,

namiętność twarda jak Szeol.

Jej żar to żar ognia,

To płomień Pana”.

Świetnie. Teraz ona tu rządzi. Płonąca świeca jest jej bronią.

– Jeśli wejdiesz, zdmuchnę świecę! – zawołała.

Natychmiast przestał majstrować przy dziurce od klucza.

– Pali się od jego śmierci, co?

Odpowiedziała jej cisza. Ale i tak wiedziała, że ma rację. Trzymał w domu zapaloną świecę, żeby mu przypominała ukochanego. Jak jakiś ogień olimpijski.

Zyskała trochę czasu.

Tylko co z tego.

Prócz łóżka i toaletki w pokoju nie było innych mebli. Podłogę pokrywała brązowa cętkowana wykładzina, na której leżały trzy szmaciaki. Spojrzała na łóżko. Może prześcieradło sięgnie ziemi? A potem? Ingmar z łatwością ją dogoni.

Podeszła do toaletki i podniosła świecznik. Ostrożnie, ostrożnie, płomień to jej jedyna broń. I gwarancja.

– Możesz wejść! – krzyknęła.

– To otwórz. Wahała się chwilę.

– Zanim wejdiesz, policz do trzech. Bo jak nie, to zdmuchnę świecę.

Milczał. Wykładzina wytłumiła jej kroki, kiedy podeszła do drzwi, szybko przekręciła klucz i cofnęła się.

Po trzech sekundach klamka powoli opadła.

Stali naprzeciwko siebie. Trudno było nie dostrzec gniewu w jego oczach. Spojrzał na swoją okaleczoną dłoń. Przecinało ją głębokie wgłębienie, wydawało się, że mały palec jest odcięty.

Milczeli.

Cisza i bezruch. Poruszał się jedynie płomień.

– Dlaczego to robisz? – zapytał po dłuższej chwili. – Co ci to da?

– Chcę, żebyś zadzwonił na policję.

Z irytacją pokręcił głową.

– Nie rozumiesz, że tak miało być? Oboje jesteśmy wybrani. Nic na to nie poradzimy...  
Odstaw świecę.

Prychnęła. Nagły podmuch trafił w płomień. Zamigotał. Uzmysłował jej, jak kruchą ma przewagę. Powrócił paraliżujący strach.

Może to zauważył, może poczuł. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Jesteśmy do siebie podobni. Czytałem o tobie w gazecie. Jak się stąd wydostać?

– Rozmawiali z twoją szkolną koleżanką. Czytałaś...?

Jeśli wyjdzie, płomień zgaśnie. Odroczenie obowiązuje tylko w domu.

– Ja też byłem odludkiem...

– Gdzie jest telefon?

– Już w pierwszej klasie byłem inny. To wydawało się oczywiste dla wszystkich...

– Odwróć się i zejź na dół, bo zdmuchnę świecę.

Przestał się uśmiechać, ale się nie ruszył.

– A potem, Sybilla? – powiedział spokojnie. – Co potem?

Minęła wieczność i kiedy myślała, że rozkołatane serce za moment wyskoczy jej z piersi, łaskawie się odwrócił i wolno poszedł korytarzem. Szła za nim w odległości kilku metrów. Bezskutecznie próbowała opanować nerwowy oddech. Jeden stopień, drugi stopień... Jak w korowodzie Łucji. Ona osłaniała płomień świecy, on trzymał przed sobą zakrwawioną dłoń. Drżały jej nogi. Zastanawiała się, co teraz. Czy każe mu zadzwonić? A może sama powinna zadzwonić? Jeszcze cztery schodki. Zatrzymał się w holu.

– Dalej!

Posłuchał i wszedł do kuchni. Świecznik był ciężki. Mdlały jej dłonie. Powoli go opuściła i zeszła z ostatniego stopnia. Nie widziała go.

– Stań w drzwiach.

W kuchni nic się nie poruszyło. Zmieniła rękę.

– Gaszę!

Ale przecież on doskonale wie, że to groźba bez pokrycia. Bo co by się potem stało?

Zajrzała do pokoju po lewej. Kanapa i ława. I identyczna wykładzina jak w sypialni na piętrze. Drzwi do pracowni były uchylone. Weszła.

Ciężar świecznika zmusił ją do trzymania go obiema rękami.

– Wyjź, żebym cię widziała! – zawołała.

Z kuchni nie dobiegał żaden dźwięk. Za progiem pracowni czym prędzej zamknęła drzwi.

Telefon stał na okrągłym stole pośrodku pokoju. Szara kobra, upačkana farbami we wszystkich kolorach tęczy.

Potrzebowała dwóch rąk.

Patrząc w kierunku kuchni, ostrożnie odstawiła świecznik, podniosła słuchawkę i drżącymi palcami przesunęła po tarczy. Ze strachu bolało ją całe ciało.

Tak blisko, a tak daleko.

Wydając niesamowity ryk, otworzył drzwi i zanim zdążyła cokolwiek zrobić, uderzył ją kuchennym krzesłem. Runęła na podłogę. Pociemniało jej w oczach. Kiedy na niej usiadł, poczuła ból, pewnie miała pęknięte żebro.



– Nigdy tego nie rób! – syknął.

Pokręciła głową.

– Pan jest po mojej stronie – kontynuował. – Nie wywiniesz się!

Przytaknęła. Zgodzi się na wszystko, tylko niech wstanie. Byle tylko nie siedział na jej żebrach.

Rozejrzał się.

– Nie ruszaj się!

Skinęła głową. Nareszcie się podniósł. Koło telefonu leżała bawełniana ścierka. Mocno owiązał nią skaleczoną dłoń. Ciekawe, czy jest praworęczny. Oby. Przynajmniej byłby porządnie osłabiony.

Tak jak ona.

Przekłęty płomień ciągle się palił.

Nawet nie udało jej się go zgasić.

Kurwa mać.

A była tak blisko.

Ostrożnie się przekręciła, żeby zmniejszyć ból. Tam gdzie był najsilniejszy, pozagniała się kurtka. Zauważył, że się ruszyła, i postawił jej nogę na brzuchu.

– Leż spokojnie!

Ból odebrał jej oddech. Skrzywiła się, pod powiekami zamigotały gwiazdy. Już nie czuła na sobie jego stopy. Otworzyła oczy. Stał przy niej. Białe na twarzy, w zdrowej ręce trzymał krucyfiks. Ten sam, który widziała na wydruku Patryka.

– Proszę – powiedział i rzucił go jej na brzuch.

Nie był ciężki. Odruchowo napięła mięśnie. Zalała ją nowa fala bólu.

– Sama go poniesiesz – oświadczył. – To jest twoja Golgota.

Gdyby mogła, spytałaby, o co mu chodzi.

– Wstawaj! Idziemy.

UDAŁO JEJ SIĘ podnieść. Ból zelżał. Zdrową ręką chwycił ją za kołnierz i zmusił, żeby się pochyliła i trzymała krucyfiks w lewej dłoni. Otworzył drzwi.

Na dworze zaczynało się ściemniać.

Nie puszczając jej kołnierza, spychał ją ze schodków.

– Gdzie idziemy? – spytała.

Nie odpowiedział. Pomyślała, że jeśli jest wybrana, to mógłby, na Boga, nadjechać jakiś samochód. Ale nie nadjechał.

Kiedy przechodzili przez szosę, domyśliła się, dokąd idą. Do żółtego domu Niemców.

– Co tam będziemy robić?

– Odbierzesz sobie życie – odparł.

Próbowała się wyprostować, ale jej nie pozwolił.

– Znajdą cię w czerwcu. Z krucyfiksem na brzuchu. Wszystkie puzzle trafią na swoje miejsce. Sybilla poniesie karę za swoje zbrodnie. Kerstin cię zidentyfikuje, a ja będę ją wspierał.

Byli przed domem. Sybilla włożyła rękę do kieszeni. Wyczuła pod palcami pilnik do paznokci.

– Mam klucze w kieszeni – powiedział. – Wyjmij je.

Zacisnęła dłoń na plastikowym uchwycie. Już jej nie trzymał za kołnierza.

– Są w prawej kieszeni kurtki.

Wyprostowała się i okręciła. Przez moment patrzyli na siebie, po czym z ogromną siłą dźgnęła go pilnikiem w twarz.

Nie zdążyła zobaczyć, gdzie go trafiła. Kiedy podniósł ręce do twarzy, rzuciła się do ucieczki. Za niskim drewnianym płotem był las. Mimo bólu przeskoczyła go, nie zwalniając biegu.

Nie oglądała się za siebie.

Teraz też nie krzyczał.

Ostre gałęzie chłostały ją po twarzy, nic jednak nie mogło jej zatrzymać. Było jeszcze za widno, żeby się gdzieś schować. Musi uciekać. Jak najdalej stąd. Zanim Ingmar ruszy w pościg.

Nie wiedziała, jak długo będzie. Potykała się o kamienie, brodziła po łąkach w wodzie, wreszcie, kompletnie wyczerpana, przewróciła się na czymś, czego nie mogła rozpoznać w ciemnościach. I leżała. Wysilek rozsadzał jej płuca. Co jakiś czas tłumiła świszczący oddech i nasłuchiwała.

Nic, tylko szum wiatru w koronach drzew. W porównaniu z nim jej oddech był jak łoskot pędzącego pociągu.

Długo leżała. Bez ruchu, czujnie, w pełnej gotowości.

Jak bardzo go zraniła?

Jeszcze nie jest bezpieczna.

I nagle jego głos. Nie tuż obok, ale wyraźnie słyszalny.

– Nie ukryjesz się przed nami... Sybilla... Bóg widzi wszystko, wiesz o tym...

Znów strach.

I księżyc, który ją zniecała oświecił.

Jak lampa z nieba.

Przed nią rósł rozłożysty świerk, gałęzie sięgały ziemi. Wczołgała się tam. W zbawienną ciemność.

– Sybilla... Gdzie jesteś?

Był coraz bliżej. Zdradzał ją oddech. Zobaczyła go. Jakby szedł po niewidzialnym sznurku prowadzącym prosto do jej kryjówki.

– Wiem, że gdzieś tu jesteś.

Mogła już rozróżnić jego twarz. Zakrwawioną, z jednym okiem wytrzeszczonym, połyskującym białkiem.

Jeszcze tylko dziesięć metrów.

I nagle kompletne ciemności. Księżyc schował się za chmurą. Ocalił ją.

Ingmar jęknął, domyśliła się, że się potknął i upadł na skaleczoną rękę.

Dobrze ci tak! Pieprzony idioto!

Uśmiechnęła się. Zniknięcie księżycza dodało jej otuchy. Wcale nie musi przegrać. Przez chwilę niemal w to uwierzyła.

– Nie masz szans... Znajdziemy cię prędzej czy później.

Jego głos znowu się oddalił.

Na razie nic jej nie groziło.

Możliwe, że co jakiś czas zapadała w drzemkę. Panowały nieprzeniknione ciemności, nie robiło żadnej różnicy, czy ma oczy otwarte, czy zamknięte. I tak nic nie widziała. Kiedy o brzasku zaczęły się wyłaniać kontury, wczołgała się ze swojej kryjówki.

Nie chciała wracać, ale nie mogła iść dalej w przeciwną stronę, bo nie wiedziała, gdzie się kończy ten las. Zdecydowała się na marsz pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do kierunku ucieczki. W ten sposób powinna wyjść na szosę w przyzwoitej odległości od jego domu.

Dygotała z zimna. Kiedy nie musiała się spieszyć, wrócił ból. Każdy krok palił w piersiach.

Rozjaśniło się. Las był tutaj rzadszy. Rosły tylko wysokie nagie sosny. Musi czym prędzej dojść do szosy, bo tutaj jest jak na patelni, widać ją na kilometr.

Gdzieś trzasnęła gałąź. Znieruchomiała, próbując ustalić, gdzie. I znów trzask. Ale z innej strony.

Po chwili ich zobaczyła.

– Połóż się! – krzyknął jeden z nich.

Był w mundurze i mierzył do niej z pistoletu, który trzymał w obu dłoniach.

Gdyby nie strach, ucieszyłaby się. Nigdy nie przypuszczała, że spotkanie z policją uzna za szczyt szczęścia.

Ostrożnie, żeby zmniejszyć ból, położyła się twarzą do ziemi. Kiedy odwróciła głowę, celowało w nią czterech policjantów.

– Nie wiem, gdzie... – zaczęła.

– Zamknij się! – wrzasnął jeden z nich. – Leż spokojnie.

W nagłym przeblasku świadomości wszystko zrozumiała.

Przycisnęli jej twarz do mchu, poczuła obszukujące ją dłonie.

– Pieprzona morderczyni! – syknął któryś.

No tak, Ingmar znowu ją ubiegł.

STOSOWAŁA SIĘ do ich poleceń. W czasie jazdy do komisariatu w Vimmerby nie odezwała się słowem.

Ledwie zdążyła wysiąść z samochodu, oślepił ją jakiś błysk i kiedy odzyskała wzrok, zobaczyła młodego człowieka z ogromnym aparatem fotograficznym.

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytał ktoś, po czym wepchnięto ją do budynku komisariatu.

W środku było mnóstwo ludzi, w cywilu i w mundurach. Z odrazą śledzili każdy jej ruch.

– Tutaj!

Policjant, który siedział obok niej na tylnym siedzeniu, szedł przodem i torował im drogę. Tłum rozstępował się. Ktoś szturchnął ją w plecy. Wykrzywiła się z bólu. Odezwało się pęknięte zebro. Otworzyły się przed nią drzwi.

– Siadaj.

Podeszła do biurka, skutymi dłońmi odsunęła krzesło i usiadła. Do pokoju weszło dwóch mężczyzn. Zajęli miejsca naprzeciwko niej.

– Roger Larsson – przedstawił się jeden z nich.

Jego kolega wcisnął czerwony guzik magnetofonu i skinął głową na znak, że taśma się obraca.

– Przesłuchanie Sybilli Forsenström. Trzeci kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, godzina ósma czterdzieści pięć. Przesłuchujący: młodszy policjant śledczy Mats Lundell i komisarz Roger Larsson. – Wyprostował się. – Czy nazywasz się Sybilla Forsenström?

Skinęła głową.

– Proszę głośno i wyraźnie odpowiadać na pytania.

– Tak!

– Możesz powiedzieć, co robisz w Vimmerby?

Popatrzyła na obracającą się taśmę. Przyglądali się jej w napięciu. Ktoś zapukał do drzwi. Weszła kobieta z kartką w ręku, podała ją komisarzowi i wyszła. Przeczytał, położył na biurku, a potem spojrzął na nią.

– Ja tego nie zrobiłam – powiedziała.

– Czego?

Była zmęczona i głodna, z trudem zbierała myśli. Po co prowokuje takie pytania?

– To Ingmar ich zamordował.

Mężczyźni po drugiej stronie stołu popatrzyli na siebie. Jakby próbowali ukryć uśmiech.

– Masz na myśli Ingmara Erikssona? – zapytał komisarz. – Woźnego ze szpitala w Vimmerby? Tego, który się zgłosił wczoraj wieczorem na ostry dyżur ze zmiażdżoną prawą dłońią i okiem przekłutym pilnikiem do paznokci? O tym Ingmarze mówisz?

Był zły. Popatrzyła na swoje dłonie. Gdyby nie łańcuch, miałyby dwie srebrne bransoletki.

Komisarz Larsson położył coś na stole.

– Dlaczego miałaś to w kieszeni kurtki?

Podniosła wzrok. Aha, krucyfiks.

– Dał mi to – powiedziała. – Chciał mnie zabić.

– Dlaczego?

– Żeby obciążyć mnie winą.

– Za co?

Westchnęła.

– Miał romans z Runem Hedlundem.

Kącik ust komisarza drgnął.

– Z kim?

– Z Runem Hedlundem. Hedlund zmarł w wypadku samochodowym piętnastego marca ubiegłego roku.

Mężczyźni znów na siebie popatrzyli. Nic nie mówili, ale wiedziała, co myślą. Siedzi przed nimi wariatka. I może rzeczywiście tak jest.

Księżyc nie księżyc. Bóg nigdy nie był po jej stronie.

– Zadzwońcie do Patryka. On wie, że to nie ja.

– A kto to jest?

– Pat...

Jak on ma na nazwisko? Widziała je na drzwiach jego mieszkania, ale teraz nie mogła sobie przypomnieć.

– Jego mama jest policjantką. Mieszka na Sågargatan. Na Söder.

– Mówisz o Sztokholmie?

Ktoś zapukał. Weszła ta sama kobieta i znów zostawiła jakiś papier. Do pokoju zajrzały dwie ciekawskie twarze. Komisarz przeczytał, pokiwał głową i spojrzał na zegarek.

– Przerwa w przesłuchaniu. Jest dziewięta zero trzy.

Sybilla zamknęła oczy.

– Zrobimy przerwę. Chcesz poczekać tutaj czy w celi?

Popatrzyła na niego. A co to za różnica?

– Czy tam jest łóżko? – zapytała po chwili, śmiertelnie zmęczona.

Przytaknął.

– To wybieram celę.

MIJAŁY GODZINY Leżała na twardej pryczy. Co jakiś czas zapadała w drzemkę. Obsesyjnie wracał sen o desperackim biegu. W zwolnionym tempie uciekała przed niewidzialnym prześladowcą.

Przynieśli jej coś do jedzenia. Nikt nie powiedział, na co właściwie czekają. Może gdyby zapytała... Ale nie miała na nic siły.

Pobył w zamkniętym pomieszczeniu nie był taki straszny, jak myślała. Przeciwnie. To całkiem przyjemne uczucie. Leżeć i za nic nie odpowiadać. Zrobiła, co mogła, nawet więcej, teraz musiała się pogodzić z porażką.

Oni wygrali, ona przegrała.

Tylko tyle.

Po południu dowiedziała się od komisarza Larssona, że czekają na ludzi z kryminalnej ze Sztokholmu. Aha, pomyślała, ściągnęli tu elitę. Sprawy takiej bezwzględnej morderczyni jak ona nie można przecież powierzyć jakiemuś zafajdanemu prowincjonalnemu komisariatowi.

– Masz prawo do adwokata – poinformował Roger Larsson.

– Ja nic nie zrobiłam.

Podszedł do drzwi.

– Myślę, że będzie ci potrzebny.

I wyszedł.

Chwilę później pojawił się mężczyzna około pięćdziesiątki. Albo był zdenerwowany, albo zestresowany.

– Kjell Bergström – przedstawił się i położył teczkę na stole.

Usiadła z grymasem. Żebro wolało pozycję leżącą.

– Na razie będę twoim adwokatem. Później zostaniesz prawdopodobnie przewieziona do Sztokholmu i tam pomoże ci ktoś inny. Wiesz, że twój ojciec nie żyje?

Wpatrywała się w niego.

– Słucham?

Kjell Bergström otworzył teczkę i wyjął jakiś papier.

– Dostałem faks od kolegi z Vetlandy. Wiedzą o twoim zatrzymaniu.

– Ja tego nie zrobiłam – powiedziała szybko.

Stracił wątek i po raz pierwszy na nią spojrział.

– Zmarł na zawał – wyjaśnił. – Dwa lata temu.

Zawał. Co ją to obchodzi, że Henry Forsenström od dwóch lat nie żyje. Dla niej umarł dużo wcześniej.

– Według Kristera Eka, adwokata i wykonawcy testamentu, Beatrice Forsenström sądziła, że nie żyjesz. Po śmierci twojego ojca złożyła wniosek o uznanie cię za zmarłą i już miała otrzymać stosowny dokument, kiedy się okazało, że poszukuje cię policja.

Sybilla czuła, że się uśmiecha. Kąciki ust się podniosły, mimo że nie było ku temu żadnego powodu.

– I dlatego, że nie żyję, przez piętnaście lat przysyłała mi co miesiąc tysiąc pięćset koron?

Kjell Bergström był zdumiony.

– Naprawdę?

– Do zeszłego tygodnia.

– Dziwne. Bardzo dziwne.

Pewnie, że dziwne.

Kjell Bergström zajrzał do papierów.

– Chyba się domyślasz, że masa spadkowa jest całkiem spora. I zgodnie z prawem podlega podziałowi między współmałżonka i ewentualnych bezpośrednich spadkobierców. Wygląda na to, że matka chciała cię wykluczyć z udziału w spadku.

Nagle zachciało jej się śmiać. Coś w niej pękło. Musiała się rozładować. Ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła bezgłośnym śmiechem.

– Rozumiem, że to przykre.

Spojrzała na niego przez palce. Myślał, że ona płacze. Speszył się, chyba nie miał pojęcia, co począc z płaczącą morderczynią, która się właśnie dowiedziała o śmierci ojca. To ją jeszcze bardziej rozśmieszyło. Ból żebra przyprawił ją o łzy i kiedy popłynęły, opanowała się i opuściła ręce.

– Nie musisz się niepokoić – zapewnił. – Prawo jest po twojej stronie.

Kolejny atak śmiechu był tuż-tuż. Parsknęła, przyciskając dłonie do żeber, żeby złagodzić ból.

Hura! Prawo jest po jej stronie!

Właśnie została milionerką, która dostanie dożywocie za cztery niepopelnione morderstwa.

Jeśli Bóg ją teraz widzi, powinien być zadowolony. On i Ingmar mogą się pławić w szczęściu do końca swoich dni i rozkoszować sukcesami.

Śmiech skończył się równie nagle, jak się pojawił. Zostawił w niej pustkę.

– Jak się czujesz? – zapytał nieśmiało Kjell Bergström.

Popatrzyła na niego. Łzy ciągle płynęły jej po policzkach.

Jak się czuje?

Parszywie.

Wszystko jest parszywe.

POŁOŻYŁA SIĘ i odwróciła do niego plecami. Zapukał do drzwi, żeby go wypuścili. Po kilku minutach był z powrotem.

– Na razie tu zostanę – powiedział. – Niedługo wezmą cię na kolejne przesłuchanie.

I wzięli.

Wstając z pryczy, wykrzywiła się.

– Czy coś cię boli? – spytał Kjell Bergström.

Skinęła głową.

– Dostałam krzesłem w żebra.

I tyle. Nie miał więcej pytań. Może w Vimmerby to normalne?

Posłusznie wyciągnęła ręce, żeby policjantowi łatwiej było założyć kajdanki, ale on



tylko pokręcił głową.

W pokoju przesłuchań nie było nikogo. Usiadła na tym samym krześle, co przedtem. Kjell Bergström stanął pod ścianą.

Przyszli minutę później. Nieznany mężczyzna i nieznana kobieta. Bergström podszedł do nich i przedstawił się. Sybilla nie wykonała żadnego ruchu. Chyba wiedzą, kim jest.

Patrzyły na nią trzy pary oczu.

– Jak się czujesz? – zapytał mężczyzna.

Uśmiechnęła się lekko. Nie miała siły odpowiadać.

– Jestem z policji kryminalnej ze Sztokholmu. Nazywam się Per-Olof Gren. A to jest Anita Hansson.

Bergström znów stanął pod ścianą, a policjanci ze Sztokholmu usiedli naprzeciwko niej. Nie włączyli magnetofonu.

– Jeśli jesteś w stanie, opowiedz nam, co się wydarzyło wczoraj wieczorem.

Jeśli jest w stanie? A co to za taktyka?

Sybilla westchnęła i odchyliła się w tył. Myśli wirowały, nie wiedziała, od czego zacząć.

– Byłam na cmentarzu – powiedziała po chwili i spojrzała na blat biurka. – Spotkałam tam wdowę po Runem Hedlundzie, a potem pojechałam z Ingmarem.

– Czy to on cię pobił?

Podniosła wzrok i skinęła głową.

– Tak. Uderzył mnie krzesłem. Chyba mam pęknięte zebro.

– A te zadrapania na twarzy?

– To było w lesie. Kiedy biegłam.

Mężczyzna pokiwał głową i spojrzał na Anitę.

– Mimo wszystko miałaś szczęście.

No pewnie. Niesamowite szczęście.

– Jak rozumiem, znasz Patryka – po raz pierwszy odezwała się kobieta.

Sybilla popatrzyła na nią. Na dnie rozpaczy zajaśniał promyk nadziei.

– Znaleźliście go?

– To mój syn.

Mamusia policjantka!

Nie potrafiła odczytać z jej twarzy, czy to dobrze, czy źle.

– Opowiedział mi o wszystkim dzisiaj rano, kiedy wysłuchaliśmy wiadomości w radiu.

Sybilla wydało się przez moment, że śni.

– Kiedy się zorientowałam, że mówi prawdę, zadzwoniłam do kryminalnej. Ale nazwisko Sandberg, Thomas Sandberg lekko ich zdziwiło.

– Nie chciałam mieszać w to Patryka. I tak dużo mi pomógł...

Anita Hansson skinęła głową. Była tego samego zdania.

– Dzisiaj rano przeszukaliśmy dom Ingmara Erikssona – powiedział Per-Olof Gren. – W lodówce były wycięte organy.

Sybilla spojrzała na niego.

„Zapomniałem zrobić zakupy. Będzie się pani, niestety, musiała zadowolić tylko kawą”.

– Nie ja je tam włożyłam – powiedziała szybko.

– Spokojnie, Sybilla. Wiemy, że to nie ty.

Nie wierzyła własnym uszom. Nie, to nieprawda. Nie teraz, kiedy prawie się pogodziła ze swoim losem.

– On się przyznał – wyjaśnił Per-Olof Gren. – Kiedy znaleźliśmy słoiki w lodówce. Chciał je zakopać przy grobie.

W pokoju zaległa cisza. Sybilla próbowała się dostosować do nowej sytuacji. Bez skutku. Zbyt była zmęczona.

– Szkoda, że nie ujawniłaś się trochę wcześniej. Mielibyśmy to już za sobą.

Powiedziała to Anita Hansson. Sybilla domyśliła się, o co jej chodzi. Mogła sobie wyobrazić, jak się Patrykowi oberwało.

– Nie uwierzylibyście mi – odparła cicho. – Mam rację?

Milczeli.

– Ale Patryk mi wierzył... On jeden.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

– No tak – powiedział Per-Olof. – Jesteś wolna. Co teraz zrobisz?

Wzruszyła ramionami.

– Ja wiem – odezwał się Bergström i podszedł do nich. – Pojedziemy do Vetlandy i zamienimy kilka słów z twoją matką.

Sybilla pokręciła głową.

– Nie. Nie pojedę.

– Chyba nie bardzo rozumiesz.

– Chcę mieć trzysta tysięcy. Więcej mi nie trzeba.

Bergström uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Tu chodzi o kilka milionów.

Kiedy na niego spojrzała, zdał sobie sprawę, że ona rzeczywiście tak myśli.

– Nie możesz pozwolić, żeby jej to uszło płazem. To ogromny majątek.

Sybilla zastanawiała się chwilę. Po co jej to?

– No dobrze, siedemset tysięcy. I możesz jej powiedzieć, żeby resztę wsadziła sobie w tyłek.

ZANIM ZDJEŁA RĘKĘ z guzika, usłyszała brzęczyk. Zastanawiała się, czy on przypadkiem nie spędza życia przy domofonie.

Tak jak wtedy, czekał przy uchylonych drzwiach. Nie odezwali się do siebie, dopóki nie weszła do przedpokoju i nie zamknął drzwi.

– W ciągu tygodnia notoryczna morderczyni zamienia się w bohaterkę. Imponujące.

Podeszła do komputerów. Tym razem jej nie zatrzymywał.

– Znalazłeś? Skinął głową.

– Tym razem pięć tysięcy, tak?

Wyjęła banknoty z kieszeni kurtki i położyła na klawiaturze. On wyjął z tylnej kieszeni spodni białą kopertę.

– Czy to twój? – spytał.

Spojrzała na niego. Wzięła kopertę i ruszyła do przedpokoju.

– Ciekawość ludzka rzecz – dodał.

Bez słowa wyszła na klatkę i zamknęła drzwi. Dopiero teraz poczuła, że drży. Kiedy była piętro niżej, musiała usiąść.

Patrzyła na kopertę i mocno biło jej serce.

Biała koperta z odpowiedzią po czternastu latach niepewności.

Jak on się nazywa? Gdzie mieszka? Co z niego wyrosło? Nareszcie się dowie.

Autobus odjeżdżał za dwie godziny.

Płatności były już załatwione, umowa podpisana. Gunvor Strömberg spotka się z nią na dworcu autobusowym i przekaże klucze.

Cisza i spokój.

Spokój duszy.

I biała koperta z nazwiskiem tego, którego zawsze jej brakowało.

I zawsze będzie brakować.

Co to właściwie da? Na wszystko jest już za późno, od czternastu lat było za późno.

Dla kogo ona to robi? Dla niego? Czy dla siebie?

Wstała, spłoszona swoją nieoczekiwaną przenikliwością.

Jakim prawem miałyby się wdzierać w jego życie po czternastu latach? Co by w ten sposób zyskała? Zaspokoiłaby swoją ciekawość, ale co on ma z tym wspólnego? Przecież nic nie jest jej winien.

Dlaczego miałyby go obarczać swoim smutkiem? Z myślą o nim powinna swój smutek zachować dla siebie.

Tuż przed nią był zsyp. Dziura w ścianie, gdzie ludzie wrzucają śmiecie. Miejsce, w którym pozbywają się odpadków.

Z bijącym sercem otworzyła drzwiczki. W przynoszącym ulgę przeświadczeniu, że postępuje słusznie.

Jeśli autobus przyjedzie zgodnie z rozkładem, będzie w domu przed capstrzykiem sąsiada.